



NESTOR

Czasopismo Artystyczne

1(19) 2012

Rok VI

www.nestor-krasnostaw.eu

ISSN 1898-1801



ZABYTEK Z OKŁADKI

W zbiorach Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie znajdują się mapy topograficzne Krasnegostawu i okolic z lat 1801-1804. Zostały one przygotowane na zlecenie Sztabu Generalnego i doskonale opisują obszar tzw. Galicji Zachodniej, tj. terenów Rzeczypospolitej Obojga Narodów, które zostały przyłączone do Austrii w wyniku trzeciego rozbioru. Pracę tę, trwającą kilka lat, wykonał zespół ponad 30 wojskowych kartografów pod kierownictwem pułkownika Antoniego barona Mayera von Heldensfelda.



Spis treści

Słowo redaktora	2
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Premiera w Teatrze Pokoleń	2
Mapy pułkownika Mayera	4
<i>Artur Capala</i>	
Jak Austriacy obmierzyli Krasnystaw i jego okolice w latach 1801-1804	5
<i>Ryszard Maleszyk</i>	
Powiat krasnostawski w pierwszych dniach listopada 1918 roku	7
<i>Marcin Podgórski</i>	
Historia wsi Dobryniów - część I	10
<i>Elżbieta Przebirowska</i>	
Historia pewnego rodu nauczycielskiego. Część I	12
<i>Grażyna Wójcik</i>	
„Szkoła lotna” na terenie wsi Czysta Dębina i Borów ..	18
<i>Joanna Antoniak</i>	
Udział ziemian krasnostawskich w II wojnie światowej w świetle dokumentów bezpieki.	20
<i>Artur Borzęcki</i>	
„Święty” u kowala	24
<i>Irena Malec-Iwańczyk</i>	
Poezja - Irena Malec-Iwańczyk	28
Książd infulat Ludwik Rutyna - legenda Kresów	29
<i>Marcin Podgórski</i>	
Krajobraz z Nepomucenem. Część III	32
<i>Agnieszka Szykuła-Żygawska</i>	
Ludowe przepowiednie pogody	33
<i>Lucjan Cimek</i>	
Anegdota krasnostawskie	34
<i>Leszek Janeczka</i>	
Cudowne ocalenie	36
<i>Leszek Janeczka</i>	
Bronka	37
<i>Lidia Kosk</i>	
Arka wciąż na fali	39
<i>Artur Borzęcki</i>	
Spalono scenę teatralną!	40
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Z notatnika niebieskiego paputczika	41
<i>Mariusz Kargul</i>	
Bogumile ukochanej	42
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Poezja - Edward Franciszek Cimek	43
Niezwykłe podróże z węgierskim pisarzem	44
<i>Elżbieta Szadura-Urbańska</i>	
Brunet w mercedesie	45
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Siennickie ekspiacje Bronisławy Fastowiec	46
<i>Mariusz Kargul</i>	

Spis treści

Poezja - Bronisława Fastowiec	47
Pogrzyb wierszoroza	48
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Poezja - Mariusz Kargul	49
Mistrz Albert i „Dwunaste skrzypce”	50
<i>Zbigniew Waldemar Okoń</i>	
Jesienne spotkania MDKF-u	53
<i>Ewa Magdziarz</i>	
„FilMOTEKA Szkolna” w Janowskim Ośrodku Kultury ...	54
<i>Emilia Zuber</i>	
Poezja - Ewa Błaszczak	55
„Księstwo” w Bollywood	56
<i>Zbigniew Masternak</i>	
Pisarz i piłkarz znowu w Krasnobrodzie	57
<i>Jakub Koisz</i>	
I książka, i film	58
<i>Artur Borzęcki</i>	
Poezja - Leonard Górski	59
Inka: „Ja jedna zgine”	60
Poezja - Barbara Postawa	59
Minuta ciszy po Wisławie Szymborskiej (1923 - 2012) .	62
<i>Henryk Radej</i>	
Poezja - Henryk Radej	63
Poezja - Wisława Szymborska	64
O mojej maszynie do pisania	65
<i>Zbigniew Masternak</i>	
Camino Soria - na krańcu Europy (fragmenty dziennika)	66
<i>Ada Kulig</i>	
Medialne gminy	72
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Wiersze z V Konkursu Twórczości Miłosnej „Ja Cię kocham, a Ty pisz!”	75
<i>Tadeusz Andrzej Kiciński</i>	
Poezja - Weronika Granosik	76
Poezja - Marzena Mariola Podkościelna	76
Poezja - Dorota Czerniakiewicz	76
Marzę, aby napisać dramat	77
<i>Z Edą Ostrowską rozmawia Andrzej David Misiura</i>	
Poezja - Eda Ostrowska	78
Eda wierszem gada. Nagrodzony „Śmiech i łaska”	79
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Perfekcyjny „Hugo”	81
<i>Henryk Radej</i>	
Zielony promień zachodzącego słońca - odrobina romantyzmu w astronomii	82
<i>Wiesław Krajewski</i>	
Wystawa stulecia	86
<i>Elżbieta Szadura-Urbańska</i>	



NR 1(19) 2012 NESTOR Czasopismo Artystyczne

Wydawca:

Oficyna Wydawnicza „ELIPSA”
ul. Piłsudskiego 2, 22-300 Krasnystaw, tel. (82) 576 60 09,
Konfederacja NESTOR,
www.nestor-krasnystaw.eu, e-mail: **david57am@op.pl**

Montaż elektroniczny:

Paweł Piłat

Druk:

Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, 22-300 Krasnystaw

Nakład sponsorowany przez:

Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie
Gmina Gorzków

Redagują:

Andrzej David Misiura (redaktor naczelny)
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Paweł Piłat (skład i łamanie)

Stale współpracują:

Zbigniew Atras (Krasnystaw)
Artur Borzęcki (Krasnystaw)
Leszek Janeczka (Krasnystaw)
Mariusz Kargul (Krasnystaw)
Henryk Radej (Chełm)
Kazimierz Stolecki (Puławy)
Elżbieta Szadura-Urbańska (Warszawa)
Agnieszka Szykuła-Żygawska (Zamość)

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Dziękujemy Autorom, którzy zrezygnowali z honorariów
za swoje publikacje w niniejszym wydaniu.

Słowo redaktora



Z różnym zainteresowaniem obchodzono **Rok Czesława Miłosza**. Starano się nawet pod koniec nadrobić jubileuszowe zaległości, ponieważ zdecydowanie bardziej zauważalny w mediach wydawał się **Rok Marii Skłodowskiej-Curie**. Przeciętny Polak dobrze zna zasługi obojga wymienionych, natomiast nie każdy potrafi powiedzieć kogo np. okrzyknięto „polskim Leonardeo da Vinci”. Tutaj mała podpowiedź: jak zapewne pamiętamy, ten sam rok 2011 był również **Rokiem Jana Heweliusza** wybitnego astronoma i autora nieprzeciętnych dzieł, i „Nestor”, spełniając artystyczny obowiązek, pisał o nim w dwóch numerach 1(15) i 2(16)2011.

Powinniśmy też pamiętać jakie znakomitości patronują nam obecnie. Otóż Sejm Rzeczypospolitej Polskiej ze znacznym wyprzedzeniem ogłosił rok 2012 **Rokiem Janusza Korczaka, Rokiem Józefa Ignacego Kraszewskiego i Rokiem ks. Piotra Skargi**.

Nas jednak równie interesowałby np. Krasnostawski Rok Antoniego Oleszczyńskiego (w 2014 roku na 220 urodziny), Kresowy Rok Stanisława Bojarczuka (w 2019 roku - 150 urodziny) lub Translubelski Rok Anny Kamieńskiej, czy Kaspra Niesieckiego... Zdając sobie sprawę, że takie inicjatywy rzadko wypływają z urzędów, mając przeświadczenie, że kto ma się tego podjąć, jeśli nie my, uznaliśmy, że pierwszy krok należy zrobić jak najszybciej:

**Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
niniejszym ogłasza (na własną rękę) rok 2012
Herbarzowym Rokiem Kaspra Niesieckiego,
w 330-lecie urodzin
tego wybitnego krasnostawianina.**

Kasper Niesiecki (1682-1744) znaczą i najbardziej twórczą część życia spędził w Krasnymstawie. Tutaj też napisał wybitne i niedocenione wówczas dzieło na miarę współczesnego mu świata – herbarz „Korona Polska”. Opracowanie stało się najważniejszym źródłem wiedzy na temat heraldyki i polskich rodów szlacheckich.

Szanowni Czytelnicy, Władze lokalnych samorządów, instytucji i przedsiębiorstw, ponieważ z wiadomych przyczyn zabrakło czasu na społeczne konsultacje, zachęcamy Państwa do współtworzenia komitetu organizacyjnego i współświadczenia Herbarzowego Roku Kaspra Niesieckiego. Zapraszamy.

Andrzej David Misiura

Premiera w Teatrze Pokoleń

Obecność swoją zaznaczyli w 2008 roku profesjonalnym wystawieniem „Chaty za wsią”. Następne lata przyniosły dla Teatru Pokoleń ze Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Siennickiej kolejne sukcesy. Oficjalna premiera piątej już inscenizacji pt. „W Baraniej Głowie” miała miejsce 11 marca 2012 roku. Poprzedziły ją dwa przedpremierowe spektakle m.in. w Łopienniku Górnym.

Historia, na podstawie której powstał scenariusz, zaczerpnięta została z opowiadania Henryka Sienkiewicza napisanego w 1876 roku w Stanach Zjednoczonych. Książka, mimo rozbieżnych recenzji, jest wyjątkowym dziełem i od dawna lekturą szkolną, ale jak to z lekturami bywa - nie wszyscy je... pamiętają. Dzisiaj widzowie mają okazję przypomnieć sobie jej pozytywistyczne przesłanie, może ono nieco odbiegać od oryginału, ale jest za to bliższe naszemu czasom. Być może ktoś dostrzeże tam piętnowane dzisiaj zjawiska takie jak: molestowanie, mobbing, mactwo, obojętność na krzywdę ludzką, albo zasłanianie przepisami braku dobrej woli lub urzędniczej nieudolności. Źródłem wszelkiego zła jest Żołzikiewicz - pisarz gminny, który w młodości, biorąc udział w powstaniu, został ukarany chłostą, i dla ratowania własnej skóry, zaczął współpracować z carskimi zaborcami. Donosił na powstańców i tym wkraść się w łaski Rosjan. Chociaż historia dzieje się przed półtorawiekami, znowu dostrzegamy podobieństwo do niedawnych czasów PRL-u.

„Szkice węglem” doczekały się pierwszej i jedynej dotychczas adaptacji scenicznej, właśnie w Teatrze Pokoleń. Teatrze, który od początku istnienia stara się pracować profesjonalnie, tworząc np. własne niekonwencjonalne dekoracje (T. A. Kiciński), rekwizyty (Henryk Mochnej), dźwięk (Zbigniew Wolanin), kompozycje muzyczne (Bogna Kicińska), choreografię (Marzena Darmochwał i Jolanta Kicińska) oraz scenariusze (A. D. Misiura i T. A. Kiciński). Opiekunem i dyrektorem teatru jest od początku Irena Zaraza, a reżyserią zajmują się Tadeusz A. Kiciński i Andrzej D. Misiura. W ciągu kilku lat ten amatorski zespół, oprócz pięciu premier dochował się grupy naprawdę dobrych aktorów, którzy dodatkowo wzięli jeszcze udział w plenerowych inscenizacjach historycznych, jak oblężenie Krasnegostawu, czy symulacja stanu wojennego, nie licząc filmów reklamowych dla ościennych powiatów.



Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Siennickiej
i

Teatr Pokoleń

przedstawia spektakl



W BARANIEJ GŁOWIE

scenariusz
Andrzej David Misiura

reżyseria
Tadeusz Andrzej Kiciński i Andrzej David Misiura

koordynator
Irena Zaraza



wykonawcy:
Magdalena Adamczuk, Karol Bojarczuk, Ewa Dziedzic, Maria Guz,
Paulina Kaluźniak, Marek Kapeluszny, Bogdan Kargul, Halina
Kargul, Katarzyna Kondratiuk, Wojciech Leszczyński, Konrad
Loba, Bogusław Mochnej, Henryk Mochnej, Agnieszka Proskura,
Artur Proskura, Stefan Zajęc.

Sala konferencyjna Urzędu Gminy Siennica Różana

Dnia 11 marca 2012 r. (niedziela) godz. 18⁰⁰

Pozytywistyczne opowiadanie Henryka Sienkiewicza nowatorsko
adaptowane i przeniesione na scenę naszych czasów.

Aby sprawdzić ile aktualności jest w problemach sprzed dwóch
wieków warto obejrzeć ten spektakl.



Teatr Pokoleń, Rekonstrukcja stanu wojennego 2011
fot. Stanisław Kliszcz



Teatr Pokoleń, Oblężenie Krasnegostawu 2010
fot. Andrzej Staroń

Artur Capała

Mapy pułkownika Mayera



1 marca 2012 roku, w Muzeum Regionalnym w Krasnymstawie otwarta została nowa wystawa pt. „Mapy topograficzne Krasnegostawu i okolic z lat 1801-1804”. Na ekspozycji prezentowanych jest 10 powiększonych kopii map, wykonanych metodą cyfrową w wysokiej rozdzielczości, których oryginały przechowywane są w zbiorach Archiwum Wojny w Wiedniu. Zostały one przygotowane na zlecenie Sztabu Generalnego i doskonale opisują obszar tzw. Galicji Zachodniej tj. terenów Rzeczypospolitej Obojga Narodów, które zostały przyłączone do Austrii w wyniku trzeciego rozbioru. Pracę tę, trwającą kilka lat, wykonał zespół ponad 30 wojskowych kartografów pod kierownictwem pułkownika Antoniego barona Mayera von Heldensfelda. Łącznie wykonanych zostało odręcznie 275 kolorowych kart (arkuszy) w większości w skali 1:14 400. Mapy obejmujące część Małopolski, dzisiejszą Lubelszczyznę, południową część Mazowsza oraz Podlasia szczegółowo oddają rozkład miejscowości, sieć dróg, rzeźbę terenu, pól, łąk, lasów, rzek, zbiorników wodnych, a także położenie kościołów, cmentarzy, młynów, krzyży przydrożnych. Na ich podstawie, w roku 1808 wydany został atlas zawierający 12 czarno-białych map wykonanych techniką miedziorytu o wymiarach 44,5 x 66 cm, których autorem był Hieronim Benedicti.

W latach 1919-1920 zawartość archiwów wiedeńskich badał z ramienia komisji likwidacyjnej CK monarchii profesor Instytutu Geografii Uniwersytetu Jagiellońskiego, Ludomir Sawicki. Po powrocie do Polski, opublikował dwie prace tj. „Spis map Archiwum Wojennego w Wiedniu odnoszących się do ziem polskich” (Warszawa 1921) oraz „Pułkownika Antoniego barona Mayera von Heldensfelda zdjęcia topograficzne w Polsce w latach 1801-1804” (Kraków 1928). W tej drugiej publikacji opisuje on sposób ich przygotowania oraz nazwiska ich autorów (w przypadku prezentowanych na wystawie map znamy nazwiska dwóch podporuczników tj. Franza Liebetaura oraz Grunenberga (imię nieznane).

Prezentowane mapy zawierają dużo informacji na temat miejscowości dzisiejszego powiatu krasnostawskiego, w tym samego Krasnegostawu (karta 237), np. zostały zaznaczone nieistniejące już dzisiaj budowle tj. zamek, pierwszy ratusz oraz obwarowania miejskie. Na pozostałych mapach można zobaczyć m.in. Sobieską Wolę, Wysokie (k. 198); Czernięcin, Olszankę, Turobin, Żabno (k. 199); Częstoborowice, Pilaszkowice, Rybczewice (k. 219); Gorzków, Olchowiec, Piaski Szlacheckie, Żółkiewkę (k. 220); Bzowiec, Chłaniów, Płonkę, Rudnik (k. 221); Borowicę, Łopiennik Lacki, Łopiennik Ruski, Stężycę (k. 236); Izbicę, Orłów Drewniany, Orłów Murowany, Tarnogórę (k. 238); Siennicę Różaną, Zagrodę, Żdzanne (k. 252); Bończę, Kraśniczyn, Wojsławice (k. 253).

Artur Capała

Ryszard Maleszyk

Jak Austriacy obmierzyli Krasnystaw i jego okolice w latach 1801-1804

(Wystąpienie wygłoszone 1 marca 2012 r. na otwarciu wystawy)



Jeszcze do niedawna, nasza wiedza o tym jak było urządzone królewskie miasto Krasnystaw dwieście lat temu, kiedy Rzeczpospolita całkowicie utraciła niepodległość, była bardzo uboga. Dzisiaj możemy z nieukrywaną satysfakcją powiedzieć, że w tym obszarze poszliśmy kilka sążnistych kroków do przodu. Po kilkumiesięcznych staraniach, Muzeum Regionalne w Krasnymstawie wzbogaciło się o kopie wojskowych map Krasnegostawu i dawnego powiatu krasnostawskiego, od Turobina po Kraśniczyn, pozyskanych z Archiwum Wojny w Wiedniu (Kriegsarchiv in Wien). Od 1 marca możemy je oglądać w powiększeniu na wystawie w holu głównym muzeum. Wykonane zostały w wyniku mozolnej, czteroletniej pracy przez zespół austriackich wojskowych kartografów pod kierownictwem pułkownika Antona Mayera von Heldensfelda. W sumie, w latach 1801-1804 spo-

ządzono 265 map z terenów III rozbioru Polski włączonych do Austrii, z czego 10 (kopie w posiadaniu muzeum) dotyczy ziem powiatu krasnostawskiego sprzed 1795 r.



Turobin i okolice

Austriackie mapy są niesamowicie precyzyjne, gdyż zawierają w sobie ogromną masę szczegółów, nawet takich jak młyny wodne, czy też przydrożne kapliczki. Są znakomicie zachowane, najwyraźniej przechowywane się je w zwojach, gdyż nie ma na nich jakiegokolwiek śladu zagięcia powstałego od składania. W czasach, gdy je tworzone, na pewno były drogie. Większość naniesionych na mapy szczegółów, jak chociażby zabudowa w poszczególnych miejscowościach, zostało wykonanych ręcznie. Kiedy czekaliśmy na przesyłkę z Wiednia, ciekawość moją wzbudziła osoba zdolnego austriackiego oficera, który stał na czele 36-osobowego zespołu. Poniżej przedstawiam jego biografię zawodową.

Urodził się w Pradze w 1765 r. w rodzinie szlacheckiej. Przedstawiciele austriackich rodów, noszący stary arystokratyczny tytuł Freiherr (pochodzący od ustanowienia stanu wolnych obywateli), często w języku grzecznościowym tytułowali się baronami. Przeważnie kiesę mieli pustą, za to tytuł dawał im spore możliwości



Anton Freiherr (baron) Mayer von Heldensfeld
1765-1842

w zrobieniu kariery urzędnika lub wojskowego. Ojciec rodziny - Johann Mayer nie miał talentu do wojska. W 1777 r. został awansowany zaledwie do stopnia chorążego armii austriackiej (Unterleutnant). Rodzina postanowiła, by ich syn Anton oddał się karierze wojskowej, co było bardzo modne wśród biednej, ale dumnej arystokracji, a rozrastając się, armia austriacka stwarzała taką szansę. Mając 18 lat, został wychowankiem Akademii Wojskowej w Wiener-Neustadt jako kadet proporczykowy regimentu (pułku piechoty) Marii Teresy¹. Już od pierwszych miesięcy nauki, wojskowi przełożeni zwrócili uwagę na niezwykle zdolności młodego kadeta w zakresie topografii. To zaowocowało, że jako 23-letni podporucznik, został skierowany na wojnę z Turcją 1788-1789. Mianowano go asystentem w sztabie generalnym, gdzie w warunkach wojennych uczył się kreślenia planów, nie unikając przedkładania wyższym oficerom trafnych uwag. Choć armia austriacka w tej wojnie walczyła ze zmiennym szczęściem, to jednak jej końcowym sukcesem było zajęcie Belgradu. Służba na wojnie w sztabie generalnym stała się początkiem błyskotliwej kariery Heldensfelda. Nim tak się stało, przeszedł wiele kampanii, bo tak się złożyło, że jego życie przypadło na lata wojen w Europie trwających tylko z małymi przerwami aż do 1814 r. Czasy były niebezpieczne, łatwo było polec na jednym z licznych pól bitewnych, ale też znakomite do budowania kariery, zwłaszcza jak się miało trochę talentu do spraw wojskowych.

Po wojnie tureckiej, awansowany do stopnia porucznika Heldensfeld, został przydzielony do Kwatery Głównej Sztabu Generalnego. W cztery lata później został awansowany do stopnia kapitana i skierowany na front kampanii francuskiej w Niderlandach, trwającej w latach 1793-1795, w której wojska austriackie walczyły przeciwko rewolucyjnej Francji w koalicji z holenderskimi, pruskimi i angielskimi. Dostawał różne przydziały w sztabach sojuszniczych armii. Służył w sztabie korpusu holenderskiego, następnie pod rozkazami angielskiego księcia Yorku i pruskiego generała-lejtnanta Knobelsdorfa. Przygotowywał plany bitew i potyczek. Za opracowanie planu szturm na ufortyfikowane

wane umocnienia zwane linią Meiznera, otrzymał w 1795 r. awans do stopnia majora. W rok później już był podpułkownikiem i kawalerem Orderu Rycerskiego. Do 1797 r. pełnił służbę w Kwaterze Głównej Wojsk Kwatermistrzowskich. Następnie został skierowany na front włoski, gdzie objął stanowisko szefa sztabu korpusu dowodzonego przez feldmarszałka Sztáraya. W wojnie włoskiej wojska austriackie doznały szeregu niepowodzeń, mając za przeciwników Francuzów, Włochów i Legiony Dąbrowskiego. Wśród legionistów dużą część stanowili Polacy wcieleni do wojsk austriackich, którzy masowo dezertowali i przechodzili na francuską stronę. Byli wśród nich także osoby pochodzące z Lubelszczyzny.

Na froncie włoskim Heldensfeld uświadomił sobie, że wielonarodowościowa armia austriacka, choć lepiej zaopatrzona niż Francuzi, nie ma w sobie ducha do walki. Nie znamy jakie miał poglądy na temat Polaków, którzy od kilku lat nie mieli już swojego kraju, między innymi za sprawą ojczyzny, której służył, a którzy w najbardziej jaskrawy sposób manifestowali niechęć do zaborcy. Gdzieś pod koniec kampanii dotarła do niego wiadomość o bardzo młodym i niezwykle zdolnym francuskim oficerze - specjaliście od artylerii - Napoleonie Bonaparte. Ten, mając zaledwie 24 lata, został w 1799 r. awansowany na pierwszy stopień generalski, a Europa dopiero miała całą zadrzeć w posadach na dźwięk jego nazwiska.

Względny czas europejskiego spokoju od 1801 r., austriackie dowództwo wojskowe postanowiło wykorzystać na rozbudowę swojego potencjału, a jednocześnie poddać eksploatacji ziemie polskie zagarnięte w III rozbiorze. Oprócz zmian administracyjnych, potrzebna była dokładna znajomość terenu. Przystąpiono więc do opisu kartograficznego. Konkurencja była duża, ale ktoś lepiej mógł wypełnić misję, jak nie awansowany do stopnia pułkownika i odznaczony Krzyżem Rycerskim Orderu Marii Teresy² 35-letni Heldensfeld. Dobrał on sobie zespół kartografów wojskowych, którzy w latach 1801-1804 wykonali pomiary i sporządzili mapy całego terenu zwanego Galicją Zachodnią. Szef zespołu odbywał liczne podróże po tym te-

1. Maria Teresa Habsburg (1717-1780) niekoronowana cesarzowa Austrii od 1745 r.

2. Najwyższe odznaczenie wojskowe w Austrii, aż po 1918 r.

renie, kontrolując tempo prac. W 1802 r. podróżował między innymi z Sandomierza przez Zamość, Krasnystaw do Chełma, a dalej na Podlasie. Oficerowie, wśród których nie było Polaków, przeszli szkolenie u geometrów, a nawet u astrologów. Posługiwali się bowiem podobnymi przyrządami jak na statkach.

Gdy w 1805 r. wybuchła nowa wojna, został szefem wojsk kwatermistrzowskich austriackich wysłanych na front. Po klęsce pod Austerlitz, zajął się z szefem sztabu generalnego odbudową kondycji wojsk austriackich. Sporządzone przez jego zespół mapy posłużyły wojskom austriackim w wojnie w 1809 r., ale nie pomogły im na tyle, by doprowadzić do zwycięstwa. Pod naporem żołnierzy Księstwa Warszawskiego, utracili wszystko to co zabrali w 1795 r., doznając dodatkowo klęski od wojsk napoleońskich w bitwie pod Wagram. Wielkim wydarzeniem w karierze wojskowej Heldenfelda był udział w bitwie narodów pod Lipskiem. Awansowany do stopnia generalskiego Feldmarschalleutnant dowodził jedną z dywizji piechoty. W 1814 r. wrócił na front włoski, gdzie będąc w stopniu zbrojmistrza polnego (Feldzeugmeister) objął dowództwo zdobytej twierdzy Mantua. Tam też, w 1836 r. doczekał się przejścia w stan spoczynku. Zmarł w Weronie, 2 czerwca 1842 r.

Epilog

Efekty czteroletniej, żmudnej pracy zespołu pułkownika barona Heldenfelda są imponujące. Mapy służyły przede wszystkim do celów wojskowych, ale nie tylko. W 1808 r. na ich podstawie wydano album geograficzny obejmujący ziemie III zaboru tzw. Galicji Zachodniej. Ze względu na swoją dokładność, posłużyły do opracowania map frontu wschodniego I wojny światowej. O ich istnieniu Polacy dowiedzieli się już w okresie międzywojennym, ale jakoś przez blisko 100 lat - przynajmniej pomiędzy Wisłą a Bugiem - nie budziły większego zainteresowania. Zapewne austriackie archiwa zawierają w swoich zbiorach ogromne jeszcze ilości cennych dla nas dokumentów, także o funkcjonowaniu Krasnegostawu od upadku powstania kościuszkowskiego po rok 1809.

dr Ryszard Maleszyk

Marcin Podgórski

Powiat krasnostawski w pierwszych dniach listopada 1918 roku



Rozprężenie armii austriackiej, której żołnierze, pozbawieni dostaw zaopatrzenia, dokonywali na przełomie listopada i grudnia 1918 r. coraz to brutalniejszych rekwizycji, skłoniło dowództwo Polskiej Organizacji Wojskowej do podjęcia zdecydowanych działań. Wydano rozkaz rozpoczęcia akcji rozbrajania żołnierzy CK armii. Do pierwszej tego typu akcji doszło 3 listopada 1918 roku. Z rozkazu komendanta obwodu krasnostawskiego POW Henryka Wisłockiego, ps. „Szarota”, w Tarnogórze rozbrojono wówczas 13 żołnierzy strzegących linii kolejki wąskotorowej, oraz 54 żołnierzy i oficerów pułku taborowego. Drugi oddział, pod dowództwem Józefa Telejki, rozbroił 50 żołnierzy z pułku taborowego w Tarzyniechach, gdzie zdobyto spory zapas broni, żywności oraz innego sprzętu wojskowego, który został wykorzystany w kolejnych akcjach. Rozbrajanie żołnierzy austriackich w zdecydowanej większości przebiegało bez większych problemów. Niedługo po wypadkach tarnogórskich, oddziały POW ruszyły szybkim marszem w stronę Krasnegostawu, rozbrajając po drodze 23 żołnierzy strzegących mostu w Wólce Orłowskiej. Następnie, przy współudziale powiatowców z Małochwieja, rozbrojono posterunek austriacki strzegący mostu kolejowego w Tuligłowach, oraz następny, na stacji kolejowej w Krasnymstawie. 4 listopada 1918 roku w samym Krasnymstawie zebrali się znamienitsi obywatele miasta, tacy jak: ks. prefekt Cyrawski, Hendygiery, Majewski, Bazylek, dr Zalewski oraz instruktor straży kresowej Bobrownicki i udali się do Kreiskomando (Komendy Powiatu) z zamiarem nakłonienia dowódcy austriackiego garnizonu, majora Rozwadowskiego, na wydanie swym żołnierzom rozkazu złożenia broni. Pomimo początkowych oporów, na wieść o wkraczających do miasta oddziałach POW wydał rozkaz kapitulacji. Rozbrojono 200 żołnierzy piechoty, przeważnie narodowości czeskiej, 22 żandarmów oraz oddział gospodarczy. W ciągu kilku godzin cały Krasnystaw znalazł się w polskich rękach.

Podobnie rzecz się miała w innych miejscowościach powiatu. Oddział POW z Piasiek Szlacheckich, razem z bojowcami z Gorzkowa rozbroił

w Wielkopoli oddział żołnierzy obsługujący tamtejszą linię kolejki wąskotorowej, której tabor był często wykorzystywany do rekwizycji, oraz posterunek żandarmerii (podczas wymiany strzałów ciężko ranny w szcękę został komendant posterunku). W akcji tej zdobyto 6 koni wierzchowych, 180 koni taborowych, 100 wozów, 1 kuchnię polową, 60 karabinów, 4 000 koron gotówką, duże zapasy żywności oraz uprzęży. W tym samym czasie w Borowie rozbrojono oddział austriacki obsługujący wojskową kolejkę konną.¹

Oddziały POW w Żółkiewce, widząc totalny rozkład tamtejszego garnizonu, przystąpiły do akcji. Rozklejono odezwy wzywające garnizon do złożenia broni, które jednak pozostały bez żadnego odzewu. Łącznik wysłany po instrukcje do Krasnegostawu, już po drodze otrzymał wiadomości o skutecznych akcjach rozbrojeniowych w innych miejscowościach powiatu, niezwłocznie powrócił do Żółkiewki. 3 listopada o godzinie 20 rozpoczęto rozbrajanie posterunków. Dowodził świeżo przybyły z Rosji Edward Cimek.² Najpierw złożył broń oddział żandarmerii, następnie 60 żołnierzy taborowych i strzegących magazynu. Zdobyto wtedy 60 koni, 30 wozów taborowych, 10 siodła, 150 metrów zboża, a także 14 tysięcy koron w gotówce.³ Równocześnie z rozpoczęciem akcji w Żółkiewce, rozesłano gońców do posterunków POW w Płonce, Turobinie i Maciejowie. W wyniku działań połączonych oddziałów z Płonki i Rudnika, rozbrojono posterunek żandarmerii w Rudniku. Podobnie postąpiono z posterunkiem w Turobinie.

Nad ranem, 4 listopada 1918 r. „uzbrojeni w karabiny peowiacy z Maciejowa furmankami udali się do Wysokiego, by razem z tamtejszymi peowiakami rozbroić posterunek żandarmerii. Po drodze do Wysokiego napotkali i rozbroili dwóch żołnierzy austriackich z oddziału zwożącego zwłoki żołnierzy poległych przed trzema laty na okolicznych pobojuwiskach, na wspólne cmentarze. Następnie, po połączeniu się z peowiakami z Dragan i Wysokiego, rozbrojono wspólnymi siłami posterunek żandarmerii w Wysokiem, gdzie znajdowało się 12 żandarmów, po czym udano się do Tarnawki i Zakrzewa, gdzie znów, łącznie z tamtejszymi peowiakami, rozbrojono 22 żołnierzy z „oddziału pogrzebowego”, 7 żołnierzy z oddziału

gospodarczego oraz 7 żandarmów z zakrzewskiego posterunku, przy czym uwolniono 80 Serbów - jeńców austriackich. Zdobyto również wielką liczbę karabinów, które trzema furmankami odesłano do Krasnegostawu. Zarząd nad zdobytym na Austriakach mieniem sprawowała komisja gospodarcza wyłoniona przez ludność gmin Wysokie i Zakrzew. Powołała ona straż publiczną, nazwaną później Milicją Ludową, która miała pilnować porządku na wyzwolonym terenie.⁴ Oddział POW z Pilaszkowic, pod dowództwem Piotra Mądrali, byłego żołnierza armii rosyjskiej, i Grzesiaka, po połączeniu się z oddziałem ze Stryjna oraz nawiązaniu kontaktu z komendantem z Piask Luterskich, Stanisławem Smykiem, rozbroili w Rybczewicach posterunek żandarmerii w sile 9 żołnierzy. W wyniku przeprowadzonej akcji zdobyto 15 karabinów oraz 4 krowy.

Mieszkańcy gminy Fajstławice, na terenie której nie było zorganizowanych komórek POW, o rozbrajaniu okupantów dowiedzieli się od mieszkańców powiatu lubelskiego. W Trawnikach pięciu ludzi z Woli Ildzikowskiej uczestniczyło z tamtejszym oddziałem POW w rozbrajaniu posterunku żandarmerii. Następnie ten sam oddział ruszył na zdobyczym samochodzie ciężarowym w stronę Fajstławic. Jednakże zanim dotarli do celu, posterunek austriackiej żandarmerii w liczbie 6 żołnierzy oraz oficera i 12 pruskich żołnierzy z tzw. „oddziału pogrzebowego” został rozbrojony przez miejscowych peowiaków.

„W Krynicy, siedzibie ósmej Komendy Miejscowej POW, odczuwano, jak i w innych miejscowościach, przez kilka dni, że termin walki „wisi w powietrzu”. Toteż 3 listopada od wczesnego rana w „rowach krynickich” (tak nazywa tamtejsza ludność głębokie jary porośnięte krzakami), krynicki oddział POW odbywał ćwiczenia w ostrym strzelaniu. Wieczorem przyszła wiadomość, że nadszedł już czas działania. Na rozkaz 18-letniego komendanta miejscowego, Józefa Osoby, stanęła cała młodzież męska z tej małej, bo zaledwie 47 domów liczącej wsi. (...) Naprzód w miejscowej szkole złożyli przysięgę POW ci, którzy dotąd byli traktowani jak rekruci, a razem z nimi świeżo przybyli z Rosji starzy rosyjscy żołnierze. Następnie sprawdzono stan uzbrojenia, braki uzupełniano karabinami i amunicją, odkopanymi w ziemi niedługo przedtem spod „Sapkowej chałupy”, gdzie były schowane w blaszanym, szczelnie zalutowanym cylindrze

1. F. Żurek, Powiat krasnostawski w walce o wolność, Wyd. II, Lublin 2009, s. 196.

2. Tamże, s. 197.

3. Tamże, s. 197.

4. Tamże, s. 198.

(...) przez byłego komendanta miejscowego tej komendy, Franciszka Żurka”.⁵ Krynicki oddział POW rozbroił w Bzitem 50 żołnierzy strzegących stacji kolejowej oraz 150 ludzi ze stojącego w Józefowie wojskowego taboru kolejowego. W wyniku tej akcji zdobyto sześć wozów karabinów oraz innego sprzętu wojskowego. Kolejnym celem oddziału był most i stacja kolejowa w Wincentowie, gdzie sprawnie rozbrojono 10 żołnierzy strzegących mostu oraz obsługę stacji. Ostatnią akcją oddziału POW z Krynicy, przy udziale peowiaków z Siennicy Nadolnej, była likwidacja tamtejszych posterunków austriackich znajdujących się przy moście kolejowym i w wartowni. Tego samego dnia doszło do rozbrajania żołnierzy armii okupacyjnych także w Łopienniku oraz Stężycy, gdzie złożyło broń 8 żołnierzy austriackich. Po zakończeniu akcji, oddziały POW zabezpieczyły zdobycz i odmaszerowały do Krasnegostawu.

Równocześnie z akcjami krynickiego POW, w Krupem rozbrojono posterunek żandarmierii oraz wysłano gońców do wszystkich Siennic, z rozkazem rozpoczęcia akcji. Rozbrojono tam 8 Czechów pilnujących w Siennicy Królewskiej cz. I lasów rządowych, następnie rozbrojono 8 żołnierzy w Żdzannem oraz kolejny posterunek w Kraśniczynie.

5 listopada praktycznie cały powiat krasnostawski był wolny od okupanta, więc wszystkie oddziały POW, z wyjątkiem posterunków strzegących ważnych obiektów o znaczeniu wojskowym, znalazły się w Krasnymstawie. POW na wsi tworzyli ludzie związani z PPS lub z ludowcami, zaś ziemianie, mieszcianie oraz przedstawiciele kleru opowiadali się za lojalnością wobec Rady Regencyjnej. W związku z tym, w porozumieniu z majorem Rozwadowskim, komendant POW Henryk Wisłocki „Szarota”, podjął próbę zmuszenia swoich żołnierzy do złożenia przysięgi przedstawicielom wymienionego organu rządzącego. „6 listopada, z chwilą nadejścia do Krasnegostawu ostatniego oddziału POW, Wisłocki przed godziną 3 ppoł., ustawił oddziały POW w kolumnę na placu przed kościołem, gdzie obok stołu, na którym postawiono krzyż, zgrupowali się ksiądz prefekt Cyrawski, ks. dziekan Decjusz, wspomniany już major austriacki Rozwadowski, Starożyński i wielu innych, którzy jakoś nie znaleźli przedtem okazji, by wykazać swój patriotyzm i wrogość względem zaborców. Peowiakom przedłożono tekst przysięgi, zapew-

nijącej posłuszeństwo i wierność dla Rady Regencyjnej, w imieniu której władzę nad żołnierzami POW miał objąć major Rozwadowski. Po odczytaniu tekstu, „Szarota” Wisłocki wezwał peowiaków, by natychmiast złożyli przysięgę. Odpowiedzią na ten rozkaz było głucho milczenie. Milczenie długie i ciężkie. Każdy z peowiaków rozpamiętywał w tym momencie całą tragedię Legionów, Szczypiorno, Beniaminów, Marmaros-Sziget, ciężką dolę więźnia Magdeburga - ukochanego Komendanta, Józefa Piłsudskiego, zaprzepaszczenie przez Radę Regencyjną I Korpusu Muśnickiego, nikczemną jej rolę w kryciu przed światem obłudnego stanowiska Niemiec w sprawie polskiej”.⁶ W związku z dwukrotnym powtórzeniem, przez komendanta „Szarotę”, rozkazu złożenia przysięgi i z dwukrotną odmową żołnierzy, zdesperowany Wisłocki wydał rozkaz złożenia broni. Na tę komendę peowiaczy odpowiedzieli zarepetowaniem karabinów. Na miejsce „Szaroty”, komendantem powiatu krasnostawskiego POW został Piotr Ferens ze Stężycy, który wysłał delegatów po instrukcję do Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej utworzonego w Lublinie. W wyniku otrzymanych tam instrukcji, zlikwidowano władzę proregencyjnego „Komisarza Rządu Polskiego”, która utrzymała się zaledwie przez 24 godziny, powołując w to miejsce Komisariat Ludowy, podporządkowany rządowi ludowemu Ignacego Daszyńskiego w Lublinie.

Wydarzenia w powiecie krasnostawskim, podobnie jak w innych zaborach, miały istotny wpływ na odrodzenie się niepodległej Polski. Rozprężenie armii zaborczych sprzyjało działaniu. Polska Organizacja Wojskowa - tajna armia powołana przez Piłsudskiego, wykonała swoje zadanie. Jednakże rozbrojenie armii zaborczych było dopiero początkiem procesu kształtowania się państwa polskiego, które teraz czekała walka o kształt nowych granic.

Marcin Podgórski

Bibliografia:

1. Żurek F., Powiat krasnostawski w walce o wolność, Wyd. II, Lublin 2009.
2. Koprukowniak A., Społeczna aktywność w regionie chełmskim (1864-1914), w: Rocznik Chełmski, tom I, 1995.
3. Nestor. Czasopismo Artystyczne, nr 2(16), Krasnostaw 2011.

5. F. Żurek, Powiat krasnostawski..., s. 200.

6. Tamże, s. 202-203.

Elżbieta Przebirowska

Historia wsi Dobryniów - część I (od pierwszej wzmianki do połowy XIX w)



Dobryniów to wieś położona na wysokim brzegu rzeki Wieprz przy historycznym trakcie z Lublina do Lwowa. Pierwsza pisana wzmianka pochodzi z 1359 r. z traktatu rozgraniczającego polsko-litewską granicę państwową. Przy jej wytyczeniu odwoływano się do licznych nazw topograficznych zachowanych do czasów obecnych. Między parą wsi Oleśniki i Dobryniów przebiegała ona w następujący sposób: „od rzeki Wieprz do Przesepnego Dołu i Przespy, dalej rzeką płynącą z Łężego Błota”. Dzięki dokumentowi wiemy, że w Dobryniowie istniał już wtedy młyn wodny. Traktat podpisali w imieniu Polski Grot z Chobrze, w imieniu Litwy - Andrzej Szerkalicz z Krupego „w przytomności rady starców - mężów zacnych” po sześciu dla każdej ze stron. Jednym z reprezentantów strony ruskiej był Czucz z Dornow, pierwszy wymieniony z imienia mieszkaniec wsi, w którym niektórzy upatrują także pierwszego znanego jej właściciela. Od 1387 r. wieś znajdowała się na terenach należących do Polski i była wsią królewską.



Widok z Dobryniowa na łąki nadwieprzańskie

W roku 1410 chorągiew chełmska pod znakiem wyobrażającym „białego niedźwiedzia między dwoma drzewami w polu czerwonym” brała udział w bitwie pod Grunwaldem. Z nią miał się znajdo-

wać pod Grunwaldem biskup chełmski obrządku łacińskiego, Stefan ze Lwowa. Jemu przypisuje się nakłonienie króla Władysława Jagiełły, aby w akcie dziękczynnym uposażył biskupstwo chełmskie. Aktem z dnia 19 sierpnia 1417 roku oddał biskupom dochody z kilku wsi m.in. z Dobryniowa wraz ze stawem i młynem. W tym czasie nastąpiła transformacja prawna wsi na wzór niemiecki.

Nie znamy przynależności parafialnej Dobryniowa przed lokacją wsi Łopiennik w 1426 r. i budową w niej kościoła parafialnego erygowanego w 1430 r. Jednak w obłacie przywileju fundacyjnego kościoła w Łopienniku Lackim z r. 1653 istnieje wzmianka o kaplicy filialnej we wsi Dobryniów i jej funkcjonowaniu „ex antiquo”. Niektórzy badacze (m.in. L. Bieńkowski) przypisywali tejże kaplicy we wcześniejszej fazie charakter kościoła parafialnego. Nie możemy tego wykluczyć, ponieważ najbliższy znany kościół z I poł. XIV w. znajdujący się w Krasnymstawie, był jak na tamte czasy w dużej odległości od wsi. W 1502 r. w Łopienniku Ruskim została ufundowana przez króla Aleksandra Jagiełłę cerkiew pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Do powstałej przy niej parafii prawosławnej, przemianowanej po unii brzeskiej na unicką, należała część mieszkańców Dobryniowa.

Nie wiemy kiedy Dobryniów przestał wchodzić w skład „dóbr stołowych” biskupów chełmskich i znalazł się z powrotem we włościach królewskich. W 1564 r., gdy przeprowadzano lustrację dóbr starostwa krasnostawskiego, wieś była jego częścią. Wykazała ona, że zamieszkiwało tu dziesięciu kmieci na półłankach, płacących po dziesięć groszy czynszu pieniężnego. Oprócz pieniędzy, mieszkańcy dawali na rzecz starosty daniny w naturze w postaci owsa i jaj. We wsi żyli również zagrodnicy oraz trzech rybaków mających prawo do połowu ryb na Wieprzu. Znajdowała się tu karczma. Jak na owe czasy była to wieś średniej wielkości, zamieszkała przez ok. 20 rodzin.

Według spisu ludności z 1664 r. zawartego w „Lustracji województwa ruskiego”, w Dobryniowie żyło 119 chłopów, rodzina dzierżawcy p. Tomasz Ciecholewskiego składająca się z 3 osób, i 25 osób określonych jako inne (rzemieślnicy, osoby pracujące przy dworze oraz ludność pochodzenia żydowskiego). We wsi była karczma zwana Łyskowa należąca do rodziny dzierżawcy wsi. Była

potrzebna, jako miejsce postoju podróżnych przy bardzo uczęszczanym trakcie.

Kolejne pięćdziesiąt lat nie było dobre dla Dobryniowa i jego mieszkańców. Wojny dotyczące ziemi chełmską w II połowie XVII w. i pocz. XVIII w. zmniejszyły średnio o połowę stan liczby mieszkańców we wsiach królewskich. Najgorsza sytuacja była w najbogatszym powiecie krasnostawskim. Tu ubyło nawet 70% mieszkańców. Do spadku ludności przyczyniły także mające miejsce w tym samym czasie trzy epidemie cholery.



W 1716 roku dzierżawcą wsi był Michał Mączyński. Wrejestrzeszkód dokonanych przez wojsko znajduje się wycena strat niektórych ówczesnych mieszkańców Dobryniowa. Jako pokrzywdzeni, oprócz wójty i dzierżawcy wymienieni zostali: Olechowicz, Litwin, Jurek, Andruch, Sawa, Iwańczuk, Górny Maciek, Kuśnierz, Butrenko, Perczuk Adam, Szymczuk, Nemczyk Jurek. Kilku pokrzywdzonych nie wymieniono w spisie z nazwiska, lecz według zawodu jaki wykonywali. Byli to tkacz, pastuch i arendarz. Od 1736 r. Dobryniów znajdował się w dobrach pisarza wielkiego koronnego Ludwika Kalinowskiego i jego drugiej żony, Elżbiety z Ponińskich. Znalazł się tam w wyniku zastawu dokonanego przez rodzinę Prażmowskich. Wykupiony został przez Mikołaja Prażmowskiego, potem należał do jego syna Wojciecha, następnie przechodził w ręce Eligiusza i Franciszki Prażmowskich.

Wizytacja kościelna z 1774 r. w parafii Łopiennik Ruski określa liczbę 126 osób zdolnych do

spowiedzi z Łopiennika Ruskiego i Dobryniowa. Unickich mieszkańców Dobryniowa było z tej liczby 1/5 czyli ok. 25 osób dorosłych.

W 1808 r., po sprawie sądowej między dworem a Kościołem unickim o dziesięcinę, został wykonany spis chłopów gospodarujących na gruntach wsi Dobryniów i podział dziesięcin dla parafii łacińskiej i greckiej. Dzięki niemu znamy nazwiska wszystkich gospodarzy we wsi. Do parafii greckiej należało i dziesięcinę w snopach żyta oddawało 14 kmieci. Byli to gospodarujący na 1/4 łana zie-

mi: Mateusz Adamczuk, Stanisław Kuter, Gabryel Sawa, Onufry Planeta, Jan Sawa, Stefan Przebirowski, Antoni Sawa, Jacenty Dragańczuk, Bazyli Kuchta, Paweł Jarosz, Jan Kozak, Józef Hymosz, Stanisław Libatyński. Więcej ziemi posiadał wójt Bazyli Sawa, który gospodarował na 3/8 łana. Do parafii łacińskiej należało i dziesięcinę snopową oddawało 11 kmieci. Na ćwierćłanku gospodarowali następujący gospodarze: Szymon Jarosz, Wojciech Wiszniewski, Tomasz Korzeniowski, Łukasz Protaz, Józefowa Karczewska - wdowa, Wojciech Górny, Jakób Korzeniewski, Wojciech Bocheński, Maciej Markowski, Jakób Libatyński, Wojciech Kuśmierz. Dwór będący dzierżawą Prażmowskich, do którego należało 8 łanów ziemi oddawał dziesięcinę parafii łacińskiej w Łopienniku Lackim.

Dobryniów był pod względem wyznaniowym wsią łacińsko-grecką. Mieszkańcy bardzo często wchodzili w mieszane związki małżeńskie. Było na to przyzwolenie obydwu Kościołów - łacińskiego

i unickiego. Mieszkańcy wsi szukali małżonka, który znajdował się w podobnej sytuacji ekonomicznej, a nie religijnej.

Po upadku I Rzeczypospolitej wszystkie wsie królewskie zostały własnością rządów zaborczych. Dobryniów był własnością rządu Austrii w latach 1795-1809, a następnie Księstwa Warszawskiego. Od 1815 roku tymi dobrami zarządzała Komisja Skarbu Królestwa Polskiego. W 1827 roku we wsi znajdowało się 27 domów, które zamieszkiwało 161 osób.

Na początku XIX wieku we wsi znajdowało się około 14 łąnów ziemi. Na 6 łąnach, czyli 180 morgach (ok. 100 ha), było 25 gospodarstw. W połowie XIX w. nastąpił znaczny wzrost liczby mieszkańców wsi, a co za tym idzie duże rozdrobnienie gospodarstw. W 1864 roku Dobryniów włączono do gminy Łopiennik (Ruski), a ziemia rządowa została przekazana mieszkańcom wsi na własność w ramach uwłaszczenia. Późniejszy podział małych gospodarstw będzie miał wpływ na dalsze pogarszanie się sytuacji materialnej mieszkańców wsi.

Elżbieta Przebirowska

Literatura:

1. Archiwum Państwowe w Lublinie. Chełmski Konsystorz Greckokatolicki nr zesp. 95.
2. Archiwum Państwowe w Lublinie. Księgi Grodzkie Krasnostawskie nr zesp. 12.
3. Arłamowski K., Arłamowska E., Kaput W. - Lustracja województwa ruskiego 1661-1665. Część III, Ziemie halicka i chełmska, Wrocław 1976.
4. Bieńkowski L. - Działalność organizacyjna biskupa Jana Biskupca w diecezji chełmskiej (1417-1452), w: Roczniki humanistyczne T. 7, 1958, z. 2
5. Dzieje Lubelszczyzny. Praca zbiorowa PWN, Warszawa 1974.
6. Czarnecki W. - Sieć osadnicza ziemi chełmskiej w XIV i XV w., w: Rocznik Chełmski T. III, 1997.
7. Kuraś St., Sułkowska-Kuraś I. - Zbiór dokumentów małopolskich, cz. 4, Wrocław 1962-1975.
8. Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich. oprac. F. Sulimierski i W. Walowski t. II, 1880-1914.
9. Tabella miast, wsi, osad Królestwa Polskiego, z wyrażeniem ich położenia i ludności, alfabetycznie ułożona w Biórze Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych i Policyi. t. I, Warszawa 1827.
10. Wawryniuk A., - Leksykon miejscowości powiatu chełmskiego, Chełm 2002.

Grażyna Wójcik

Historia pewnego rodu nauczycielskiego. Część I



I

Ludzkie serce panuje nad przeszłością, ludzka pamięć przywołuje ją i ocala. Wielkie i małe sprawy w sercu nabierają swego wymiaru.

Te słowa wynotowałam z książki dr Wandry Półtawskiej „Beskidzkie rekołeksje”, w której zawarła wspomnienia rozmów, wędrówek i listów Ojca Świętego Jana Pawła II. Stały się mottem historii mojej rodziny, którą zapisałam na podstawie zachowanych dokumentów i wspomnień cioci Stanisławy Dziubińskiej z Chełma. Jestem przekonana, że losy mamy, Janiny Jawor z domu Błędkowskiej (19.11.1921-25.10.2009) to lekcja patriotyzmu, a zarazem ciekawa historia rodu nauczycielskiego.

Matka Janiny Jawor, a moja babcia, Maria Eugenia Gawrońska (później Błędkowska) urodziła się 22 lipca 1890 roku w Skalacie w Galicji. Obecnie są to tereny Ukrainy, a w tamtym czasie - rdzennie polskie ziemie pod zaborem austriackim. Zaborcy pozwalali Polakom posługiwać się ojczystym językiem, toteż babcia ukończyła pięcioklasową szkołę polską we Lwowie. Świadcstwo potwierdza jej wyjątkowe zdolności. Pracę oświatową rozpoczęła 1 kwietnia 1918 r. w Kapuścińcach, ale niebawem przybyła na Lubelszczyznę zakładać polskie szkoły i od 1 września tego roku prowadziła już ją w Chorupniku, w Suszniu (1925) i w Borowie (1934-1940).

W Chorupniku poznała mojego dziadka, Jana Błędkowskiego, który był przystojnym mężczyzną, pracował w gminie i umiał ładnie grać na skrzypcach, ale pochodził z rodziny chłopskiej, a babcia była przecież z rodu Rawita-Gawrońskich, o których piszą w herbarzach i encyklopedii. Rodzina miała do niej żal, że popełnia mezalians, ale miłość była silniejsza. Choć był trochę młodszy, wyszła za niego 26 lutego 1919 roku i urodziła potem sześćoro dzieci, z których dwoje zmarło w niemowlęctwie.



Maria i Jan Błędkowsky z dziećmi Janiną (moją mamą) i Marianem

Babcia była dobrą nauczycielką. Przed wojną, w 1938 r. otrzymała brązowy i srebrny medal za długoletnią służbę. Praca nauczyciela była kiedyś powołaniem, cieszyła się wielkim szacunkiem, podobnie jak powołanie księży i lekarzy, nie tak jak obecnie.



Księża i nauczycielki w Gorzkowie w 1934 r.
Pierwsza z prawej to moja babcia

Na początku II wojny światowej ciężko zachorowała na serce i zmarła w wieku 50 lat. Śmierć zapewne przyspieszył stres, świadomość niebezpieczeństwa i fakt, że na początku wojny nauczycielki-mężatki były od razu zwalniane z pracy, co spotkało także moją babcie. Osierociła 4 dzieci, z których najstarsze (moja mama) miało 18 lat, a najmłodsze - 10. Wcześniej zobowiązała jeszcze męża, aby nie zaniedbywał kształcenia dzieci.

Marian, młodszy od mamy o dwa lata, zdał wówczas do klasy trzeciej gimnazjum w Krasnym-

stawie, a Kazimiera - do klasy pierwszej. Po wojnie uzupełnili wykształcenie, zdając maturę i kończąc studium nauczycielskie. Zostali pedagogami. Najmłodsza z rodzeństwa, Stanisława Dziubińska szerzyła oświatę w Chełmie, a jej córka Bożena i wnuczka Ewa kontynuują ten piękny zawód, który wykonywałam z pasją również ja.

Warto dodać, że mój pradziadek, Alojzy Gawroński urodził się w 1856 roku w Kopyczyńcach na Podolu. Natomiast ojciec Alojzego, Feliks Rawita-Gawroński (ur. 1804 r.), pochodzący z rodu szlacheckiego Rawita, miał duży majątek ziemski w dawnej guberni płockiej, na północny zachód od Warszawy. Za udział w powstaniu listopadowym 1831 r. musiał uciekać za granicę, aby uniknąć zesłania na Sybir. Po przekupieniu straży granicznej złotem, został przerzucony na stronę zaboru austriackiego w beczce po smole i osiedlił się w Kopyczyńcach. Pradziadek Alojzy został tam ochrzczony. Na podstawie świadectwa wiadomo, że do klasy trzeciej uczęszczał w 1868 r., a ślub kościelny zawarł 24 sierpnia 1888 roku z Anielą z Gutów.

Świadectwo szkolne z klasy 3
z roku 1868 pradziadka Alojzego



Alojzy Gawroński (na zdjęciu) pochodził prawdopodobnie z hrabiowskiej rodziny herbu Rawita lub Rawicz. Jego żona, Aniela pochodziła również z majątnej rodziny. Była guwernantką w Sieniawie na Podolu w majątku książąt Czartoryskich. Znała niemiecki i była dobrze wykształcona. Poznała pradiadka, bo był administratorem majątków ziemskich i jeździł okazałą bryczką. Po ślubie przenieśli się do Skałatu, potem zamieszkali w Zbarażu. Pradiadek był tam długie lata dyrektorem zakładu ubezpieczeniowego, a jego brat Tadeusz - prawdopodobnie wojewodą tarnopolskim. Prababcia nie pracowała, gdyż opiekowała się dziećmi.



Prababcia Aniela, z domu Gut, z jedną z córek

Urodziła 11 dzieci, ale troje zmarło w dzieciństwie. Pozostałe to dwaj synowie i sześć córek: Eleonora Stadniczenko, Marian Leon Gawroński, Maria Eugenia Błędkowska (moja babcia), Stanisława Róża Zawadzka, Mieczysława Beliniak, Kazimiera Fryderyka Feliszek, Wiktor Aleksander Gawroński. Mieszkali w różnych miejscach, ale najdłużej w Tarnopolu. Mieli to szczęście, że pomimo zaborów mogli uczyć się języka polskiego. Niebawem nastały trudne czasy. Syn Alojzego i Anieli, Marian, który był dyrektorem szkoły, w czasie I wojny trafił na front. Uratował się cudem, bo intuicyjnie uciekł z baraku, w którym ukrywali się żołnierze polscy. Namawiał nawet kolegę do tej ucieczki, ale ten odmówił. W niedługim czasie barak został zbombardowany i przebywający w nim żołnierze zginęli. Siostra jego, Kazimiera ocalona została również od śmierci, ponieważ wyzdrowiała z ciężkiego tyfusu mimo braku leków. W przekazie rodzinnym zachowało się wspomnienie, jak w 1918 roku Ukraińcy po zajęciu Zbaraża stosowali represje wobec ludności polskiej. Pradiadek Alojzy, ze związanymi rękami do tyłu i tabliczką na szyi z ukraińskim napisem: „ten Lach mordował naszych braci Ukraińców” pod eskortą żołnierzy był oprowadzany po mieście. W pewnej chwili z cerkwi grekokatolickiej wyszła procesja z księdzem Zajączkowskim. Pradiadek uklęknął. Wtedy ksiądz rozpoznał go i później wystarał się o uwolnienie. Alojzy Gawroński zmarł w 1927 roku na zapalenie płuc i pochowany został w Zbarażu.

Po 123 latach niewoli, Polska odzyskała niepodległość i zaczęła się odbudowywać pod wodzą marszałka Józefa Piłsudskiego. Dzieci Alojzego i Anieli usamodzielniały się i rozjechały w różne strony. Moja babcia, Maria Eugenia Gawrońska przyjechała z koleżanką Marią Kiciak do Gorzkowa i Chorupnika. Stanisława Zawadzka zamieszkała w Gródku z córką Lucyną. Owdowiała w 1941 roku, gdy rozstrzelano jej męża, notariusza. One same przeżyły obóz koncentracyjny Ravensbrück, a po wojnie osiedliły się w Warszawie. Kazimiera przyjechała do Warszawy z bratem Wiktozem. Jej mąż, przedwojenny oficer Wojska Polskiego, należał prawdopodobnie do AK i wziął udział w powstaniu warszawskim.

Najmłodsza siostra babci, Wanda Janiszewska z córką Danutą i synem została wywiezio-

na na Sybir. Zdjęcie przedstawia Wandę z dziećmi w grudniu 1940 roku obok sowieckiej szkoły we wsi Kładbinka w północnym Kazachstanie.



Wanda Janiszewska z dziećmi

Wanda i Danuta przeżyły piekło, o czym świadczy fragment listu: „Pobyt jej w roku 1939 na Syberii dawał niewielkie gwarancje przeżycia. W nocy bolszewickie NKWD aresztowało jej męża (zginął w Katyniu lub innym miejscu na terenie Rosji), a ją z dziećmi wywieźli. NKWD to jest to samo, co niemieckie gestapo, tylko jeszcze bardziej szatańskie”. Pewnego dnia udało im się jednak uciec z obozu. Przekupiły woźniców dowożących żywność, i kiedy strażnicy upili się, uciekły pod osłoną nocy na stację kolejową, gdzie odchodził pociąg z żołnierzami do powstającej armii Andersa. Z armią przewędrowały wiele krajów: Iran, Irak, Egipt, Włochy. Pracowały jako nauczycielki. Po wojnie miały trudności z powrotem do kraju, ale ostatecznie zamieszkały w Zabrzu. Na Śląsk zostali skierowani po wojnie prawie wszyscy rodacy z Podola. Prababcia Aniela zmarła w 1948 roku i została pochowana w Mikulczycach koło Zabrze.

II

**Ludzie się modlą zwyczajnie i szczerze.
To na tych prostych ludziach stoi ten świat, bo
oni utrzymują równowagę globu.**

„W okresie międzywojennym - wspomina Janina Jawor - z okazji 3 Maja odbywała się wielka uroczystość. Dzieci maszerowały z biało-czerwonymi chorągiewkami. Jechała uroczysta konnica. Ponieważ było bardzo dużo ludzi, księża odprawiali mszę świętą na dworze, pod krzyżem. Następnie odbywały się występy dzieci szkolnych. Były wiersze i pieśni patriotyczne. Były także tańce polskie”. Na tych uroczystościach występowała również szkolna orkiestra, w której moja mama grała na skrzypcach.

Przed wojną istniały szkoły powszechne o różnych stopniach organizacyjnych. W szkołach pierwszego stopnia uczył jeden nauczyciel. Nauka trwała 7 lat. Klasę pierwszą realizowano w ciągu roku, drugą również, trzecią przez dwa lata i czwartą przez trzy lata. Po tej szkole uczeń nie mógł być przyjęty do szkoły średniej.

Szkoły drugiego stopnia dawały lepszy start na dalsze życie. Nauka w nich też trwała 7 lat, ale realizowano program sześciu klas, a nie czterech. Klasa szósta była dwuletnia i po niej uczniowie mogli ubiegać się o przyjęcie do gimnazjum. Musieli jedynie zdawać egzamin ze wszystkich przedmiotów.

Szkoła trzeciego stopnia była najlepiej zorganizowana. Po ukończeniu klasy szóstej uczniowie zdawali do szkoły średniej egzamin z języka polskiego, matematyki i religii. W takiej szkole uczyło 5 lub więcej nauczycieli.

Mama chodziła do I i II klasy szkoły podstawowej w Potaszn, a szkołę trzeciego stopnia (kl. III-VI) ukończyła w Gorzkowie. Przed wojną i w czasie II wojny światowej w tej szkole uczyli tacy nauczyciele jak J. Malicki, W. Malicka, H. Tatowska, A. Tatowski, Z. Surówek, A. Polonczyk, A. Hawrylecka, M. Kiciak, R. Ostrowska, M. Szpringer, B. Kwasucka. Była dobrą uczennicą, więc bez trudu zdała egzamin do gimnazjum w Krasnymstawie.

Jak trudny był egzamin świadczy fakt, że na 480 podań przyjęto tylko 80 uczniów. Egzamin wstępny przeprowadzany był w ciągu jednego dnia i składał się z części pisemnej z języka polskiego

i matematyki oraz z części ustnej ze wszystkich przedmiotów, oprócz artystycznych. Temat egzaminu pisemnego brzmiał „Opisz swoją miejscowość rodzinną”.

W gimnazjum lekcje odbywały się codziennie, czyli 6 dni w tygodniu, po 6-7 godzin oraz dodatkowe 2 godziny poświęcone były na chór, rysunek lub naukę drugiego języka zachodniego. Dyscyplina i jednocześnie szacunek dla nauczycieli był ogromny, o czym może świadczyć też fakt, że nauczyciele wchodzili do budynku wejściem od ulicy, a uczniowie wejściem od podwórza. Nie do pomyślenia było też, aby uczeń nie uklonił się nauczycielowi czy nie przepuścił w drzwiach.

Zarówno gimnazjum jak i liceum mieściło się w jednym budynku przy ul. Lubelskiej (obecnie Jana Matysiaka). Należy dodać, że w okresie, który wspominam, klasy były już mieszane, gdyż przedtem było tylko liceum męskie. Uczęszczała młodzież polska i żydowska i nie było mowy o nagłaśnianym teraz sztucznie antysemityzmie. Po prostu kolegowali się normalnie i mama wspominała, że niektóre jej żydowskie koleżanki czy koledzy byli bardzo zdolni, ale nie zanotowałam ich nazwisk. Uczyli się wspólnie, jedynie na lekcje religii młodzież żydowska nie uczęszczała, a chodzili na nabożeństwa do swojego rabina do synagogi.

Mama opowiadała, że jedna z jej żydowskich koleżanek zaprosiła ją raz do swojego domu mieszczącego się niedaleko szkoły. Wspominała też, że nauka przychodziła jej dość łatwo, lubiła się uczyć, nauczyła się czytać szybko i ze zrozumieniem, więc pomagała wiele razy słabszym koleżankom. Wspominała takie dziewczęta, jak Kociubiankę i Rzeczycką (obecnie też już nie żyją). Uczyła się również i przyjaźniła z córką dyrektora Wójtowicza i dzięki temu otrzymała w czasie wojny propozycję pracy w tajnym nauczaniu. Ponieważ przed wojną nie wszystkie dzieci mogły kontynuować naukę po szkole podstawowej, więc ci, którzy mieli to szczęście, starali się wywiązywać ze swoich obowiązków szkolnych nadzwyczaj solidnie. Każdy uczeń szkoły średniej spędzał wiele godzin nad książką, a było to jedyne źródło wiedzy. Nie było rywalizacji w postaci „wyścigu szczurów” jak obecnie, lecz duża solidarność uczniowska. Zdolniejsi uczniowie pomagali słabszym i przez to sami uczyli się jeszcze lepiej.

Nauczyciele przedwojenni byli bardzo wymagający i surowi. Nie dziwił mnie więc fakt, że wiele lat po wojnie mama cytowała bezbłędnie fragmenty „Pana Tadeusza” czy umiała tłumaczyć teksty łacińskie bądź francuskie. To ona była moim pierwszym nauczycielem języka francuskiego. Z muzyki miała ocenę bardzo dobrą, bo grała w orkiestrze szkolnej na skrzypcach. Nauczyła się tego już w domu rodzinnym, bo jej tata, a mój dziadek, oraz wujek grali w kapeli na skrzypcach.



Po czwartej klasie gimnazjum, mama została przyjęta bez egzaminu do I klasy liceum matematyczno-fizycznego i ukończyła ją z wynikiem bardzo dobrym tuż przed II wojną światową. Na zdjęciu mama (druga z lewej) siedzi w pierwszym rzędzie razem z koleżankami i kolegami oraz wychowawcą klasy licealnej Kazimierzem Bobą (rok 1938). Mama wspominała lata szkolne tak: „Co niedziela lub w święta cała szkoła, na czele ze sztandarem i szkolną orkiestrą dętą, czwórkami wraz z nauczycielami maszerowała do kościółka na nabożeństwo”.

Uczniowie byli bardzo zdyscyplinowani, nikomu nie przyszło do głowy buntować się przeciw mundurkom, granatowym beretom z orzełkiem i tarczy na rękawie. Strój szkolny (dzisiaj nie do pomyślenia) to granatowa wełniana spódnica do połowy łydki i bluzka z kołnierzem i długimi rękawami. W czasie lekcji nakładano też czarny fartuch z długimi rękawami i białym prostym kołnierzykiem bez ozdób, co widać na zdjęciu. W gorące dni pozwalano nosić bluzki lniane. Na głowie granatowy beret z orzełkiem i tarcza na lewym rękawie mundurka były chlubą ucznia gimnazjum i liceum. W jesieni i zimie zakładano płaszcze dwurzędowe, granatowe, z guzikami podobnymi do wojskowych. Pantofle i trzewiki na zimę, obowiązkowo czarne lub brązowe na niskich obcasach, to była jedyna

moda. Uczniowie nie mogli spacerować ulicami czy siedzieć w parku, a za wyjście z chłopcem wyrzucano ze szkoły. Obecny brak dyscypliny w szkołach i zachowanie według hasła „róbta co chceta” skutkuje wieloma nieszczęściami spowodowanymi przez młodych ludzi. Dyscyplina, a nawet rygor w szkole mojej mamy, wzmocnił ją trochę na ogrom przeżyć, które napotkała na swojej dalszej drodze życiowej.

W 1937 roku Polska zaczęła już odczuwać zbliżające się niebezpieczeństwo ze strony niemieckich sąsiadów. Dyrekcja i nauczyciele liceum postanowili przygotowywać młodzież do obronności państwa poprzez wprowadzenie przysposobienia obronnego. Chodziło o wpajanie młodzieży odwagi, umiłowania ojczyzny, honoru, starannego wywiązywania się ze swoich obowiązków, koleżeństwa. Mama, wraz z innymi uczniami, poznawała podstawy przygotowania przeciwlotniczego, działanie radiotelefonów i telefonii, strzelectwa. Uczyla się musztry wojskowej i oddawania honorów. Dziewczęta odbywały również dwutygodniowe praktyki w szpitalu, aby poznać ratownictwo, opiekę nad rannymi, służbę sanitarną. Wykłady prowadził bardzo zasłużony dla szkoły doktor Lickindorf. Ćwiczone również obronę przeciwgazową na lekcji przysposobienia wojskowego. Opowiadała, jak zakładały prymitywne wtedy maski gazowe, jak ćwiczyły strzelanie na strzelnicy obok obecnego Liceum Ogólnokształcącego im. Wł. Jagiełły przy ul. Piłsudskiego. Ćwiczenia z obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej odbywały się w schronie jednostki wojskowej łączności w miejscu obecnego Technikum Mechanicznego. Uczniowie nakładali prymitywne maski i ubrania przeciwiperytowe i w ciężkich butach maszerowali wokół ścian schronu. Uczyli się tam również szyfrowania informacji i alfabetu Morse'a.

W ostatnim roku przed wojną, w liceum pracowali następujący nauczyciele: Henryk Cybulski, Wiktoria Patryn, Irena Karpińska, Kalikst Szymonowicz, Sylwia Jelinek, Tadeusz Stanisław, Roman Radkiewicz, Irena Bończoszek, Janina Papiesz, Jan Domka, Kazimierz Boba, Janina Wierciak, Henryk Kunz, Janina Sicińska, Jadwiga Suszycka, Aleksander Ostrowski, Zofia Szwarczyk, Czesław Loebel i inni. Dyrektorem był nauczyciel historii Kazimierz Wójcicki.

Chociaż warunki materialne wielu rodzin na wsiach i miasteczkach, jak Krasnystaw, były zdecydowanie trudniejsze niż obecnie, zapal do nauki był większy. Świadczy o tym liczba uczniów w roku szkolnym 1938/39: 306 osób w gimnazjum, i 88 w liceum. Gimnazja i licea były już koedukacyjne, a nauczaniem i wychowaniem zajmowało się w Krasnymstawie 16 nauczycieli.

Nauka w szkole średniej przed wojną była płatna i dosyć droga. Rodzice dzieci wiejskich wybierali inwestycje w ziemię jako zabezpieczenie przyszłości, a nie ich wykształcenie bez gwarancji dobrobytu - o pracę było trudno z powodu bezrobocia. Czesne wynosiło 400 złotych za jedno półrocze. Roczny koszt nauki porównywalny był z wartością 1 ha ziemi. Zniżki w opłacie czesnego przysługiwały dzieciom pracowników państwowych. Za internat płacono 50 zł miesięcznie, a warunki tam panujące były tragiczne: duże sale ogrzewane piecami kaflowymi, zapelnione łózkami. W budynku nie było łazienek, a toalety znajdowały się na zewnątrz.

Wyposażenie szkół w pomoce naukowe było też skromne: kilka map, obrazów. W sali przyrodniczej stało akwarium z rybkami i roślinami, w oszklonej szafce - kilka szkieletów zwierzęcych. W sali zajęć praktycznych znajdowały się narzędzia stolarskie, mała tokarka o napędzie ręcznym, noże do szkła, nożyce do blachy i piłki do cięcia drewna. W pracowni chemicznej, przy każdym kilkusobowym stoliku znajdował się palnik, do którego doprowadzono gaz z butli znajdującej się na korytarzu i zabezpieczonej siatką. Kiedy przeprowadzano ćwiczenia, otwierano wszystkie okna. W podziemiach szkoły zamontowano silnik samolotowy ze śmigłem. Na lekcji fizyki był on uruchamiany na kilka sekund, co wywoływało popłoch, bo cały budynek drżał.

Ciężka była nie tylko praca nauczycieli, ale i obsługi. Woźny szkolny musiał codziennie narażać drewna, napalić w piecach kaflowych i sprzątać. Uczniowie chodzili w butach, gdyż drewniane podłogi nasączone były czarnym pyłochłoniem. Nie było też kanalizacji, a wodę dowożono beczkowozem. W takiej sytuacji wielką katorgą były dla uczniów lekcje wychowania fizycznego, często dwugodzinne.

Grażyna Wójcik

Joanna Antoniuk

„Szkoła lotna” na terenie wsi Czysta Dębina i Borów



Spółeczeństwo wsi Borów było dość zróżnicowane, ponieważ składało się z drobnych chłopów, ziemian oraz ze zubożałej szlachty. Zajmowano się głównie uprawą roli, tylko nieliczni wykonywali pracę wyrobniczą (szewc, kowal, krawiec, sprzedawca itp.). Pomimo braku wykształcenia a zajmowania się pracą rolniczą, tutejsza ludność zaczęła dostrzegać potrzebę i ważność edukacji swoich dzieci. Jednakże nie było to możliwe, bowiem ludzie nie posiadali podręczników, jak też nie było wykwalifikowanej kadry, która mogłaby pokierować tą edukacją.

W 1916 r. nastąpił ważny zwrot w działaniach na rzecz powstania placówki oświatowej na terenie Borowa. Stało się to za sprawą władz zaboru austriackiego, pod którym znalazły się nasze ziemie. W roku 1916 powstała prowizoryczna szkoła na sąsiedniej wsi Czysta Dębina. W kronice tej szkoły możemy przeczytać, iż „przeistoczono szkołę w szkołę”.¹ Była to tzw. „szkoła lotna”. Nazwę swą posiadała ze względu na położenie placówki, bowiem oddziały (klasy) znajdowały się w domach mieszkańców. Usytuowanie poszczególnych lokali szkolnych zmieniało się co rok, czasem częściej, w zależności od potrzeb i możliwości finansowych dozoru szkolnego. Założona przez Austriaków placówka nie miała własnego lokalu. Jednakże uporano się z tym problemem, poprzez wynajmowanie pomieszczeń w domach u miejscowej ludności.

Mieszkańcy ochoczo udostępniali pomieszczenia na lokale szkolne. Na terenie wsi Borów, izby w domach wynajmowali: Jan Kot (znajdował się tu oddział IV), Franciszek Jarocki (oddział V), Jan [Wojciech] Bortacki (oddział I) oraz Władysław Iłowiecki (oddział III), zaś na sąsiedniej wsi Czysta Dębina - Władysław Korecki (oddział II) i Feliks Brych.² Szkoła obejmowała swym zasięgiem obie

wsie, w których wynajmowano pomieszczenia. Początkowo zatrudniono jedną siłę nauczycielską, którą była Madejówna, następnie Aleksandra Hinterlejerówna z Czystej Dębiny.³



Aleksandra Hinterlejerówna
członkini POW w Czystej Dębinie

Zajęcia w szkole odbywały się nieregularnie, bowiem placówka stale cierpiała na brak zatrudnionych nauczycieli. W roku szkolnym 1919-20 nauka w szkole nie odbywała się przez trzy miesiące z powodu braku kadry pedagogicznej. W 1921 roku jeden oddział szkoły na terenie Borowa, znajdował się w pomieszczeniu miejscowej karczmy.⁴ Oddział placówki funkcjonował również w domu rodziny Mierzwów (obecnie dom rodziny Gontarzów) w Borowie. W latach 1921-22 w tutejszej placówce pracę podjęła Maria Jarmulska. Jej próby edukacji miejscowych dzieci okazały się trudne z powodu braku kompletnego inwentarza szkolnego oraz podręczników. Po licznych zabiegach, m.in. pogadankach z rodzicami, dzieci zaczęły

1. Kronika szkolna Szkoły w Czystej Dębinie - mps. w posiadaniu autorki, s. 2.

2. Z relacji Zbigniewa Bednarza.

3. Kronika szkolna Szkoły w Czystej Dębinie, s. 1-2.

4. Z relacji Longiny Mrozek.

przynosić książki do szkoły.⁵ Maria Jarmulska pracowała w szkole do 1 listopada 1922 r. Na jej miejsce, 8 grudnia tegoż roku, przyjechali Wanda i Jan Maliccy. Zaś po ich wyjeździe w 1924 r. szkoła przez rok była nieczynna.

Z dniem 13 października 1925 r. posadę nauczycielki objęła Aleksandra Draganówna. W roku szkolnym 1925-26 lokal szkolny mieścił się w domach Władysława Koreckiego oraz Feliksa Łosia. Od 13 października 1926 r. oddziały szkół w Czystej Dębinie i w Borowie zostały połączone, poczynawszy od oddziału piątego. Akta obydwu placówek złączono w jedno, włączając do inwentarza szkoły w Borowie.⁶ Sale w dalszym ciągu mieściły się w domach wynajętych przez dozór szkolny. Grono nauczycielskie tworzyli: Hipolit Giełtra, który był kierownikiem szkoły, oraz dwie nauczycielki - Karolina Giełtra i Aleksandra Draganówna. Kadra pedagogiczna starała się, aby młodzież szkolna aktywnie uczestniczyła w życiu społeczeństwa. W tym też celu urządzono zbiórkę pieniędzy na sprowadzenie zwłok Juliusza Słowackiego do Polski, jak również sprzedawano znaczki z podobizną Marii Curie-Skłodowskiej, aby wesprzeć budowę instytutu jej imienia. Sale lekcyjne były w dalszym ciągu bardzo małe i niehigieniczne. Liczba dzieci w klasie kilkakrotnie przekraczała normy, bowiem w każdym pomieszczeniu na 1 m² przypadało czworo dzieci, najmniej dwoje. Brakowało osobnych wejść do klas, co utrudniało utrzymanie stanu pod względem higienicznym. Z powodu braku właściwego lokalu, dzieci z oddziałów VI i VII musiały uczęszczać do szkoły w Gorzkowie. W tym samym roku wieś Borów została administracyjnie włączona do gminy Gorzków, bowiem wcześniej należała ona do gminy Rudnik.

Do tutejszej szkoły, w roku szkolnym 1927-28, uczęszczało 215 uczniów. Kierownik placówki, Hipolit Giełtra podjął się prowadzenia kursów oświaty pozaszkolnej w dwóch kompletach i dwóch stopniach (II i III). Na kurs II stopnia zgłosiło się ponad 50 osób. Ze względu na to, iż szkoła powinna nie tylko zajmować się przekazywaniem wiedzy oraz wychowywaniem, postanowiono zadbać o higienę dzieci. Gminy wybrały dwóch inspek-

torów zdrowia, którzy codziennie przed lekcjami badali stan czystości klasy oraz uczniów, po czym zdawali relację wójtowi i nauczycielowi. Warunki sal lekcyjnych nie ulegały poprawie, bowiem na 1 m² nadal przypadało czworo dzieci. sale były małe, ciemne i odbiegały od właściwych warunków sanitarnych. Z powodu nielicznych przypadków niestosownego zachowania się części uczniów, ustanowiono w placówce sąd uczniowski składający się z sędziego (nauczyciela) i dwóch ławników (uczniów). Za przewinienia karano małą sumą pieniężną lub krótkim karcerem.⁷ Pierwsze namiastki organizacji szkolnych, pojawiły się w 1927 r. Wtedy to, młodzież prowadziła w szkole założony z własnych funduszy sklepik uczniowski.⁸ Rok później utworzono „gminę szkolną” w oddziałach wyższych. Zadaniem jej było prowadzenie sklepiku i dbanie o sprawę właściwego zachowywania się dzieci na terenie placówki.⁹ Dzięki sumie zebranej z działalności sklepiku szkolnego, a także za kwotę zebraną ze składek osobistych, zakupiono sztandar szkolny. To wydarzenie wprowało w wielką dumę zarówno dzieci, jak i nauczycieli. W tym samym roku gmina wspólnie z sejmikiem, przystąpiła do budowy mostu, celem połączenia Borowa z Czystą Dębiną. Dzięki temu, uległyby polepszeniu warunki dotarcia dzieci do szkoły.

W latach 1928-1929 zmienił się skład grona nauczycielskiego, ponieważ na miejsce J. W. Malickich przybyli Jan i Józefa Rokitowie oraz Regina Smogorzewska. W dniu 13 listopada 1928 r. oddziały I i II w Czystej Dębinie, jako oddziały równoległe, zostały zniesione i włączono je do oddziałów zasadniczych w Borowie. Pismem kuratorium z dnia 7 sierpnia 1929 r., stopień organizacyjny szkoły został podniesiony na czteroklasowy. Od dnia 6 września 1929 r. Maria Kiciak rozpoczęła pracę w miejscowej szkole, ucząc oddziały Ia i II. Regina Smogorzewska prowadziła zajęcia w Ib i III oddziale, Józefa Rokita uczyła w IV oddziale, zaś Jan Rokita zajmował się prowadzeniem lekcji w V i VI oddziale. Nowo przybyła nauczycielka, Maria Kiciak została przeniesiona na stanowisko do szkoły w Gorzkowie w 1931 r. Posadę w szko-

5. Tamże, s. 3.

6. Tamże, s. 2-5.

7. Tamże, s. 7-26.

8. Kronika szkolna Szkoły w Czystej Dębinie, s. 6.

9. Tamże, s. 8.

le w Borowie objęła Józefa Krupińska.¹⁰ Kierownik szkoły, Jan Rokita objął wychowawstwo w oddziałach V i VI i nauczał w tych oddziałach wszystkich przedmiotów. Józefa Rokita była wychowawcą w oddziale IV. Prowadziła zajęcia w oddziale V i VI. Regina Smogorzewska objęła wychowawstwo w oddziałach II i IIIb oraz naukę w tych oddziałach. Józefa Krupińska była opiekunem w oddziałach I i IIIa. Prowadziła także zajęcia w tych oddziałach. Nauczyciele, rozumiejąc doniosłość idei edukacji, urządzili wraz z dziećmi zbiórkę ofiar na rzecz pomocy szkole polskiej poza granicami kraju. W dniach 3-9 maja 1931 r. urządzono wśród dzieci i nauczycieli kolejną zbiórkę na Dar Narodowy 3 Maja. Zebrano wtedy sumę pieniędzy w kwocie 3 zł. W czerwcu tego samego roku, za sprawą kierownictwa MWRiO, grono nauczycielskie zorganizowało w miejscowej szkole składki na zakupienie okrętu handlowego dla Polski.

W roku szkolnym 1932-33 nastąpiła zmiana w kadrze tutejszej szkoły, bowiem na miejsce Józefy Rokity, został zatrudniony Piotr Michno. Józefa Wrońska (Krupińska) została przeniesiona do szkoły w Łopienniku (gm. Łopiennik), zaś na jej miejsce przybyła Antonina Bobkiewiczówna. Jednakże z dniem 1 listopada 1932 r. została przeniesiona na inną placówkę. W tym też roku szkolnym powierzchnia sal lekcyjnych wynosiła łącznie 131,78 m² przy 262 uczniach tej szkoły. W związku z ciasnotą, część dzieci nie została objęta obowiązkiem szkolnym.¹¹ W szkole w dalszym ciągu funkcjonował sklepik. Z pieniędzy uzyskanych z jego działalności prenumerowano dla dzieci czasopisma „Płomyk”, „Płomyczek” i „Ilustrację szkolną”.

Z czasem nauka w tej prowizorycznej szkole nie wystarczała, bowiem społeczeństwo doceniało edukację i tylko nieliczni nie posyłali dzieci do szkoły. Wtedy to postanowiono stworzyć szkołę, która posiadałaby własny budynek, a także stałą kadrę nauczycieli. Zarówno mieszkańcy Czystej Dębiny, jak i ludność Borowa, chciała posiadać na swoim terenie ową placówkę.

Joanna Antoniak

Artur Borzęcki



Udział ziemian krasnostawskich w II wojnie światowej w świetle dokumentów bezpieki. Przypadek Witolda Mogilnickiego, właściciela Bzowca

Zaangażowanie ziemian w działalność Polskiego Państwa Podziemnego w latach okupacji niemieckiej jest trudne do przecenienia. Ziemianie nie tylko współtworzyli i finansowali legalną w Generalnym Gubernatorstwie Radę Główną Opiekuńczą, ale włączali się w działalność podziemia, tworząc własną sieć konspiracyjną, współpracującą ze Związkiem Walki Zbrojnej-Armia Krajową np. w ramach organizacji „Uprawa-Tarcza”. Prowadzili też akcję aprowizacyjną, udostępniali lokale czy ukrywali zdekonspirowanych działaczy nie tylko z kręgu ZWZ-AK, ale również np. Narodowych Sił Zbrojnych. Oba obozy - i AK, i NSZ rywalizowały o zaplecze, jakim były dwory, przy czym dodać należy, że w lepszej sytuacji była jednak AK, choć i narodowcy, po części bliscy ideologicznie ziemiaństwu, zyskiwali ich wsparcie. Zupełnie odmienne relacje miały miejsce w przypadku partyzantki GL/AL, która również traktowała dwory jako bazę aprowizacyjną, ale korzystała z niej zwykle w sposób rabunkowych i dywersyjnych najść. Eksploatacja majątków przez komunistyczną partyzantkę dodatkowo miała społeczno-polityczne podłoże, na tle wciąż żywych relacji chłopski robotnik folwarczny-dziedzic. Po wojnie władze dążyły do unicestwienia ziemiaństwa jako wrogiej klasowo grupy społecznej oraz wyeliminowania tej warstwy z kart historii, poprzez pomijanie udziału ziemian w działalności niepodległościowej lub odwrotnie - oskarżając ich o kolaborację z okupantem.

Witold Daniel Mogilnicki (w niektórych źródłach pisane jako Mogielnicki), syn Stanisława i Elizy z Mogilnickich, urodził się 3 stycznia 1898 roku w majątku Juśkowce, powiat ostrogski na Wołyniu (rodzina Mogilnickich miała tam też majątki w Pruskach, Stadnikach i Żawrowie). Był inżynierem rolnictwa, absolwentem uniwersytetu rolniczego i podporucznikiem rezerwy, służył w Wojsku Polskim w latach 1918-1921. Mogilniccy w ma-

10. Tamże, s. 14-20.

11. Tamże, s. 32.



*Dworek Mogilnickich w Bzowcu adaptowany na szkołę.
Fot. ze zb. A. Borzęckiego*

jątku Bzowiec pojawili się pod koniec XIX wieku i - jak należy przypuszczać - była to linia, z której pochodziła Eliza, matka Witolda. Rozstrzygnięcie tej kwestii bez dokładnych badań genealogicznych nie jest łatwe, chociażby z racji panieńskiego nazwiska matki identycznego z nazwiskiem ojca. Tak czy inaczej, ze źródeł wynika, że w sukcesji po Jerzym Mogilnickim, w 1929 r. Eliza Mogilnicka posiadała w Bzowcu Dolnym 194 ha ziemi, natomiast Witold Mogilnicki w Bzowcu Górnym - 540 ha ziemi, a ponadto tartak i młyn wodny. W 1937 r. 215 ha z dóbr Mogilnickiego trafiło na tzw. listę majątków ziemskich przeznaczonych do przymusowego wykupu. Przed II wojną światową Witold pełnił szereg ważnych funkcji w organizacjach, głównie rolniczych. Był wiceprzewodniczącym Lubelskiego Towarzystwa Rolniczego, zasiadał w Radzie Nadzorczej Syndykatu Plantatorów Chmielnych, w Zarządzie Związku Plantatorów Chmielu, w Komisji Rewizyjnej Lubelskiego Związku Hodowców Koni, w Zarządzie Związku Plantatorów Siewnych, był prezesem Żółkiewskiego Koła Porad Sąsiedzkich. W tym czasie Mogilnicki najprawdopodobniej należał też do Stronnictwa Narodowego, a jeśli nie był faktycznym członkiem, to na pewno z tą partią sympatyzował.

Właśnie SN przy udziale Organizacji Polskiej związanej z dawnym Obozem Narodowo-Radykalnym było twórcą konspiracyjnej organizacji cywilnej pod nazwą Służba Cywilna Narodu. SCN powstała na ziemiach polskich podczas okupacji niemieckiej na przełomie 1941-42 r. w celu przygo-

townia kadr do obsadzenia kierowniczych stanowisk w przyszłej administracji niepodległej Polski oraz opracowania planów odbudowy dla wszystkich dziedzin życia gospodarczego, społecznego i politycznego. Ze względu na sytuację w przedwojennej lubelskiej prawicy, należy przypuszczać, że na tym terenie ton organizacji SCN nadawali właśnie działacze SN. Tak jak podczas okupacji niemieckiej, tak i po tzw. wyzwoleniu, tym razem z powodu nieuznania za legalną partię, obóz narodowy zmuszony był do działalności w konspiracji.

W lipcu i sierpniu 1945 r. doszło w Lublinie do kolejnej serii aresztowań wśród członków NSZ Okręgu Lublin i Zarządu Okręgu Stronnictwa Narodowego. Nastąpiły kolejne zatrzymania, w tym także osób z kręgu SN zaangażowanych w działalności SCN. Nazwisko Mogilnickiego, jako kandydata do Sekcji Rolnej SCN, pojawiło się podczas przesłuchania w dniu 5 października 1945 r. Władysława Byszewskiego, ówczesnego szefa reorganizowanego Komisarjatu SCN w Lublinie. Byszewski podał znaną sobie strukturę dawnego SCN, a także proponowany nowy skład organizacji. Zgodził się na to wobec zaświadczenia przesłuchującego go oficera, że osoby przez niego wymienione nie będą pociągnięte do odpowiedzialności karnej. Mogilnicki znalazł się więc wśród osób rozpracowywanych pod kryptonimami „Mecenas” i „Asy”. Podejrzany był przez WUBP nie tylko o członkostwo w Sekcji Rolnej SCN, ale i o to, że w okresie okupacji pełnił z ramienia SCN funkcję agronoma powiatowego na terenie powiatu Krasnostaw. Zadaniem śledczych było ustalenie, jaką Mogilnicki prowadził działalność podczas wojny oraz po wyzwoleniu. Osoba Mogilnickiego miała też posłużyć do rozpracowania struktur SCN na terenie powiatu krasnostawskiego.

Witold Mogilnicki został zatrzymany przez Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Lublinie w dniu 13 października 1945 r. pod zarzutem przynależności do Służby Cywilnej Narodu. Podczas przesłuchania, jeszcze tego samego dnia zeznał, że w okresie okupacji niemieckiej mieszkał w majątku Bzowiec i nie należał wówczas do żad-

nej organizacji. W tym okresie przez majątek - jak to określił - „przechodziły” różne oddziały: AL, AK, rosyjskie, ale jeśli się zatrzymywały to głównie na jedną noc i „sami brali to, czego im było potrzeba”. Wyjątkowo jeden raz pewien oddział stacjonował we dworze przez tydzień, ale Mogilnicki nie pamiętał szczegółów.

W trakcie dochodzenia, śledczy z WUBP przesłuchali w dniu 18 października 1945 r. w charakterze świadka mjr. Leona Radeckiego, ówczesnego komendanta Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Lublinie. Radecki znał Mogilnickiego jeszcze z czasów przedwojennych, gdy był pracownikiem Urzędu Gminy w Rudniku. Ponadto, podczas wojny Radecki w ramach GL/AL działał w zachodniej części powiatu krasnostawskiego, w tym także na terenie gminy rudnickiej.

Zeznania Radeckiego dodatkowo obciążały zatrzymanego, ponieważ podał on, że Mogilnicki miał podczas okupacji niemieckiej w tzw. letnim pałacu, położonym ok. 900 metrów od dworu grupę NSZ składającą się z ok. 80 ludzi i uzbrojoną w automaty, karabiny i granaty. Dowódcą tego oddziału NSZ, oddelegowanego do osobistej ochrony Mogilnickiego, był - zdaniem Radeckiego - Władysław Buszowski „Lanca” z Bzowca, który miał też być zastępcą Wacława Piotrowskiego „Cichego”. W swym zeznaniu Radecki szczególnie akcentował zbrojny konflikt na linii AL-NSZ, oświadczając, że oddział „Lancy” wspólnie z „Cichym” staczał boje z grupą AL Stanisława Szota ps. „Kot”, a także oddziałami „Przepiórki”, „Błyskawicy” i „Cienia”. Opisał również jak to 22 kwietnia 1944 r. przybył do Bzowca (co warto przypomnieć, był wówczas szefem sztabu okręgu 5. - dop. A.B.) po furmanki, został zaatakowany przez oddział „Lancy” i stracił 4 ludzi: Jerzego Krawczyka, Aleksandra Psujka, Antoniego Bochniaka i NN. Radeckiemu pomóc miał nadciągający oddział AL Ignacego Borkowskiego „Wicka”, co zmusiło Mogilnickiego i jego ludzi do wycofania się do lasu. Okoliczności i miejsce śmierci Jerzego Krawczyka (chyba, że chodzi o inną osobę) zastrzelonego przez Niemców, zupełnie inaczej opisuje w swych wspomnieniach Jan Błażejczyk „Pilot”. Błażejczyk pisze także, iż 13 kwietnia 1944 r. rządcą majątku Mogilnickiego, członek AK Bolesław Duda, uciekając się do podstępów, zastrzelił Aleksandra Hanulaka „Pniaka”,

partyzanta AL z oddziału „Wicka”. Podobną wersję podaje również Stanisław Lisik, który ponadto uznał Mogilnickiego za jednego z duchowych przywódców i organizatorów organizacji „Miecz i Pług” na terenie powiatu krasnostawskiego. Z kolei prof. M. J. Chodakiewicz ustalił, że wypadówka AK z Płonki zastrzeliła Hanulaka za bandytyzm w nocy z 4 na 5 kwietnia 1944 r. Co ciekawe, o wydarzeniach opisanych w zeznaniu przez Radeckiego nie ma wzmianki m.in. w „Kalendarium walk Gwardii Ludowej i Armii Ludowej na Lubelszczyźnie 1942-1944”. Jeśli to, co zeznał Radecki, nie było tylko i wyłącznie jego wymysłem, mogło być raczej akcją odwetową AL po śmierci Hanulaka, wzmiankowanej przez Błażejczyka i Lisika.

Drugim wyraźnym punktem zeznań Radeckiego były kontakty ziemianina z Niemcami. Jak stwierdził, do Bzowca często przyjeżdżała żandarmeria niemiecka, majątek Bzowiec miał też ulgi w kontyngentach. Niemcy mieli także dawać broń Mogilnickiemu przeznaczoną dla „Lancy”. A propos „wizyt” Niemców w majątku Bzowiec, ciekawą wzmiankę na ten temat zanotował w swoim dzienniku Zygmunt Klukowski. Mianowicie, jeszcze w grudniu 1941 r. Niemcy zabierali meble do kasyna, Klukowski słyszał z ust świadków, jak to do dworu Mogilnickich w Bzowcu podjechał samochód ciężarowy z Krasnegostawu, na który zabrano wszystkie najlepsze stylowe meble. Przesłuchujący Radeckiego funkcjonariusz WUBP Zdzisław Naporowski zanotował również, że w kwietniu 1944 r. „Lanca” i Mogilnicki kwaterowali w majątku Żabno u Chruścikowskiego.

W dniu 30 listopada 1945 r., ubecy bogatsi o zeznania Radeckiego, po raz kolejny przesłuchiwali Mogilnickiego. Ten potwierdził, że w okolicy dworu jest willa typu zakopiańskiego, gdzie przez tydzień były prowadzone kursy sanitarne. Nieopodal willi, w lesie stacjonował w 1945 r. oddział proveniencji AK w sile 40 osób pod dowództwem Romana Szczura „Urszuli”. Po każdym przejściu przez majątek oddziałów partyzanckich Mogilnicki co prawda powiadamiał Niemców, ale odpowiednio wcześniej ostrzegał o tym dowódcę partyzantów. Jego zdaniem, żandarmi niemieccy stacjonowali w willi tylko raz. W kwestii „Lancy” Mogilnicki zaprzeczył słowom Radeckiego, wątpiąc, aby Buszowski był w organizacji. Na pytanie, czy pamięta

jakieś oddziały partyzanckie walczące w okolicy z Niemcami, Mogilnicki wymienił „Ciąga”, „Sępa”, „Urszulę”, „Podkowę”, a także „Sikorę”. Potwierdził też to, że bojąc się zatrzymania, (była fama, że Niemcy będą aresztować byłych oficerów) przebywał u Chruśkowskich w Płonce, Wierzchowinie, Żabnie oraz w Warszawie, dopóki się nie okazało, że to nieprawda. Co do najścia grupy AL na dwór w Bzowcu, Mogilnicki oświadczył, że w tym czasie był w Krasnymstawie, a napad, jak to określił, miał miejsce zapewne z powodu zatargu aelowców z rządcą majątku, „typem podejrzanym”.

Mogilnicki zeznał, że za czasów okupacji był prezesem Związku Plantatorów Nasion na teren województwa lubelskiego. W dalszym ciągu zaprzeczał, jakoby należał do SCN lub jakiegokolwiek organizacji, ale mając na uwadze fakt, że bezpieczeństwa „coś wie” na jego temat, przyznał się, że był sympatykiem „Rocha”, choć czynnego udziału w organizacji nie brał. Zapewne uznał, że lepiej dla niego będzie, jeśli przyzna się do pewnych kontaktów z ruchem ludowym niż z narodowym i powiedział, że wiosną 1944 r. starał się nawiązać łączność z organizacją, która by skorzystała z jego wiedzy rolniczej. Znajomy z okresu przedwojennego, kierownik szkoły z Bzowca Szałajdewicz, miał zapoznać Mogilnickiego ze swym szwagrem Józefem Kołodziejczykiem „Krukiem”, członkiem powiatowego kierownictwa Stronnictwa Ludowego „Roch”, który poprosił Mogilnickiego, aby wtajemniczył się w działalność ludowej organizacji. Kołodziejczyk poinformował ziemianina, że trzeba już tworzyć podziemną organizację, co ciekawe, w zeznaniu, Mogilnicki mówiąc o tym użył nazwy SCN. „Kruk” miał powierzyć Mogilnickiemu funkcję agronoma powiatowego, pseudonimu nie posiadał. Takie porozumienie Mogilnickiego z ludowcami może dziwić, jako że udział ziemian w ruchu ludowym był sporadyczny w skali kraju i wręcz nienaturalny, ale też i niewykluczony. W przypadku Mogilnickiego raczej była to próba ukrycia przynależności do SCN pod „legendą” współpracy z ludowcami.

Jeszcze w trakcie śledztwa, w ramach tzw. „środka zapobiegawczego”, od 13 stycznia 1946 roku osadzono Mogilnickiego w więzieniu na Zamku Lubelskim. W dniu 17 stycznia 1946 r. w sprawie Mogilnickiego zeznawali też młodszy referent Grupy Walki z Bandytyzmem z PUBP

w Krasnymstawie Jan Przybyła oraz funkcjonariusz Mieczysław Smoleń, którzy zgodnie zeznali, że Mogilnicki należał do AK, a także współpracował z Niemcami.



Grób rodziny Mogilnickich na cmentarzu parafialnym w Chłaniowie, stan w 2011 r. Fot. A. Borzęcki

Ostatecznie w sprawie dochodzenia przeciwko Mogilnickiemu oskarżonemu z art. 1 dekretu o ochronie państwa stwierdzono, że podejrzany nie należał do NSZ, ewentualnie współpracował z Niemcami. Ostatecznie postanowiono, z dniem 22 maja 1946 r., sprawę umorzyć, a akta przesłać do Prokuratury Specjalnej Sądu Karnego w Lublinie. Z dniem 31 sierpnia 1946 r. Mogilnicki został zwolniony z aresztu. Tym samym komunistyczny sąd nie dał wiary zeznaniom Radeckiego, szczególnie w kwestii współpracy z Buszowskim „Lancą”. Nawiasem mówiąc, podczas okupacji niemieckiej działał w powiecie krasnostawskim oddział NSZ „Lancy”, o czym wiemy z doniesienia informatora „Pliszki” choć w kontekście zupełnie innej sprawy, ale był to oddział Bolesława Ostrowskiego ps. „Lanca”.

W wyniku powojennej reformy rolnej, majątek dworski w Bzowcu Dolnym przekształcono w szkołę podstawową, a grunty rolne rozparcelo-

wano. Mogilnicki po wojnie mieszkał w Lublinie na ul. Krakowskie Przedmieście, od listopada 1945 roku zmienił mieszkanie i przeniósł się na ul. Dolną 3 Maja, pracował w Izbie Rolniczej w Lublinie. Na początku 1947 r. wyjechał z Lublina do Warszawy, znalazł tam pracę, a po paru miesiącach zabrał do siebie rodzinę. Następnie zamieszkał w Chodzieży, pracował w Okręgowym Zarządzie Państwowej Gospodarki Rolnej. Zmarł 29 września 1964 r.

Oskarżanie o kolaborację z Niemcami stało się po wojnie narzędziem polityki komunistów także w stosunku do ziemian. Ziemianstwu instrumentalnie przypisywano miano kolaborantów jako tych, którzy „wyprawiali libacje z żandarmią, gestapo i starostami”. Faktem jest, że ziemianom trudno było uniknąć kontaktu z okupantem, ponieważ dwory i pałace były wybierane na miejsce kwaterowania wojska czy samych oficerów, a względem majątków Niemcy również mieli własne plany. Ziemianie, o ile było to możliwe, na ogół starali się zachować dystans względem Niemców, prowadzili przy tym pracę konspiracyjną. Bywało też tak, że Niemcy, szczególnie po 1941 r., wiedząc np. o wspieraniu przez ziemian antykomunistycznej partyzantki narodowej, przymykali na to oko. W przypadku ziemian, tak jak w każdej zbiorowości, mniejszej lub większej grupie społecznej czy zawodowej, zdarzały się przypadki kolaboracji. Pamiętać też trzeba o ofiarach, jakie poniosła warstwa ziemiańska także z powiatu krasnostawskiego, gdzie z rąk hitlerowców zginęli m.in. Stanisław Huskowski, Leon Epsztein czy Józef i Kazimierz Janisławscy.

Artur Borzęcki

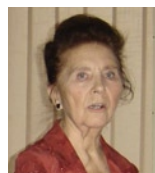
Źródła i literatura w wyborze:

1. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Lublinie (AIPN Lu): sygn. 012/166; sygn. 0136/246; sygn. 043/41; sygn. 81/1624.
2. Błażejczyk J., *Zanim przyszło nowe*. Warszawa 1979.
3. Chorążki M., *Ziemianie wobec wojny. Postawy właścicieli ziemskich województwa krakowskiego w latach 1939-1945*, Kraków 2010.
4. Gapys J., *Postawy społeczne i polityczne ziemianstwa w latach 1939-1945 (na przykładzie dystryktu radomskiego)*, Kielce 2003.
5. Lisik S., *Czerwone opłotki*, Lublin 1978.

Irena Malec-Iwańczyk



„Święty” u kowala



Michalów jest nie tylko urokliwym krajobrazowo i zabytkowym miejscem, ale też stanowi mozaikę kultur i wierzeń ludzi żyjących w pełnej symbiozie. Żyli tu nietuzinkowi mieszkańcy, którzy swoimi talentami odcisnęli pozytywne piętno. Przeważnie byli to ludzie niezwykle zdolni, artyści w swoich zawodach takich jak: kowalstwo, stolarstwo, krawiectwo i inne.



Najwybitniejszym kowalem w okolicy był Józef Berdak, mój dziadek, który legitymował się „mistrzowskim rzemieślniczym dyplomem kowala”. Ponadto za swą rzetelną pracę na rzecz oddziałów wojska austriackiego, stacjonującego w Michalowie, otrzymał od dowództwa „dyplom uznania”. Te dwa cenne dokumenty oraz zdobyte zaufanie i szacunek ludności pozwoliły mu uczyć zawodu nowych rzemieślników, dlatego też przyjął do kuźni kilku terminatorów. Byli nimi: jego syn Jan Berdak oraz Michał Malec - mój ojciec, J. Gołębiowski, S. Daniłowicz i Michał Mierzejewski.

Wśród tych czeladników Michał Mierzejewski, choć był analfabetą, wyróżniał się wyjątkową osobowością. Był to chłopiec szesnasto-, może siedemnastoletni, szczupły, wąty, o bujnych, kręconych włosach, jakby natchnionej twarzy, średniego wzrostu, zapewne sierota. Początkowo past krowy u Jana Rudego. Później był pastuchem u kowala, który obserwując zainteresowanie chłopca rzemiosłem, przygarnął go do rodziny i przyjął do terminu. Odtąd Michałek miał kontakt z szeroką rzeszą ludzi. Wkrótce zyskał sobie przydomek

„Święty Michałek”. Zdecydowały o tym wydarzenia z jego życia.



Michałek z kowalem i drugim pomocnikiem przy pracy w kuźni

Oto dnia 22.11.1928 r. pomocnik kowala Michał Mierzejewski wszedł na szczyt figury i z zamkniętymi oczyma, jakby spał, głosił kazanie.



Michałek wygłasza kazanie

Pastuch przemawiał do ludzi, jak bardzo wykształcony człowiek, jak jakiś ksiądz-erudyta. Ludziom zaparło dech w piersiach. Innym razem wspinał się na dach kuźni, a także na święte figury oraz sąsiednie budynki i chodził po dachach. Kiedyś spadł z dachu, a było to we śnie, nawet się nie obudził i nic mu się nie stało. Innym razem, nocą chodził po pas w zimnej wodzie Wieprza

z zamkniętymi oczyma. To znów z zamkniętymi oczyma i z krzyżem w ręku prowadził pielgrzymki do Radecznicy, a szedł tak szybko, że ludzie nie mogli za nim nadążyć. Niektórzy mówili, że jakoby chodził po wodzie i fruwał. Była w nim jakaś tajemnicza moc. Święty wygłaszał codziennie kazania przed przydrożnymi figurami.

Wiść o nim rozeszła się szybko po okolicznych wsiach i miastach. Tłumy ciągnęły zewsząd, nawet z całej Polski. Znali go nie tylko na Wyżynie Lubelskiej, ale i w Warszawie, na Śląsku, Pomorzu, podobno i zagranicą też. Kazania zaczęły gromadzić coraz więcej ludzi - od sześciu do dziesięciu tysięcy, bo Michałek przepowiadał przyszłość, wytykał ludziom grzechy i mówił o Bogu. Nieraz zdarzało się, że wskazywał ręką na jakiegoś biedaka i napominał „Ty jesteś grzesznik, przeproś Boga”, pokazywał też palcem komunistów, a oni padali na kolana i kajali się. Ludzie się dziwili, skąd on to wszystko wie.

Wzywał też naród, by się poprawił, bo będzie wojna. Przewidział, że we wsi powstanie świątynia. Pielgrzymi o chłódzie i głodzie spali w stodołach i czekali na spotkanie ze „Świętym”, aby razem z nim modlić się i śpiewać pieśni. Przed figurami klęczeli, bili głowami o ziemię, płakali, a co zdolniejsi - pod wpływem wielkich przeżyć układali wiersze i pieśni na cześć Michałka. Z tamtych czasów pochodzi anonimowy wiersz składający się z 20 zwrotek wydany przez J. Woińskiego z Zamościa (druk Szpera), a otrzymałam go od byłego dyrektora Domu Kultury w Zamościu, pana Stanisława Rudego, pochodzącego z Michalowa.

Utwór nosi tytuł „Apostolska pamiątka z Michalowa. Opowieść o Michale, który został Bożym Duchem natchniony i ogłasza słowa Boże”. Do Michalowa, oddalonego o 6 km od Szczepieszyna, przyjeżdżali dziennikarze z całej Polski, fotografowie, mistycy, Żydzi, ludzie biedni i bogaci. O „Świętym Michałku” pisano reportaże, umieszczano jego zdjęć w gazetach.

Oto reporter postępowego „Ekspressu Lubelskiego” w 1928 r. donosił: *Na kazania Michałka - analfabety, pastucha i pomocnika kowala, głoszone przed przydrożną świętą figurą, ciągną pątnicy z całej Polski, a kościół w Szczepieszynie stoi w tym czasie pusty. W dalszej części czytamy: Przez park pałacu klemensowskiego przejeżdżają*

wytworne auta, suną pojazdy, wędrują ogromne rzesze wiejskiego, prostego ludu, zmierzając do Michałka. Niektórzy przeszli pieszo 200, a nawet 300 km o głodzie i w zimnie.

Spotkania ze „Świętym Michałkiem” wykonywali handlarze. Ustawiali stragany i sprzedawali wszystko. Można było kupić słodycze, kielbasę, salceson, a nawet alkohol. Za złotówkę kupowano fotografie z podobizną Michałka. Nieuczciwi sprzedawali worki z piaskiem oraz wodę z rzeki Wieprz, jako od Michałka, święte.

„Święty” głosił kazania codziennie przez półtora roku. Pewnego razu jednak, jak opowiadał mi mój dziadek, a jest to zapewne legenda, gdy Michałek wraz z rodziną Berdaków usiedli w kuchni przy stole, by zjeść obiad, ktoś zapukał do drzwi i wszedł. Był to siwy, słusznej postury starzec. Miał długie włosy i brodę, a w oczach dobroć i błękit nieba.

- Niech będzie pochwalony - powiedział.

- Na wieki, wieków - odpowiedzieli domownicy.

- Jestem strudzonym wędrowcem. Czy mógłbym się zatrzymać na nocleg? - zapytał.

- Gość w dom, Bóg w dom - odpowiedział kowal.

- Proszę usiądźcie, zjemy razem obiad. - Wtedy Katarzyna Berdak postawiła taboret obok Michałka, podeszła do kuchni, nalała barszczu do miski, nałożyła klusek z serem i ze skwarkami na talerz i postawiła na stole przed podróżnym, kładąc obok łyżkę. Wówczas gospodarz wstał, a wszyscy za nim. Przeżegnali się, a następnie zwrócili się do Boga mówiąc:

- Pobłogosław nam, Panie, te dary i spraw, aby poszły na pożytek naszego zdrowia.

Teraz już tylko słyszał było pochlipywanie i mlaskanie, jako objawy zadowolenia ze smako-witości jadła. A gdy miski opróżniono, nieznajomy chwalił i dziękował za proste, ale zdrowe potrawy, a następnie zwrócił się do Michałka.

- Drogie dziecko, Bóg przez ciebie przemawia. Jesteś jego posłańcem i prorokiem. Nie lękaj się, nie czynisz nic złego. Duch Święty cię nawiedza. Ale za prawdę i dobroć będziesz cierpieć. Wytrzymasz. Nie bój się. Kowalu, strzeżcie tego młodego proroka, nie pozwólcie go zniszczyć. - Po tych słowach zniknął, a przecież miał nocować.

Wszyscy zdumiali się i zaczęli zastanawiać, kim był wędrowiec. Myśleli długo, wreszcie kowal zawyrokował, że to był sam Pan Bóg. Inni przyznali mu rację.

Po tym wydarzeniu Józef Berdak zwrócił się z prośbą do michalowskich strażaków, by całym kordonem strzegli Michałka, na co oni chętnie przystali.



Michałek w otoczeniu strażaków głosi kazanie

Odtąd zawsze w odświętnych mundurach i hełmach strzegli go podczas kazań oraz przyprowadzali pod figurę i odprowadzali do domu kowala.



Michałek powracający z kazania w otoczeniu swojej straży

Wkrótce „Święty Michałek” stał się niewygodny dla władz i złych ludzi, prawda, krzywda i troska o sprawiedliwość kłuła ich w oczy. Zaproszony ze Szczepieszyna ksiądz Andrzej Wadowski nie chciał poświęcić kilkumetrowego, drewnianego krzyża ufundowanego przez pielgrzymów z napisem „Pamiętka przez natchnienie Michałka Duchem Świętym”. Dopiero po usunięciu tego napisu, dokonał swego dzieła. Uroczystości tej towarzyszyło 7 tys. ludzi. Pamiętkowy krzyż do dziś

stoi na łące wśród trzech jesionów, a dom i kuźnia kowala zachowały się jedynie w gazetach.



Moment zakopywania pamiątkowego krzyża w „raiku” za chatą kowala

Aby przstraszyć Michałka, rozgłaszano, że jest on psychicznie chory, więc wysłano z Lublina hipnotyzera Szilera-Szkolnika i dziennikarzy, by zbadać Michałka, lecz kowal odesłał ich z kwitkiem. Wtedy przypuszczono atak na Józefa Berdaka i jego pomocników. Policja dokonała rewizji w domu kowala i zaarrestowała ich wszystkich, włącznie z Michałkiem, przewiozła do aresztu, do Zamościa, ale po trzech dniach wypuściła.

Michałka i kowala posądzono o czerpanie korzyści materialnych, a kowala dodatkowo jeszcze, że hipnotyzował „Świętego” i robił mu aureolę za pomocą, rzekomo znalezionych latarek, co niezgodne było z rzeczywistością. Wreszcie kowalowi dano spokój, a Michałka ciągnano przez dłuższy czas po aresztach, nawet lubelskich, przewieziono go też do szpitala psychiatrycznego w Lublinie na obserwację.

W końcu dali mu spokój. Zastraszony, przerażony i zaszczuty przez władze chłopiec już więcej nie pojawił się w Michalowie i nie głosił kazań. Zamieszkał w Nieliszu, założył rodzinę, zbudował kuźnię i gospodarzył. A pytania, o jego przeszłość, zbywał milczeniem. Zmarł w 1988 r.

Z powyższego wynika, że Michałek, niepiśmienny pastuch i czeladnik kowala był wybitną jednostką, bo potrafił przyciągnąć i zafascynować kilkutyśięczny tłum. Był to swoistego rodzaju fenomen, wyjątkowy człowiek o wielkiej charyzmie. Gło-

sił kazania, tak jak by był natchniony przez Boga i - jak prorok - przepowiedział wybuch II wojny światowej, zagrożenie ze strony komunistów dla Polski, powstanie kościoła w pałacu Zamoyskich. Miał też odwagę krytykować złe rządy, przez co narażał się państwu, komunistom, a nawet Kościołowi, choć szerzył wiarę, ewangelizował, uczył pokory i zwalczał wady ludzkie.

Był szlachetnym i wyjątkowym człowiekiem zarówno on, jak i kowal Józef Berdak niczego się nie dorobili, co potwierdzili świadkowie tamtych wydarzeń: Stanisław Pańczyk, Zofia i Stanisław Zacierowie oraz wnuk kowala Józef Głowacki, ale zawsze znajdą się nieuczciwi, którzy potrafią wykorzystywać wybitną jednostkę dla własnych korzyści.

„Święty Michałek” już za życia był legendą przekazywaną przez reportaże i fotografie: „Świętego”, kowala, raju (otoczenia obok kuźni i wzniesionego krzyża), figur przydrożnych i pielgrzymów, w różnych gazetach np. w „Ekspresie Lubelskim”, „Ziemi Lubelskiej”, „Zwierzciadło”, „ABC” i innych. I choć od tego czasu minęły już 84 lata o „Świętym Michałku” nie zapomniano do dziś. Legenda o nim jest przekazywana z pokolenia na pokolenie i ciągle odbrażawiana.

Pisał o nim Paweł Reszka w „Gazecie Wyborczej” z dnia 23.07.2002 r. oraz Anna Rudy w „Tygodniku Zamojskim” z dnia 15.04.2003 r. i piszę ja, gdyż prawdę o Michałku znam od najmłodszych lat, od mojego dziadka i rodziców, którzy z nim obcowali na co dzień. Pragnę więc i ja ocalić jego i tamten świat od zapomnienia. On zasłużył na to.

Sądzę, że „Święty Michałek” będzie zawsze fascynował, bo w naturze człowieka leży tęsknota za prawdą, dobrem, sprawiedliwością, ale też za wyjątkowością i niezwykłością, graniczącą z cudem. On spełniał te wszystkie warunki, miał zadatki na mistyka, jak święta Faustyna i dlatego zyskał sobie przydomek „Święty”. Dla porównania publicystyki z poezją dołączam długi wiersz, bo aż 20-zwrotkowy nieznanego autora z 1928 r., a więc z czasów Michałka, i mój współczesny. Bardzo zachęcam do przeczytania, Michałek jest tego wart.

Irena Malec-Iwańczyk

Apostolska pamiątka z Michalowa

Opowieść o Michale, który został Bożym Duchem
natchniony i ogłasza słowa Boże

Proszę posłuchajcie ojcowie i matki
Jakie istnieją cudne wypadki;
Do Michalowa ludzie pospieszają
I od Michała słowa Bożego słuchają.

Mieszka tam kowal z biedną rodziną,
Ciężko pracuje, co mu się nawinie.
Ma on tam ucznia - chłopca wiejskiego
Przyjął do pracy, bardzo biednego.

Uczy się uczy, ciężko pracuje,
Bożego Ducha w sobie znajduje.
W wolne minuty słowa Boże głosi.
O błogosławieństwo Jezusa prosi.

W jednym domeczku żyła cicho matka,
Miała przy sobie dzieci kilkoro
I przy zarobkach ciężko pracowała
Z tej ciężkiej pracy się utrzymywała.

Bardzo zła chwila dla niej nastąpiła,
Biednego chłopca do ludzi oddała,
Ludzie go wspierali, paść bydło kazali,
Ale do szkoły nie posyłali.

Chłopiec we wszystkim był bardzo posłuszny,
Nie wiedział nigdy, co znaczą rozpusty.
Ciężko pracował, grosz do grosza chował,
Boga miał w sercu, nad każdym się litował.

Ludzie na biednego uwagę zwracali,
Lecz jego przyszłości wcale nie znali.
A Matka Boska na to patrzała,
Anioła Stróża w pomoc posłała.

Tak rok za rokiem jednostajnie mija,
Sierota rośnie w Bogu nadzieja,
Trzeźwy, pobożny, jak Bóg przykazuje
Starszych i młodszych zawsze szanuje.

Pewnego razu stoi zamyślony,
Myśli o sobie jak ze snu zbudzony:
Tak dalej pracować? Nic z tej pracy nie ma,
Zostanie na starość bez kawałka chleba.

Gospodarze radzą, że uczyć się trzeba:
Idź do kowala, jemu ucznia trzeba,
Pan Bóg da siły, rób tylko z ochoty,
U majstra jest dużo roboty.

Kowal go przyjął do ogniska swego,
Myśląc o tem, co to będzie z niego
Tymczasem chłopczyzna co sił pracuje,
Zaś Anioł Stróż jego duszę pilnuje.

Pan Bóg zapowiedział przez św. Antoniego,
Że uczeń ten zostanie za sługę Bożego.
Niech on ludziom słowo Boże ogłasza,
Że ostatnia chwila, niech naród się nawraca.

I tak się stało razu pewnego,
Anioł Stróż we śnie, mówi do niego:
Wstawaj chłopczyño, idź do ludu swego,
Nawracaj chrześcijan do słowa Bożego.

Chłopczyzna usłuchał, słowo Boże głosi,
Którego echo wiatr daleko roznosi.
Ludzie się zjeżdżają, mowy słuchają,
Ale dużo jest takich, którzy się naśmiewają.

We wszystkich miejscowościach i w Radecznicy,
„Opamiętajcie się ludzie!” tak nas Bóg wzywa,
„Bo nie wiemy co się z nami stanie,
Święty Antoni, dopomóż nam, Panie”.

Ten krzyż przy drodze, który tam stoi,
Do niego często nawet przychodzi,
Młody, mizerny i bladej chłopczyźny,
I stojąc na gzymsie mowę zaczyna.

Naprzeciw krzyża jest obszerna dolina,
Która wybrana jest przez tego chłopczyźnę.
W rogu tej doliny, ręce ku niebu wznosi,
Nazywa ją rajem i w niej modlitwy głosi.

Uczeni nawet tam się zjeżdżają
Różne mowy jego słuchają,
On się do każdego dobrze odnosi,
Z modlitwą na ustach, słowa Boże głosi.

I straż pożarna porządku pilnuje,
Pobożni ludzie nawet tam nocują,
Na tej dolinie pieśni śpiewają,
I hojne datki w kaplicy składają.

Dziś powieść krąży bardzo daleko,
O Pana Boga sługi takiego,
Który nie uczony w szkole niczego,
Naucza ludzi słowa Bożego.

Autor nieznany

Irena Malec-Iwańczyk

Pamięć o „Świętym Michałku”



Zbieram krople pamięci,
okruchy obłoków,
odbicia twarzy
w zwierciadłach fotografii,
by historię Michałka
napisać wierszem.
Tu był,
tu żył,
w Michałowie
Zostawił po sobie ślad.

On jeden,
a pielgrzymów tysiące,
jak Apostoł
i jak Prorok
wstrząsał ludzkim sumieniem.
Jego głos rozbrzmiewał
coraz głośniej.

Na oczach ludzi pokazał,
że niemożliwe,
stać się możliwe
jak cud.

Był ziemią obiecaną.
Rozpalił gwiazdy olśnienia
w lesie ludzkich serc.
W tyglu życia wytapiał
kruszec człowieka.

Jego blask przeszłości
jeszcze pachnie
życiem,
jest w nas jeszcze...

Dziś wieczorami
w cieniu michałowskich
kapliczek
błądzi duch jego błady,
a pod krzyżem na łące
klęczy i słucha
tego wszystkiego,
co słyszał,
gdy żył.

Marcin Podgórski

**Książ infułat Ludwik Rutyna
- legenda Kresów**



W latach 2007-2008 odbyłem dwie wyprawy do dawnego polskiego województwa tarnopolskiego. Moim głównym celem była wizyta u ks. Ludwika Rutyny, urodzonego w 1917 r. proboszcza parafii w Buczaczu, legendarnego strażnika tradycji polskich Kresów. Postać ta jest mi również szczególnie bliska, gdyż był to rodzony brat mojej prababci. Piszę „był”, ponieważ w grudniu mija pierwsza rocznica śmierci tego niezwykle duszpasterza, który swoją postawą starał się łączyć podzielone murem nienawiści narody polski i ukraiński.



Ks. Ludwik Rutyna

Ks. Ludwik Rutyna urodził się 10 lutego 1917 r. w Podzameczku. Podzameczek jest przedmieściem powiatowego Buczacza, leżącego w dawnym województwie tarnopolskim, miasta, o którym wzmianki znajdujemy już w dokumentach z 1379 r. To rodowe gniazdo Buczackich, prawdziwą świętość przeżywało, gdy w XVI w. trafiło w ręce rodu Potockich. Wtedy to powstał zamek na wzgórzu górującym, przekształcając Buczac w twierdzę, jedno z „orlich gniazd”, broniącą południowo-wschodnich rubieży Rzeczypospolitej. Mury zamku przetrwały najazdy tatarskie oraz wojny kozackie. Był oblegany nieskutecznie w latach 1648, 1655 oraz 1667. W 1672 r., po zdobyciu Kamieńca Podolskiego, tureckie wojska w czasie

marszu na Lwów obległy buczacką twierdzę. Pod nieobecność męża, obroną twierdzy dowodziła Teresa Potocka, wojewodzina braclawska. Po pewnym czasie oblężenie zostało zdjęte, po opłaceniu dużego okupu, oraz podpisano tzw. „haniebną pokój” pod „lipą Mahometa”, która rośnie w Buczacz do dnia dzisiejszego (ma około 400 lat). Pokój ten wyznaczył nową granicę na rzece Strypie, dzieląc de facto miasto na pół. Na szczęście, już rok później - w wyniku wyprawy króla Jana III Sobieskiego - miasto wróciło w całości do Rzeczypospolitej. Największym dobrodziejem Buczacza był Mikołaj Bazyli Potocki, człowiek o typowo sarmackiej naturze, gdzie warcholstwo przeplatało się z dewocyjną pobożnością. Do jego wybryków należało ściąganie Żydów z kosami na wyłożony „kocimi łbami” rynek, gdzie kazał im „kosić”, chłopkom kazał wchodzić na drzewa i „kukać”, następnie strzelał do nich ze śrutu, a trafionej dawał dukata, oraz wiele innych wybryków. W połowie XVIII w. był on jednym z najbogatszych ludzi w Rzeczypospolitej. Ufundował 77 świątyń, tak łacińskich, jak

Na czas odradzania się państwowości polskiej przypadły lata dzieciństwa ks. Rutyny. W latach 1924-1928 uczęszczał on do szkoły powszechnej we Lwowie. Od 1929 r. rozpoczął naukę w gimnazjum w Buczacz, która trwała do roku 1937. W czasie nauki w gimnazjum, młody Ludwik podjął decyzję wstąpienia w stan kapłański. Rozpoczął studia w Wyższym Seminarium Duchownym na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie.



*Kościół pw. Matki Bożej Szkaplerznej
w Buczacz*



Buczacz - inskrypcja nad drzwiami kościoła

i greckokatolickich i prawosławnych, w tym wszystkie świątynie w Buczacz, z kościołem farnym, w którym był proboszczem ks. Ludwik Rutyna, oraz klasztor greckokatolickiego zakonu bazylianów. U schyłku życia „postrzygł się w mnichy” i zamieszkał w skromnym dworcu na dziedzińcu ufundowanego przez siebie kompleksu klasztornego w Poczaïowie. W czasach zaborów Buczacz znalazł się w granicach Monarchii Habsburskiej, zaś po traktacie ryskim 1921 r. - wszedł w skład II Rzeczypospolitej.

17 września 1939 r. na Kresy wkroczyła Armia Czerwona. Lwowskie seminarium zostało zamknięte w 1940 r., dlatego resztę nauki alumn musieli kontynuować tajnie. 11 maja 1941 r., w zamkniętej przez Sowieców katedrze łacińskiej, ks. Ludwik otrzymuje z rąk biskupa Eugeniusza Baziaka święcenia kapłańskie oraz otrzymuje polecenie objęcia wikariatu w Baworowie. Był to najtrudniejszy okres w życiu młodego księdza, gdyż w tym czasie rozpoczęły się masowe rzezie ludności polskiej dokonywane przez oddziały Ukraińskiej Powstańczej Armii. Wieczorem, 2 listopada 1944 roku, już po ponownym wkroczeniu na Kresy Armii Czerwonej, wraz z proboszczem ks. Karolem Procykiem szykowali się do kolacji. Nagle walenie do drzwi. Organista, u którego przebywali proboszcz parafii Baworów i ks. Rutyna, otworzył drzwi i zważył się cięty szablą. Proboszcz został skępowany i uprowadzony (prawdopodobnie poćwiartowany piłą do drzewa, lecz ciała nigdy nie odnaleziono), zaś ks. Ludwik, który w tym czasie znajdował się w innym pomieszczeniu, zdołał uciec. Od tamtej

pory nie nocował na plebanii. Ukrywał się w różnych miejscach, między innymi na wieży kościelnej. W 1945 r., w ramach akcji ekspatriacyjnej, wyjechał wraz z wiernymi do „nowej” Polski.



Główne wejście kościoła w Buczacu

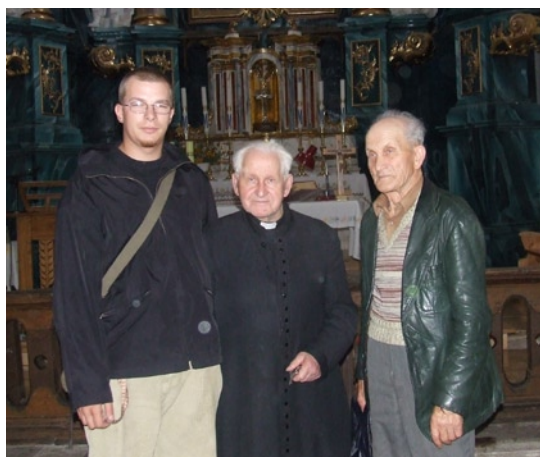
Już w nowej rzeczywistości sprawował posługę kapłańską początkowo w Mieszkowicach, a następnie Rudziszkach oraz w Szybowicach koło Prudnika. Działał tam przez trzynaście lat, za co otrzymał tytuł dziekana oraz honorowego kanonika. W 1958 r. dostał polecenie objęcia parafii w Kędzierzynie-Koźlu. Dawni parafianie z Szybowic byli tak przywiązani do swego proboszcza, że pojechali go „odbić” i sprowadzić z powrotem, co jednak z góry było skazane na niepowodzenie, gdyż decyzja biskupa była nieodwołalna. 21 czerwca 1958 r. przejął z rąk księdza Tadeusza Pyki parafię w Kędzierzynie-Koźlu, gdzie służył wiernym przez ponad trzydzieści lat. Początkowo było to trudne zadanie, gdyż musiał zjednać sobie Ślązaków, którzy patrzyli na obcych z nieufnością. Jednak jego działalność oraz podejście do ludzi zjednało mu najzagorzalszych oponentów. W pierwszych latach pobytu w Kędzierzynie-Koźlu, a które przypadły na obrady Soboru Watykańskiego II, skupił się na realizowaniu postanowień soborowych na terenie parafii. W 1965 r. przygotował parafię do nawiedzenia obrazu Matki Bożej, zaś rok później, pomimo antykościelnej nagonki ze strony władz, zorganizował obchody 1000-lecia chrztu Polski. Od początku zaangażował się w budowę i remont kościołów i cmentarzy na Opolszczyźnie, pomimo trudności ze strony Służby

Bezpieczeństwa. Doprowadził do uporządkowania starego cmentarza parafialnego, tak samo podchodząc do grobów polskich, jak i niemieckich. W 1976 r., dzięki jego staraniom poszerzono i ogrodzono teren nowego cmentarza, zaś w 1984 roku otwarty został nowy dom katechetyczny. W latach 1964-1988 pełnił obowiązki dziekana, zaś w 1981 r. otrzymał tytuł prałata. Przez wszystkie lata posługi w parafii św. Zygmunta i św. Jadwigi Śląskiej w Kędzierzynie-Koźlu pozostawał oddany swojemu kapłańskiemu powołaniu, służąc wiernym o każdej porze dnia i nocy. W wieku 73 lat przeszedł na zasłużoną emeryturę 16 grudnia 1990 r., kiedy to uroczyście przekazał parafię swemu następcy, ks. doktorowi Alfonsowi Schubertowi.

Jednak pobyt na emeryturze nie trwał długo. Już na początku 1991 r., za zgodą abp. Alfonsa Nossola, ks. Rutyna wyjechał na Ukrainę. 27 lutego 1991 r. objął parafię w Krzemieńcu, zaś po trzech miesiącach uzyskał parafię w rodzinnym Buczacu. Nowe władze niepodległej Ukrainy przekazały na użytek wiernych kościoły w Buczacu oraz kościoły w Koropcu, Trybuchowcach, Potoku Złotym, Zielonym Ujściu, Porochowej oraz Starych Pytlkowcach. Kościoły te były przeważnie w bardzo złym stanie i wszystkie wymagały generalnego remontu. Był on możliwy do zrobienia głównie dzięki ofiarności dawnych parafian z Kędzierzyna-Koźla, a także kresowian, dawnych mieszkańców Buczacza. Ks. Rutyna co roku przyjmował pielgrzymki z Polski, chętnie opowiadając historię swojego, jakże ciekawego życia oraz historię Podola i Buczacza. Uczuwał również pielgrzymów, że jako katolicy nie powinni rozdrapywać starych ran, ani nie wdawać się w żadne dysputy polityczne, bo ani one nie zmieniają przeszłości, ani też nie wpłyną na przyszłość. W początkowym okresie pobytu na Ukrainie, ks. Ludwik miał problemy z miejscowymi Ukraińcami. Patrzyli nieufnie na księdza-Polaka, który przyjechał do Buczacza remontować kościół, a także na pielgrzymki i wycieczki z Polski, które odwiedzały miasto, lecz w ciągu lat działalności ich stosunek do księdza uległ zmianie.

Parafia buczacka jest bardzo mała. Na mszę przychodziło ok. 10 osób, przeważnie w podeszłym wieku, gdyż bardzo niewielu Polaków zostało w mieście nad Strypą. Mszę świętą ks. Rutyna sprawował po polsku, lecz kazanie było

już w języku ukraińskim. Był czas, gdy do kościoła przychodzili, oprócz garstki katolików, również prawosławni. W każdą niedzielę, oprócz odprawiania mszy św. w buczackiej farze, ks. Ludwik jeździł z posługą do kościołów w Złotym Potoku, Porohowej, Koropcu i Zielonym Ujściu. Nie przestał odwiedzać swych wiernych nawet po przekroczeniu 90 lat.



Ks. Rutyna i Rafał Pławiak

W 2008 r., ze względu na swój podeszły wiek (91 lat) oraz narastające kłopoty zdrowotne, złożył urząd proboszcza, pozostając jednak w Buczaczu jako rezydent. Pomimo tego, nie przestał doglądać remontu plebanii, która przybrała charakter domu pielgrzyma, miejsca odpoczynku dla wszystkich gości odwiedzających Buczac i ks. Rutynę.

W uznaniu działalności na Podolu, ks. Ludwik Rutyna otrzymał z rąk papieża tytuł infulata. W październiku 2005 r. fundacja Jerzego Bonieckiego „Polcul”, uhonorowała ks. infulata wyróżnieniem za odbudowę zabytków sakralnych na Śląsku Opolskim i na Podolu. Ks. Rutyna otrzymał także medal Ecce Homo, za poświęcenie życia Bogu i ludziom, a także ekumeniczne wsparcie pojednania między narodami, oraz medal „Za Zasługi dla Miasta Kędzierzyna-Koźla”, którego był honorowym obywatelem.

Ten niezwykły kapłan zmarł w nocy z 10 na 11 grudnia 2010 r. w wieku 93 lat.

Agnieszka Szykuła-Żygawska



Krajobraz z Nepomucenem. Część III

W trzeciej części opracowania zebrano informacje o kapliczkach, które zawierały zaginione lub nieistniejące już obrazy i rzeźby św. Jana Nepomucena. Brakuje ikonografii tych obiektów, wiadomo o nich z przekazów w literaturze.

Wiadomo, że z 1788 roku pochodziła figura św. Jana Nepomucena usytuowana w zachowanej murowanej kapliczce w Woli Żółkiewskiej. Brakuje informacji na temat jej wyglądu i dziejów powstania. Można tylko przypuszczać, że powstała w związku ze wznoszonym w tym czasie kościołem św. Wawrzyńca w Żółkiewce, z fundacji sędziego ziemskiego chełmskiego Tomasza Stamirowskiego. Sądząc po czasie powstania, być może figura była wykonana w stylu rokoko.

Wyobrażenia św. Jana Nepomucena brakuje również w XIX-wiecznej, wzniesionej w stylu klasycyzującym kapliczce w Chłaniowie, usytuowanej naprzeciwko cmentarza w tej miejscowości.

Z tego czasu pochodzi też pusta kapliczka usytuowana przy wjeździe do kościoła św. Stanisława w Bończy. Kapliczka jest murowana, otwarta z trzech stron łukami arkadowymi i przykryta dachem namiotowym. Do niedawna stała w środku - współczesna kapliczce - ludowa rzeźba św. Jana Nepomucena. Z informacji mieszkańców wynika, że figura patrona dobrej spowiedzi została skradziona.

Opracowany w latach 70. katalog zabytków wymienia ludową rzeźbę św. Jana Nepomucena w Rudce. Figura stała w zbudowanej około 1900 roku kapliczce. Obecnie na jej ścianach wiszą obrazy Chrystusa Ukrzyżowanego i Matki Boskiej Częstochowskiej.

Kult św. Jana Nepomucena był popularny jeszcze na początku XX wieku. W kolejnych dziesięcioleciach upowszechniło się na terenie obecnego powiatu Krasnostaw orędownictwo do św. Józefa, patrona rodzin i pracy oraz św. Antoniego, patrona wszelkich ludzkich spraw.

Marcin Podgórski



*Kapliczka w Chłaniowie,
w której pierwotnie znajdowała się
figura św. Jana Nepomucena,
fot. A. Szykuła-Żygawska 2009 r.*

Jeśli znają Państwo figury św. Jana Nepomucena na terenie powiatu Krasnostaw nie uwzględnione w opracowaniu, zachęcamy do podzielenia się informacjami na ten temat. Informacje można przesyłać pod adres szykulaag@wp.pl

dr Agnieszka Szykuła-Żygawska

Bibliografia:

1. *Katalog zabytków sztuki w Polsce*, T. VIII, *Województwo lubelskie*, red. R. Brykowski, E. Smulikowska, Z. Winiarz, z. 8, *Powiat krasnostawski*, opr. T. Suleczyńska, F. Uniechowska, E. Rowińska, Warszawa 1964.
2. Zahajkiewicz M. ks., *Diecezja lubelska. Informator historyczny i administracyjny*, Lublin 1985.

Nasi przyjaciele:

Irena Zaraza
Krzysztof Mataczyński

Lucjan Cimek

Ludowe przepowiednie pogody



Meteorologia ludowa, znacznie starsza od meteorologii naukowej, kształtowała się pod wieloletnim wpływem obserwacji przyrody. Od zjawisk atmosferycznych uzależnione było całe życie rolnika, jego dobrobyt lub bieda. Mroźne, bezśnieżne zimy niszczyły zasiewy ozimin, roztopy wiosenne utrudniały uprawę roli i siewy zbóż jarych, a przewlekłe deszcze w porze letniej obniżały, nieraz bardzo poważnie, zbiór siana, jako podstawowej paszy dla bydła i koni oraz plony zbóż. Wczesne mrozy jesienne uniemożliwiały z kolei całkowite zebranie z pól roślin okopowych: marchwi, rzepy, ziemniaków, brukwi, buraków cukrowych i pastewnych, a nawet kapusty, która jest bardziej odporna na mrozy. Owe kłęski żywiołowe nauczyły rolników baczного obserwowania zjawisk atmosferycznych oraz zmian zachodzących pod ich wpływem w otaczającej przyrodzie. W ten sposób powstawała z wolna tradycyjna księga mądrości ludowej, przekazywana z pokolenia na pokolenie, która nakazywała gospodarzom umiar, rozagę i baczność obserwacji otaczającego ich świata roślin i zwierząt.

Mało wiarygodne stało się obecnie wróżenie z koloru zachodzącego słońca, bowiem zanieczyszczenie atmosfery wprowadza tu własną kolorystykę - niezależnie od tego czy ma padać, czy nie.

Niektóre stare przepowiednie mają związek z ciśnieniem - na przykład niski lot jaskółek (zapowiadający deszcz) spowodowany jest także faktem, że owady przy obniżającym się ciśnieniu nie wzbijają się wysoko w powietrze i jaskółki muszą niemal szorować brzuchem po ziemi, aby złowić coś smacznego. Ciśnienie ma też wpływ na to, czy dym unosi się prosto do góry czy też ściele się nisko po ziemi - ta ostatnia wersja to zapowiedź złej pogody.

Rosa wieczorna i poranna to zapowiedź dobrej pogody - bo w nocy powinna zwiększać się wilgotność powietrza. Ocieplenie wieczorem i ocieplenie po deszczu wróżą niepogodę, podobnie jak pojawiający się lub nasilający wieczorem wiatr. Je-

śli ma być ładnie, wiatr - nawet jeśli wieje w dzień - pod wieczór powinien przycichnąć i zaniknąć.

Jeśli wieczorem i nocą występuje mgła, to nie ma zmartwienia, ale rano trzeba patrzeć czy opada, czy też podnosi się. Ta ostatnia możliwość wróży deszcz, szczególnie w górskich okolicach.

Jeśli patrzymy na Księżyc i widzimy blisko niego wieniec, czyli otaczający go nieduży pierścień - może to być zapowiedzią złej pogody. Jeśli jednak wieńce widać w większej odległości (7-10 średnic Księżyca) - pogoda zapowiada się dobrze.

Poza tym warto, „słuchać” jaka ma być pogoda - jeżeli każdy hałas dobiega do nas wyraźnie - wróży to pogorszenie się pogody (ludowe porzekadło mówi, że „dzieci drą się na deszcz”). Zapowiedzią złej pogody jest też nasilająca się woń wszelkich wód stojących i mokradeł.

Nieźłą prognozą jest też zachowanie owadów: pszczoły lecą do pracy na znaczne odległości, wróżąc słońce, podobnie jak latające całymi rojami, a nie pojedynczo - komary. Wielką pracowitością odznaczają się przed ładną pogodą pająki, kiedy dziergają swoje sieci dniem i nocą. Gdy ma padać - pająki chowają się w kącie, mrówki do mrowisk, natomiast żaby wyłażą ze zbiorników wodnych i buszują po okolicy. Gdy w naszej kuchni sól wilgotnieje, wiadomo, że trzeba rozejrzeć się za parasolem.

Uważna obserwacja roślin pozwala na przewidywanie pogody na kilka godzin (a czasem na dobę) wcześniej. Przed deszczem, gałęzie jodeł i modrzewi (w upały sztywno uniesione w górę) zaczynają opadać w dół. Na liściach klonu i wierzyby ukazują się krople wody (mówi się wtedy że „drzewa płaczą na deszcz”) - objawy te mogą wystąpić nawet na dwa dni przed spodziewanymi opadami. Na parę godzin przed deszczem wilgotnieją też liście topoli czarnej, kasztanowca zwyczajnego i czerechwy.

Intensywniej pachną kwiaty: akacji, miłki wiosennej, nostryku i wiciokrzewu. Składają liście koniczyna łąkowa i szczawik zajęczy, orlica pospolita (z rodziny paproci) zwija liście w rurę czasem nawet na dobę wcześniej. Kwiatki zajęczej kapusty zamykają się na noc tylko wówczas, gdy rankiem ma padać deszcz. Przed opadami stulają się płatki kwiatu cykorii, rzeżuchy łąkowej,

powoju i białych grzybieni oraz jaskółczego ziela i mleczu. Ta ostatnia roślina wróży też za pomocą „dmuchawców” - przed deszczem biały puch nie daje się zdmuchnąć!

„Zielone barometry” są niezawodne - ale ich prognozy sprawdzają się w obrębie kilku, co najwyżej kilkunastu kilometrów. Z zachowania powoju w naszym ogrodzie nie można przepowiedzieć pogody dla sąsiedniej miejscowości. Ale przecież nas interesuje najbardziej to, co będzie się działo przy naszym domu. Warto więc czasem spojrzeć na najbliższy klon czy jaskółcze ziele, albo posłuchać piania koguta: „Jak pieje na grzędzie - jak było tak będzie, gdy pieje na ziemi - to się pogoda zmieni”.

Leszek Janeczek

Anegdoty krasnostawskie



Angielski pacjent

Pewnego popołudnia chirurg Bodzio Zarzycki stał przed szpitalem, wyraźnie się nudząc. Ulicą przechodziło troje ludzi. To z Anglii przyjechał do brata, pochodzący z Krasnegostawu, pan Kossowski z małżonką. U przybyłego z zagranicy chirurg dostrzegł dużego kaszaka na policzku koło ucha. Zainteresowany zmianą na twarzy przechodnia lekarz zagadnął gościa. Ten mu wyjaśnił, że mieszka w Anglii, był już u swojego lekarza rodzinnego i jest zapisany w kolejkę na zabieg operacyjny za 3 lata, na ubezpieczenie.

- Chodź ja ci to zaraz zrobię - dziarsko zaproponował chirurg.

To, co w Anglii miało być załatwione z planem, oczekiwaniem w kolejce i wszystkimi procedurami biurokratycznymi, w rodzinnym Krasnymstawie stało się w czasie spaceru, nawet go nie przerywając.

U nas dzisiaj też doszliśmy już do zachodnich procedur...

Transfuzja

W krasnostawskim szpitalu leczono właśnie pacjenta z krwotokiem żołądka. Krwawienie było na tyle duże, że należało podać krew. Przygotowano jej dwie półlitrowe butelki. Jedna z nich właśnie kończyła już kapać, gdy lekarze zorientowali się, że krew podawana pacjentowi jest zupełnie innej grupy niż ta, której chory potrzebuje. Zawiadomiono chirurga doktora Bodzia Zarzyckiego. Ten ujął w dwa palce drugą pełną butelkę z krwią i rzekł: - Jedna butelka niezgodnej grupowo krwi jeszcze nikomu nie zaszkodziła, ale drugiej jeszcze nikt nie przeżył - i upuścił butelkę do sedesu, tak że się rozbiła.

Proszę się nie obawiać, potencjalny pacjent, było to... 50 lat temu. Poza tym dzisiaj krew jest w plastikowych woreczkach.

Świadoma zgoda

Jest rok 2009. Do szpitala w Krasnymstawie trafiła pacjentka w ciężkim stanie, z zaczynającą się sepsą, mającą za przyczynę tkwiący w moczowodzie kamień. Doktor Artur Pohl zaproponował operację, ale - jak nakazują procedury - uprzedził o możliwych powikłaniach. Gdy chora to usłyszała, z miejsca się nie zgodziła. Jej wola jest święta, gdyby nawet miała umrzeć. Po podleczeniu, tym razem udało się bez zabiegu.

Jakiś czas potem trafiła znowu do szpitala, z tym samym problemem. Doktor tymczasem zdążył zapuścić małą brodę, może nawet trochę się zaokrąglić, toteż pacjentka go nie poznała. Gdy ponownie się przed nią zjawił, rzekła:

- Wie pan, ja już tu byłam, ale nie zgodziłam się na operację, bo taki doktor Pohl powiedział mi, że mogą być powikłania.

- A ja panią zoperuję - powiedział ten sam doktor, teraz już widzący w zalecanej akuracności, szkodliwość większą od choroby.

Wszystko dobrze się skończyło. Ale ominięto wszechobecnie chwalone standardy. Żeby nie pozostawiać wątpliwości, należy dodać, że dla dobra chorego.

Animals ambulance

Było to w Krasnymstawie w roku 1985. Karetka pogotowia wyjechała na wezwanie do chorego. Kierowcą był Zając, sanitariusz nazywał się Miś, kierownik zespołu wyjazdowego - doktor Stanisław Bąk. Na miejscu okazało się, że pacjent nazywa się Wilk. Nie mówiąc już o tym, że pojechali na ulicę Lwowską.

Nauka angielskiego

W XXI wieku, w miastach powiatowych zaczęły powstawać filie wyższych uczelni, a w gminach - szkoły średnie. Było to w Łopienniku, szkoła średnia zaoczna. Karolcia z Krasnegostawu, nie garnąca się do nauki w swoim mieście, wolała dojeżdżać raz na dwa tygodnie za miasto. Na korytarzu tej szkoły dało się usłyszeć taki dialog dwóch uczennic, dający przy okazji, wyobrażenie ich poziomu.

- Słuchaj, jak jest po angielsku „guma do zucia”?

- Winter fresh - bez namysłu odpowiada ta przygotowana do lekcji.

Awans

26 października 2010 roku odbywało się otwarcie po remoncie oddziału dziecięcego. Uroczystość, którą prowadził dyrektor Matej, zaszczyciło wielu gości. Starosta Szpak tego dnia rano, kilka godzin wcześniej, poczuł się źle i udał się do szpitala. Szybko uzyskał skuteczną pomoc. Teraz chciał publicznie podziękować tym, którzy mu pomogli.

- O, pan dyrektor Wilczewski, byłem dzisiaj u niego... - przemawiający właśnie starosta, zobaczył doktora na końcu korytarza.

Doktor Wilczewski dyrektorem nigdy nie był, ale starosta jeszcze ze dwa razy w swoim wystąpieniu tak go tytułował. Na to odezwał się aktualnie sprawujący funkcję dyrektora, od siedmiu już lat, zarazem gospodarz uroczystości, Piotr Matej, i z uśmiechem zapytał starostę, który powołuje i odwołuje dyrektora szpitala:

- Przepraszam, panie starosto, ale czy ja o czymś nie wiem?

Leszek Janeczek

Cudowne ocalenie



Starsi mieszkańcy miasta i powiatu, byli uczniowie, jeszcze go pewnie trochę pamiętają. Był skromnym nauczycielem wychowania fizycznego w szkole metalowej w Krasnymstawie. Powinien był zginąć pod alianckimi bombami w Niemczech. Przez pół Europy wracał do domu ze swoim wybacicielem na plecach. W Krasnymstawie mieszkał na Zakręciu, nosząc w sobie pewną tajemnicę. Jan Sobczak tu dożył swoich dni, spoczął na miejscowym cmentarzu. Przypadek, który mu się przydarzył, graniczył z cudem, a może był nim rzeczywiście. On sam przyjął to jako widomy znak.

Los rzucił go do Siennicy Dużej, gdzie po wojnie został milicjantem. Nie tylko pilnował porządku, ale miał utrzymywać władzę ludową. W tej roli zaczął czuć się na tyle źle, że pewnemu osiemnastolatkowi zwierzył się ze swoich zamiarów.

- Ja tu długo nie zostanę - oznajmił smarkaczowi mężczyzna w sile wieku. Nie bał się tak zwanej reakcji, chociaż na jego posterunku zabito trzech milicjantów. Najbardziej przeszkadzała mu walka z religią, które to zadanie nowa władza wypisała sobie na sztandarach.

W czasie wojny, jako młody człowiek został zabrany ze Starachowic, gdzie mieszkał, na roboty do Niemiec. Tam pracował w pewnej fabryce. Było to na zachodzie Niemiec. Pod koniec wojny nasiliły się alianckie naloty bombowe na hitlerowskie fabryki i miasta. Gdy ogłoszono alarm lotniczy, wszyscy natychmiast udali się do schronu. Młody robotnik z Polski nie zdążył. Gdy bomby zaczęły eksplodować, kucnął w jakiejś hali pod ścianą. Został sam. Piloci bombowców z najwyższą precyzją, zrzucali swoje ładunki na wyznaczony cel. Mieli już w tym dużą wprawę. Wybuchy co kilka sekund rozdzierały przeraźliwym hukiem powietrze, powodując zwalanie się ścian, dachów i stropów, wzbijając przy tym w górę słupy dymu i pyłu. Także strop hali w pewnym momencie z hukiem spadł w dół. Robotnik, skuliwszy się w sobie, czekał niechybnej śmierci. Ta szczęśliwie nie nadeszła. Pył wypełnił powietrze, czyniąc przestrzeń całkowicie niewidoczną. Nalot

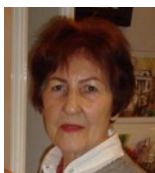
ustał. Jan wylazł przez jakąś dziurę na zewnątrz. Na balkonie wisiały zwłoki kobiety, ktoś inny leżał zabity na framudze okna. Jęki rannych i konających. Myśl dlaczego ocalał nie dawała mu spokoju. Wrócił w to samo miejsce. Strop prawie całkiem powalony na całej przestrzeni dużej hali, wisiał tylko nad jego miejscem przetrwania, wspierając się o ścianę. Gdy stanął pod nim i uniósł głowę do góry, jego oczom ukazał się zdumiewający widok. Na ścianie wisiał przybity duży, drewniany, ponadmetrowy krzyż, miał być przecież widoczny z całej hali. A zawalony strop opierał się właśnie o jego gwoździ. Przybiegli i inni zobaczyć jak to możliwe, że taki ciężar zatrzymał jeden niewielki kawałek metalu. Sobczak wziął jakiś drąg i z drugiej strony ściany ruszył gwoździ. Wystarczyło tylko go dotknąć a w tym momencie wszystko - ciężki strop, krzyż razem z gwoździem, runęły w dół. Ledwie dotyk ciekawskich i czar prysł. Zdziały zwykłe prawa natury, które zdały się do tej chwili nie istnieć. Zwykły drąg wcielił się w rolę różdżki odwrotnie działającej. Ocalony wydobył krzyż z gruzów, oczyścił pieczołowicie i zabrał. Nie wiadomo co się stało z gwoździem. Na drugi dzień Amerykanie wyzwolili miasto. Za jakiś czas zaproponowali przymusowym pracownikom wyjazd do Stanów Zjednoczonych. Jan Sobczak odmówił. Wziął krzyż i wybrał Polskę. Wracał przez prawie pół Europy, jadąc z wojskiem, czasem z jakimiś cywilami, jak się dało i czym się dało. W najgorszym wypadku szedł piechotą. Wtedy brał krzyż na ramiona. Mówił sam, że wyglądał jak Chrystus. Młodzi, widząc go, śmiali się, sądząc, że to zapewne jeszcze jeden z tych, co postradali zmysły w tym apokaliptycznym czasie. Starsi na jego widok poważnieli i modlili się.

- Jak będziesz kiedyś, Mieciu, w Starachowicach, pójdziesz do mojego domu. To mała chałupka z oknami blisko ziemi. W środku wisi ten krzyż. Zobacz. - To powiedział milicjant młodzieńcowi Mieciowi Nowickiemu, jak by się usprawiedliwiał dlaczego porzucił służbę na siennickim posterunku. Swoją przystań życiową znalazł kilka kilometrów dalej, w Krasnymstawie. Dzieci nie miał. Czy przywiózł tu ten krzyż, nie wiadomo. Kto wie, może wisi on jeszcze gdzieś u kogoś w domu, kto prawdopodobnie nie ma pojęcia o jego niezwykłych losach.

dr Leszek Janeczek

Lidia Kosk

Bronka



*pył z popękanej od upału gliny
osiadał na nogach pędzonych ludzi
jak popiół
z palonych ciał w krematoriach
niemieckich obozów koncentracyjnych
który osiadałby
na sumieniach sprawców
gdyby sumienia mieli*

Ligia zdobyła bochenek chleba, na który czekała w kolejce przed piekarnią kilka godzin. Gdy ją rodzice wyprawiali z domu rowerem, dopiero się rozwidniało. Teraz, mimo że było już bardzo późno, postanowiła jeszcze podjechać do wioski, w której mieszkała jej przyjaciółka.

Na środku wioski, w miejscu gdzie zbliżały się do siebie i rozwidlały drogi, Ligia zobaczyła tłum ludzi tworzących dziwną kolumnę. Tuż obok stał dom, w którym mieszkała Brandla. Ligia nazywała ją Bronka, tak jak wszyscy w szkole. Bronka była w starszej o dwa lata klasie. Poznały się i zaprzyjaźniły, gdy w czasie katolickich lekcji religii dzieci żydowskie, będące w zdecydowanej mniejszości, wychodziły na korytarz. Z klasy Ligii wychodziło ich dwoje albo troje. Wśród nich był młodszy braciszek Bronki i ona czasem przychodziła do niego. Lubiany przez wszystkie dzieci ksiądz Zaleski, który uczył w szkole religii delegował do wychodzących Ligię, aby tym dzieciom nie było przykro samym i by pomagała im w przygotowaniu do innych lekcji. Jesteś zdolna, mówił, to nauczysz się w domu, poczytasz temat lekcji.

Od września 1939 roku szkoła była nieczynna. Ksiądz Zaleski został zamordowany przez Niemców zaraz na początku okupacji wraz z drugim księdzem, Cąkałą. Okupanci mieli ich nazwiska na swoich listach, jako patriotów. Wraz z wybuchem wojny, dzieci zostały pozbawione szkoły i nie widywały się. Dlatego, korzystając z tego, że jest w pobliżu, Ligia postanowiła choć na chwilę zobaczyć się z Bronką. Wiedziała, że nie powinna

przedłużać jeszcze bardziej swojej nieobecności w domu, ale tęskniła do Bronki. Były przyjaciółkami, niewielka różnica lat nie stanowiła przeszkody. Obie były wrażliwe, ciekawe wszystkiego wokół. Wydawało im się, że to one zatrą różnice między wiarami, z którymi przyszły na świat. Bo przecież tak samo jak różne są ich rodziny, różne są rodziny tak wśród Polaków jak i Żydów.

Kilka spotkań po szkole przyniosło im wiele myśli, marzeń, postanowień. Bronka, chociaż starsza, była fizycznie słabsza, razem odbywały jednak dalekie wędrówki poznawcze. Kilkukilometrową odległość od szkoły do pobliskiego miasteczka pokonały któregoś dnia, korzystając z okazji, gdy w klasie Ligii odbyła się wyjątkowo tylko jedna lekcja, a Bronka była już po zajęciach. Obchodziły dookoła biały, parterowy budynek nazywany bożnicą, usiłowały zajrzeć przez okna podskakując, bo było dla nich za wysoko. Bronka opowiadała, jak jest tam w środku. Ligia słuchała z przejęciem. Żałowały, że nie spotkały kogoś, kto by im pomógł dowiedzieć się więcej. Rodzice Ligii powiedzieli jej, że bożnice nie są dostępne, tak jak katolickie kościoły. Że wejście osoby innej wiary, w dodatku kobiety, mogłoby być źle ocenione, może nawet jako profanacja. Dziewczynka nie rozumiała znaczenia słowa „profanacja”, ani tego, że chęć wejścia do żydowskiej świątyni była czymś złym.

Do kościoła w Mełgwi weszły bez najmniejszych trudności; był otwarty po wieczornym nabożeństwie i Ligia oprowadzała Bronkę po prawej bocznej nawie. Oglądały obrazy drogi krzyżowej i żadnej z nich nie przyszło do głowy, że krzyżujący Chrystusa to byli Żydzi, jako Żydzi w ogóle. Po prostu byli to określani ludzie w określonej sytuacji. Było to dla nich, dzieci, zupełnie jasne. Ligia dobrze pamięta, że nie miała żadnych trudności z tłumaczeniem, ani Bronka ze zrozumieniem. To była dla nich historia, którą chciały poznać.

Wojna przerwała wszystko: wycieczki, poznanie, przyjaźń. Tak jak przerwała ich uczęszczanie do szkoły, dzieciństwo i normalne z niego wyrastanie. Już nie było, jak do niedawna, zwykłej ludzkiej godności i ludzkich praw. Nie było dzieciństwa, była wojna. Wojna. Ligia usłyszała pierwszy raz to słowo w północy, pewnej nocy, gdy obudziły ją przestraszone głosy rodziców i starszej siostry wpatrzonych w widoczne za oknem gorejące niebo.

Ligia zobaczyła oślepiający czerwonością blask. Z opowiadań rodziców, którzy oglądali to zjawisko od początku, dowiedziała się, że na niebie ukazał się najpierw duży żółtoczerwony gorejący krzyż, rozlewając się z czasem czerwienią. Krwawy znak, zapowiedź wojny, mówili przerażeni. Ligia nie mogła wówczas pojąć tego przerażenia; wtedy nie wiedziała przecież, co oznacza słowo wojna.

I oto teraz, tu, w miejsce zbliżenia i oddalania się od siebie kilku dróg, spędzano przerażonych ludzi. W świdrującym mózg wrzasku komend niemieckich żołnierzy przyszło Ligii do głowy to słowo „wojna”, i że wojna to głód, tułanie się ludzi. Z opowiadań rodziców słyszała, że na wojnie giną żołnierze. O zabijaniu cywilów nie było mowy. Jednakże spotkała się z tym zaraz na początku wojny, jesienią 1939 roku, gdy samolot niemiecki zniżył lot i strzelał do dzieci i kobiet, które kopaly ziemniaki. Widziała wtedy zabita kobietę i wraz z innymi dziećmi starała się ukryć w rzędkach ziemniaków, których wyschnięte łodygi, „łozina”, nie dawały jednak schronienia.

Po kilku miesiącach od tamtego zdarzenia, tu właśnie zetknęła się ponownie z czymś strasznym. Nie rozumiała co się dzieje - dlaczego żołnierze niemieccy wyganiają ludzi z domów. Dlaczego tak dużo ludzi z dziećmi stoi w tej jakiejś dziwnej kolumnie, z widocznym zmęczeniem odbyła już drogą, przestraszonych podobnie jak ci, właśnie wyganiani. A dookoła tak pusto. Nagle zobaczyła w kolumnie Bronkę obok jakiejś kobiety, może matki. Ligia widziała wszystko jak przez mgłę. Zrozumiała tylko jedno. Bronka, słaba Bronka musi iść daleko! I następna myśl, która błysnęła jej w głowie: podać jej chleb, żeby nie była głodna - jak dobrze, że go zdobyła. Zaczęła biec w kierunku kolumny. Z miejsca, w którym się znajdowała miała do przebycia kawałek zielonego pastwiska, gdzie skubał trawę koń uwiązany na długim lejcu, przymocowanym żelaznym palikiem wbitym w ziemię. Wyprowadzony pewnie kilka godzin temu, kiedy jeszcze na tym kawałeczku świata wszystko szło utartym trybem codzienności. Ligia nie widziała ani tego uwiązania, ani konia. Chciała tylko dobiec do Bronki, która właśnie zaczęła iść z kolumną. Usłyszała jakiś krzyk, a potem huk; w tym momencie upadła. Coś podcięło jej nogi. Chciała podnieść się, żeby zdążyć do Bronki, ale nie mogła oderwać się od ziemi.

I to ją uratowało. Strzelający żołnierz uznał ją za zabita i podążył za innymi żołnierzami, pędzącymi ludzi w kierunku stacji kolejowej.

O przebiegu wydarzeń dowiedziała się później od ludzi, którzy przerażeni patrzyli z ukrycia. Według ogłoszeń rozklejanych przez władze niemieckie, Polakowi za pomoc Żydowi groziła śmierć. Okazało się, że przed kulą uratował dziewczynkę koń, który przestraszony zerwał się do galopu i szarpnął uwiązaniem, przewracając biegnącą. Początkowo Ligia leżała w wielkiej ciszy, czując ostry ból kolan i sączącą się z nich krew. Gdy usiłowała się podnosić, ktoś zaczął do niej krzyczeć. Dopiero po jakimś czasie zrozumiała, że ludzie chcą jej pomóc, chociaż jeszcze wciąż boją się strzałów Niemców. Krzyczano na nią za to, że biegła pod kule, na śmierć. Sama podczołgała się do najbliższej chaty. Tam już zajęła się nią kobieta, która okazała się matką innej koleżanki ze szkoły. Jej brat pojechał na rowerze powiadomić rodziców Ligii. Wszak nie powróciła jeszcze z chlebem, po który pojechała o świcie i stała długo w kolejce, a na który tak czekały jej młodsze siostrzyczki. Bochenek leżał teraz w kurzu przydrożnym, a Ligia czuła wyrzut, że Bronka będzie głodna.

Po pewnym czasie spłoszonego konia schwytały mężczyźni i szarpiąc go za kantar odprowadzili do stajni. Wszystko odbywało się w jakimś odrętwieniu, nikt nie nazwał konia bohaterem, a przecież uratował dziewczynce życie. A ona wciąż nie mogła się pogodzić z tym, że nie zdołała podać Bronce chleba.

Nigdy nie udało się jej dowiedzieć co się stało z przyjaciółką, jej rodzicami i innymi ludźmi, których zobaczyła wtedy na drodze. Dopiero potem zrozumiała, że mogła to być ich, a także jej, ostatnia droga. Kilka miesięcy później, już jako uczennica półoficjalnej szkoły w Lublinie, Ligia wraz z drugą dziewczynką z ulicznej łapanki znalazły się za drutami obozu przejściowego na ulicy Krochmalnej. Wydostał je stamtąd jakimś cudem dyrektor szkoły, tuż przed wywiezieniem do Niemiec, może do obozu koncentracyjnego. Poczula wtedy, że mogła to być droga Bronki.

Przez całe lata Ligia wiedziała, że musi kiedyś wrócić pamięcią do lat okupacji, ale wciąż było to dla niej za trudne, sprawiało ból. Terror niemieckich okupantów był wszechobecny. Człowiek

- czy to dorosły, czy dziecko, nie mógł czuć się bezpiecznie ani w domu, ani na ulicy. We własnym kraju można go było pozbawić wszelkich praw, nie mówiąc o godności. Można było go zabić. Za wszystko - za wiek, za wygląd, za... To było planowe wyniszczanie narodu. Tylko część ludności Polski miała pozostać, jako siła robocza.

Wydarzenia tamtego dnia były dla Ligii jednocześnie i tragedią osobistą, i kataklizmem na skalę świata. Utkwiły w niej i tkwią jak cierń w otwartej wciąż ranie.

A Bronka? Co się z nią stało? Teraz Ligia wie, czuje, że jeśli nawet jej przyjaciółka zginęła, to nie cała. Pozostała w niej, w tamtych wspólnych wędrówkach, w ich „świętokradczym” chodzeniu wokół bożnicy i wewnątrz kościoła, gdzie dwie małe dziewczynki, ciekawe tajemnic i jednocześnie zalęknione nimi, szukały wspólnego, przyjaznego świata.

Lidia Kosk

Artur Borzęcki

Arka wciąż na fali



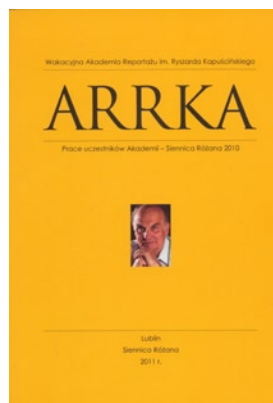
Była przyczyna, jest skutek, po drugiej Akademii jest druga publikacja, zasada ta w przypadku Wakacyjnej Akademii Reportażu im. Ryszarda Kapuścińskiego działa niczym Prawo Karmy. Omawiana praca zbiorowa, będąca pokłosiem drugiej edycji WARRK-i, powstała pod redakcją Marka Kusiby i Franciszka Piątkowskiego, przy wsparciu Agnieszki Janiak, „ukrywających się” na czwórce tytułowej książki. Po obligatoryjnym wstępie, publikację otwiera „Kronika Akademii 2010”, a w dalszej kolejności mamy ponad dwadzieścia tekstów, różnorodnych zarówno co do formy jak i treści. Liczba tekstów nie odpowiada liczbie autorów, ponieważ są tu m.in. trzy teksty jednej autorki (Agnieszka Janiak), jak i trzy napisane (w tym także przy udziale wcześniej wspomnianej) wspólnie przez dwie osoby. Wracając do samych artykułów, mamy zarówno te dotyczące spraw lokalnych,

siennickich, a związanych z historią, jak np. „Błoto na gościńcu wspomnień”, czy aktualnych, dotyczących chociażby złóż gazu łupkowego - „Wywiercić przełom”. Pokażną część publikacji zajmują rozmowy z naukowcami z UMCS: prof. Krzysztofem Stępnikiem i prof. Dariuszem Chemperkiem, reporterami, dziennikarzami: Wojciechem Jagielskim, Małgorzatą Szejnert, Katarzyną Michalak i wreszcie z miejscowymi: wójtem Leszkiem Proskurą czy proboszczem ks. Ryszardem Siedleckim. W książce zamieszczono również artykuły dotyczące WARRK-i, wcześniej opublikowane w „Kurierze Lubelskim” - o drugiej Akademii, oraz w „Nestorze” - omówienie pierwszej publikacji.

„Zbiorówka” jest zwieńczeniem Akademii 2010, promuje samą WARRK-ę, ale i gościną gminę siennicką. Dzięki niej uczestnicy, mając okazję do publikacji, doskonałą pod okiem fachowców swój warsztat, a przy okazji dokumentują to jakże ważne przedsięwzięcie. Organizatorom należy życzyć, aby zawsze mogli swój wysiłek sfinalizować w „papierowej formie”, zaś uczestnikom każdej nowej Akademii, aby dzięki temu mogli zapoznać się z tym, co działo się wcześniej.

To, czego może publikacji brakować, to krótkich not biograficznych autorów tekstów - uczestników warsztatów. Pomocny również byłby indeks osobowy.

Artur Borzęcki



ARRKA. Prace uczestników Akademii - Siennica Różana 2010, Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Siennickiej, Siennica Różana-Lublin, 2011, ss. 233.

Andrzej David Misiura

Spalono scenę teatralną!



Ukończył zaledwie dwie klasy szkoły elementarnej, a taki zdolny! Tak, ale jeśli świadectwo otrzymał przed stu laty, a dwie klasy obejmowało obowiązkowo pięć lat nauki, to można uznać, że wykształcenie było wówczas na poziomie dzisiejszego liceum(!). Natomiast, jeżeli chodzi o okres międzywojenny, sprawa miała się jeszcze inaczej, albowiem szkoły powszechne dzieliły się już na trzy stopnie organizacyjne. Na wsiach przeważały czteroletnie szkoły I stopnia, których ukończenie (bardzo niesprawiedliwie!) zamykało edukację i nie upoważniało do kontynuowania nauki.

O takich ciekawostkach można dowiedzieć się ze wstępnych rozdziałów „Historii szkół w gminie Izbica w XX wieku”. Autorka, Elżbieta Kmieć zapoznaje nas z systemem oświaty ostatniego wieku i przy okazji strukturą administracji gminnej. Kto wie np., że 1 kwietnia 1929 roku (prima aprilis?) opisywaną gminę podzielono na dwie jednostki samorządowe: gminę Izbicę, w skład której wcale nie weszły Izbica Osada i Izbica Wieś, bo znalazły się one w tej drugiej jednostce - gminie Tarnogóra... Taki stan trwał 25 lat. W następnych rozdziałach wymienione są osoby stojące na czele obu gmin, pracownicy nadzoru merytorycznego i administracji oświatowej oraz nauczyciele. Charakterystyczne jest, że w tym ostatnim zawodzie trafiało się wiele małżeństw, których partnerzy pracowali w jednej szkole. Szkolnictwo w okresie wojny i PRL to kolejne strony. Uzupełniają je oddzielne rozdziały poświęcone poszczególnym szkołom w miejscowościach: Bobliwo, Dworzyska, Izbica, Kryniczki, Mchy, Orłów Drewniany, Orłów Murowany, Ostrzyca, Stryjów, Tarnogóra, Topola, Wirkowice i Wólka Orłowska. Groteskowa sytuacja zaistniała np. w roku 1950 w szkole w Stryjowie, gdy z powodu braku opału porąbano i spalono nawet scenę teatralną. Książka zawiera szereg interesujących dokumentów i zdjęć.

Wiek XX to czas szczególny dla polskiej oświaty, albowiem zlikwidowany został analfabetyzm. Nauczyciele bardzo ofiarnie uczestniczyli

w życiu społecznym i byli elitą intelektualną. To oni przyczynili się do wyrównania opóźnień cywilizacyjnych, zwłaszcza na wsi - pisze Elżbieta Kmieć.

Czytelnicy „Nestora” mieli już okazję w numerach 4(14)2010 i 1(15)2011 poznać w formie zapowiedzi wydawniczej fragmenty tego cennego opracowania. Autorka i nauczycielka dedykuje je swoim nauczycielom. Dedykuje zapewne tym samym i swojemu ojcu, Edwardowi Cimkowi, który jest także nauczycielem i to z 35-letnim stażem. W swojej karierze zawodowej był kierownikiem szkoły, a nawet naczelnikiem gminy, a podczas pisania książki służył swoją wiedzą i doświadczeniem. Edwarda Franciszka Cimka znamy ponadto jako poetę i pisarza, a Elżbieta Kmieć pełni obecnie funkcję dyrektora Samorządowego Ośrodka Oświaty w Izbicy.

Andrzej David Misiura



Elżbieta Kmieć, *Historia szkół w gminie Izbica w XX wieku (zarys)*, POLIANNA, Izbica 2012, ss. 181, il. 65.

Mariusz Kargul

Z notatnika niebieskiego paputczika



Jest wczesne popołudnie, 3 lipca 2011 roku. Na salę, w której trwają zajęcia uczestników trzeciej edycji Wakacyjnej Akademii Reportażu im. Ryszarda Kapuścińskiego w Sienicy Różanej, wkracza dziarskim krokiem Jacek Hugo-Bader (jako jeden z wykładowców), po czym kieruje pierwsze słowa do zgromadzonych: „Jak ja was nienawidzę!”. Lekka konsternacja wśród publiczności, i kontynuuje: „Wiecie za co was nienawidzę? Za to, że oderwaliście mnie od pracy nad moją najnowszą książką!”. Atmosfera się rozluźnia, gdyż chodzi rzecz jasna o Dzienniki kołymskie. Anegdota, prawdziwa zresztą, oddaje stan skupienia, w jakim znajdował się autor, pisząc tę książkę.

Dzienniki kołymskie to kolejny świetny pretekst do ciągnących się, niczym syberyjskie rzeki, dywagacji na temat metodologii Jacka Hugo-Badera. A czy to jeszcze reportaż, czy może już nie bardzo? Więcej tu prawdy czy zmyślenia? Z ilu postaci autor tworzy swoich bohaterów - z dwóch, trzech, czterech, pięciu? A może jest w tym jakiś specjalny klucz, którego nie da się rozgryźć? No i temat archipelag, czyli: Rosja. Dzika ci ona do cna, czy raczej ucywilizowana? Strach jeździć? Co nam mogą zrobić za Uralem?

Jedno jest pewne, nikt z czytelników z Jackiem Hugo-Baderem tam nie był, nikt nie pilnował mu dyktafonu, ani nie śledził ruchów dłoni w notatniku. Jeżeli nie jest się sowietologiem, ekspertem od Rosji, znawcą problemów Azji (zwłaszcza Syberii), może lepiej po raz kolejny udzielić kredytu zaufania „szalonemu reporterowi” i dać się uwieść stylem, narracją, spojrzeniem na otaczającą go rzeczywistość.

Obszar dawnych radzieckich obozów pracy, określany wspólnym mianem Kołymy, wciąga i hipnotyzuje. To, co działo się jeszcze tak całkiem niedawno, i to, co dzieje się teraz. Warto przy tym pamiętać, że sam autor specjalnie nie

„napina się”, abyśmy wchłonęli jego książkę w całości, wystarczy że przeczyta się sam Dziennik, czyli co drugi, trzeci rozdział. Całość sprawia trudne do zapomnienia wrażenie i wypada się nieco wysilić.

Chociażby po to, aby dowiedzieć się w jaki sposób szamanka Dora uwolniła reportera od złych emocji czytelników książki, którym mogła nie przypaść ona do gustu. Szamanki widzą dalej i wiedzą lepiej, więc ta pouczyła roztropnie Hugo-Badera: „Ale radzę wam, żebyście pisali jak najprościej (...). O mnie też. I niedużo. Bo niewiele rozumiecie”.

Historycznie rzecz ujmując, trudno wyobrazić sobie coś bardziej koszmarnego. Oto jedyna słuszna i sprawiedliwa władza postanawia w latach 30. wydrzeć dalekiej Północy jej największe skarby, głównie złoto i rudy metali ziem rzadkich. Nie ma wtedy rozbudowanych technologii. Człowiek stanowi nadal podstawową siłę roboczą. Stopniowo więc rozrasta się Archipelag Gułag, dziesiątki obozów powstają pośród bezkresnych przestrzeni tajgi i tundry. Ci, którzy wymyślili, aby do wydobywania posyłać tam ludzi z gołymi rękami, na pewną śmierć, mieli chyba serca bardziej zimne i twardsze niż wieczna zmarzlina.

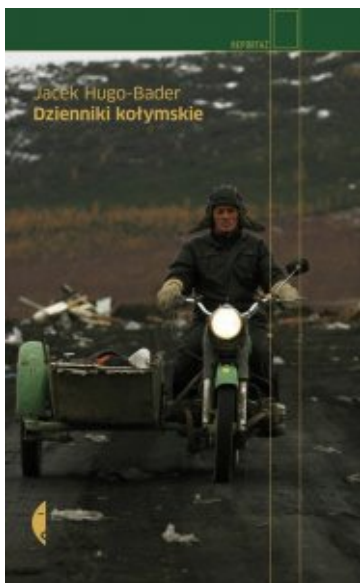
Trzeba było również wybudować drogę, zwaną do dzisiaj Traktem Kołymskim. Nie przemierzając, dwa tysiące kilometrów „na trupach”. I nie jest to tylko przenośnia. Właśnie tą trasą wędruje Hugo-Bader, łapiąc okazje i ludzi. Przeszłość, choć z założenia nie stanowiąc motywu przewodniego marszruty, siłą rzeczy przebija z kart książki. Wydawałoby się to czymś kuriozalnym, ale wielu obecnych mieszkańców Kołymy, po latach 50., znalazła się tutaj z własnej woli. Bez wyroku, nakazu zesłania, braku innej perspektywy. Wiele osób szukało czegoś na kształt osobistej Ultima Thule, miejsca gdzie naprawdę ciężko myśleć o tym, czy jest jeszcze coś dalej, gdzieś indziej.

I z tego wszystkiego ci ludzie reporterowi się po drodze zwierali. Potomkowie zesłańców i zeków, poszukiwacze złota, dziennikarze lokalnych mediów, robotnicy, szamani, biznesmeni, krezusi, mieszkańcy miast, wsi i osad, z kierownikami na czele - stawali się mimowolnie paputczikami

kami, towarzyszami drogi i tego wycinka życia autora. To jednak nie działa tylko w jedną stronę. On też musiał, chciał czy nie, odwdziżyć się im pięknym za nadobne. Został na kilkanaście tygodni niebieskim paputczikiem, próbującym fedrować jak najwięcej i jak najgłębiej, w ludzkim złocie Kołymy.

Ten kruszec odgrywa zresztą niebagatelną rolę w całej opowieści. Złoty samorodek podarowany przez jednego z oligarchów trafił nawet na przedświąteczną licytację do radiowej Trójki. Kiedy w listopadzie 2010 r. Jacek Hugo-Bader postanowił do oporu wykorzystać swą wize, twierdził, że z tej wyprawy przywiezie prawdziwie „złoty materiał”. Czy czuł się przez chwilę niczym samotny Jazon, i czy rzeczywiście jest to skarb na miarę dokonań mitycznych Argonautów, warto przekonać się osobiście. Nawet jeżeli czasem wydaje nam się, że nie wszystko złoto, co się świeci, a autor puszcza do nas perskie oko, choć to przecie dzisiejsza Rosja, a nie Iran. Ale jedno jest pewne: dalej tylko Czukotka.

Mariusz Kargul



Jacek Hugo-Bader, *Dzienniki kołymskie*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2011, ss. 320.

Andrzej David Misiura

Bogumile ukochanej



„Bogumile, ukochanej żonie mojej” – tak Edward Franciszek Cimek dedykuje swój najnowszy tomik „U źródła”. W pierwszej części zgromadził wiersze krótkie, rozpoczynające się inkrustowanym poetyckim opisem, a kończące się przeważnie jednowersową refleksyjną puentą. To coś rzadziej spotykanego w twórczości Cimka. Autor nie przeciąga rozkoszy opisu na wielozwrotkowy, zazwyczaj niechętnie czytany przez przeciętnego czytelnika tekst. Starannie buduje poetycki obraz – przejrzysty i zwarty, a jednocześnie nieprzeładowany, z którym chce się obcować do końca. Prawdziwy majstersztyk.

Druga część zbioru to piętnaście sonetów. W ogóle to ma ich w swoim dorobku już sporo. Nie ustępują one wierszom z pierwszych stron. Cimek nieprzerwanie doskonali kształt swojego sonetu, ciągle sięga do źródeł klasyki, o czym nie omieszczał przypomnieć w tytule.

Andrzej David Misiura



Edward Franciszek Cimek, *U źródła*, POLIANNA, Izbica 2011, ss. 35.

Edward Franciszek Cimek



echo wspomnień tkwi w ciszy
srebrna nuta się snuje
szepty marzeń słyhać
iskra szczęścia stygnie
w kropli łzy mojej

świt wynurzył się z mroku
niby ptak z potrzasku
dzień jak ogród rozkwitał
srebrnym blaskiem płonął
dojrzewała skrycie
radość niespełniona



rys. R. Znajomski

pod niebem miodna kropla słońca
w krzewinie dzwonne słów kląska
błękitny motyl we krwi róży
słodką się chwilą rozkoszuje
gdy nagle błysnął ostrzem złotym
niespodziewany żywioł w chmurze

w błogiej ciszy księżyc brodzi
chochoł z nieba iskry strąca
złotem lśnią cmentarne słowa
czarodziejski kwiat się wdzięczy
ziarnko szczęścia w sercu wschodzi

W urodzie słonecznego dnia

Bogumile ukochanej

Dźwięczały struny blasku i muzyka kwiatów,
Gdym patrzył w Twoje oczy uśmiechem srebrzone.
A kiedyśmy weszli do izby Twojego domu,
Splatały się słowa. Za oknem radość lata.

Pod gwiazdami dojrzewał jaśminowy wieczór.
Serca zgodnie były. Rodziło się kochanie.
I znowu myśli budził rozróżniony ranek.
Spełniała się nadzieja wciąż żywionych przeczuć.

Słońce blaskiem tryskało w kolorycie września.
Piękniały nasze ślubne, szczęściadajne chwile.
Radował naszych gości śpiew weselnych pieśni.

I weszliśmy na drogę losu nieznajomą.
Nieraz przeciwności ciskały w oczy pyłem.
A jednak nasza miłość była nam obroną.

Moja błękitna tęsknota

Słońce krwawo lśniło nad szczerbą widnokręgu,
Jak bożyszcze okrutnie odarte ze skóry.
A siewki wlatywały pod różowe chmury,
Krzykliwie zwiastując porę godów i lęgu.

Tańczył wietrzyk swawolnie i szeptały liście.
Radowały się chwile. Wokół kwitły łęgi.
Nadciągała burza w pomrukach z dzikiej głębi,
Aż zapłakał poranek, chlusnęło rzęsiście.

Utkwiłem w tym żywiole pełen śmiałych myśli,
Wypatrując z nadzieją znaków ku przyszłości.
Tak dojrzałem swą drogę w lazurowej dali.

Tam ze szczeliny życia źródło szczęścia tryśnie.
I zanurzy się serce w spełnionej miłości.
Tylko ona człowieczy dar losu ocali.

(Ze zbioru „U źródła”)

Elżbieta Szadura-Urbańska



Niezwykłe podróże z węgierskim pisarzem

Lektura „W podróży” Sándora Máraia daje okazję do przemieszczania się nie tylko w przestrzeni, ale i czasie. Czas ten, jakby w dwójnasób zmusza nas do zapętlania nostalgicznych refleksji. Patrzymy przecież na Europę (także Bliski Wschód i Palestynę) lat 20. i 30. XX wieku, oczami młodego węgierskiego pisarza, który z kolei szuka w zmieniających się po I wojnie światowej realiach, jej dawnego ładu i blasku. Z drugiej strony, na to przesunięcie czasowe, nakłada się czytelnicza tęsknota (ale już wedle naszej współczesnej oceny) za pięknem „niegdysiejszych śniegów”. Márai z reporterską docieklivością, felietonistyczną dezynwolturą wprowadza nas w swoje podróżnicze fascynacje. Jednak zdejmując z esejów tę dziennikarską kliszę, pozostaje czysta poezja i świat niezmiennie zachwycający. Odwieczne piękno zwiedzanych miejsc porusza w nas - czytelników XXI wieku - te same struny. Wenecja przecież, tak jak ujął to Márai „...oznacza dla wszystkich straconą na zawsze podróż poślubną”, francuska Riwiera „przenika gęstym słońcem...”, w którym wszystko jest prostsze, słodsze, bardziej przejrzyste i trochę niepewne”, a Londyn i dzisiaj ma „słodkawą woń tytoniu Virginia, mokrą woń mgły... i ledwie wyczuwalny zapach lawendowy kilku kropli wody Yardleya”.

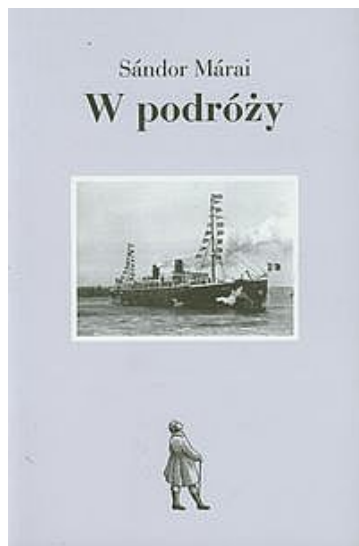
Dajmy się więc poprowadzić ulicami Londynu, Paryża, Nicei, Palestyny czy Bejrutu. Weźmy na tę wyprawę - co zaleca Márai w szkicu „Coś na drogę” - swój własny antybedeker, z którego nauczymy się nie o katedrach, muzeach i zamkach, ale uważności wobec zdawałoby się nieistotnych szczegółów. Tę uwagę dać może jednak tęsknota za przeżyciem, a nie prostackie zaliczanie kolejnych arcydzieł. Czy dzisiaj jest to jednak możliwe, jeżeli już Márai w swej młodości uważał, że podróży nie da się już tak smakować jak dawniej, że wszystko zostało strywalizowane pośpiesznym pstrykaniem zdjęć, „rzucaniem się na świat”?

Dla miłośników dzienników Máraia, zapiski „W podróży” są jeszcze wolne od goryczy przymusowego podróżowania, co stało się udziałem autora po II wojnie światowej. Jej złowieszcze pomruki odnajdziemy w „Mesjaszu z Pałacu Sportu” - relacji z berlińskiego wystąpienia Hitlera w 1933 roku. Z ironią opisuje początki zdarzeń, po których nic już nie będzie takie jak dawniej.

Trauma kolejnych wydarzeń przywiodła w końcu starego pisarza do samobójstwa. Ale to nastąpi dopiero w 1989 roku. Póki co, dajmy się poprowadzić wrażliwemu pisarzowi-erudycie po miejscach, które sam wybrał. Zresztą i późniejsze jego emigracyjne podróże zachwycają trafnością spostrzeżeń i głębią refleksji. No i przede wszystkim znawstwem „procesu podróżowania”, a nie tylko umiejętnością przemieszczania się.

W swoich dziennikach zanotował, że „Istnieją trzy drogi życia: Odyseusza, Jezusa i Fausta. Reszta to podatnicy”. Jeżeli nawet ta pierwsza droga okupiona jest goryczą, to jakże chciałoby się na niej znaleźć. Najlepiej za przewodnika mając Sándora Máraia.

Elżbieta Szadura-Urbańska



Sándor Márai *W podróży*,
wybór i tłumaczenie: Teresa Worowska,
Zeszyty Literackie, Warszawa 2011.

Andrzej D. Misiura

Brunet w mercedesie



Dlaczego rewolucyjne i świeże kompozycje początkujących autorów z trudem zdobywają sobie uznanie, natomiast niewyszukane pomysły dojrzałych twórców, zdawałoby się w ciemno, otrzymują poklask? Po znajomości? A może po prostu bezpieczniej popierać znane nazwiska? I tak i nie. Problem jest zazwyczaj prozaiczny, bo chodzi o zwyczajne dopracowanie tekstu i dyscyplinę języka, o co zawsze dbają szanujący się literaci. Takie dopięcie na ostatni guzik, nawet lichej koszuli i ozdobienie jej chociażby odprasowanym krawatem zawsze robi lepsze wrażenie. O tym, niestety, wielu początkujących adeptów sztuki zapomina, żeby nie powiedzieć, iż nie opanowało jeszcze należycie twórczego warsztatu. Nie zawsze jest też w zasięgu ktoś, kto potrafi dokonać rzetelnej korekty, bo przecież opanowanie ojczystej gramatyki, to nie lada sztuka. Potwierdził to przed kilku laty w Krasnymstawie, publicznie dziękując swojej korektorce, sam laureat literackiej nagrody NIKE Andrzej Stasiuk.

Ostatnio na nasze redakcyjne biurko trafiła debiutancka powieść, której sprawcą jest dwudziestolatek Marcin Piędel z Krakowa. Literacki obraz wydaje się o tyle ciekawy, że autor opisuje perypetie swojego rówieśnika z tego samego miasta. Można więc spodziewać się psychologicznego autoportretu. Bohater mieszka samotnie, pozostawiony przez matkę pracującą za granicą. W tej sytuacji ma więc znaczną swobodę, a do tego jeszcze mercedesa i domek letniskowy do dyspozycji. Czytelnik więc przyjrzy się ekscesom przystojniaka Oliviera, nader często, z wyraźnym upodobaniem, nazywanego zamienne przez narratora brunetem. Pierwsza część powieści ukazuje więc nonszalanckie, pełne alkoholu, narkotyków, a nawet pornograficznych epizodów przygody. W tym miejscu niejeden czytelnik może doznać rodzicielskiego osłupienia, jak bardzo mogły zmienić się obyczaje. Na

szczęście, dość nieoczekiwanie, chociaż w mało realnych okolicznościach, następuje zwrot akcji i opowieść zmienia się w cikliwy romans. W historię zdawałoby się dojrzałej miłości, z której najbardziej okazuje się niezadowolona matka Oliviera (inaczej: bruneta).

Książka, mimo woli odkrywa drogi, jakimi przemierza współczesna młodzież, jakie skutki może przynieść nieobecność rodziców itd. W treści mimochodem zarejestrowane zostały, charakterystyczne dla dzisiejszych czasów obrazki w rodzaju korka ulicznego, zbieracza puszek aluminiowych, kumpla dealera, czy policjanta ze starymi nawykami.

Tę obyczajową powieść, a raczej dłuższe opowiadanie, można przeczytać, pod warunkiem że przymrużymy oko na niewprawne jeszcze pióro młodego autora i kwiatki typu: „stukot mokasynów”, „sterta kawałków drewna”, „kanapa obszyta całunem”, „obfity bukiet kwiatów”, „położyła się na łódce”, „odrestaurowane grzejniki” i inne.

Andrzej David Misiura



Marcin Piędel, *Dialog z duszą przy papierosie*,
Warszawska Firma Wydawnicza,
Warszawa 2011, ss.119.

Mariusz Kargul

Siennickie ekspiacje Bronisławy Fastowiec



Kiedy pani Irena Zaraza poprosiła mnie, abym napisał kilka słów do niniejszego wyboru wierszy, ucieszyłem się z dwóch powodów. Po pierwsze, dlatego że mogę znowu wrzucić swoje trzy grosze do siennickiego ogródka, a po drugie, po lekturze przesłanych mi utworów, doszedłem do wniosku, iż mamy z panią Bronisławą Fastowicz podobny problem - szukamy pomysłu (wtrychu) na Siennicę. Na próbę jej opisanie, zaznaczenia tego, czym jest, była i będzie dla nas ta wyjątkowa osada, położona w matczyńskich objęciach rzecznej doliny.

Konotacje macierzyńskie są tutaj jak najbardziej uzasadnione. Miejsce, które kochamy, i do którego często pielgrzymujemy - nieważne czy w rzeczywistości, czy tylko w snach i marzeniach - jest jak rodzicielka, a tę Autorka utraciła bardzo wcześnie, bo już w kilka dni po swoim przyjściu na świat. Można powiedzieć, że Siennica w pewien sposób musiała zrekompensować tak niewyobrażalnie bolesną tragedię, już u progu życia. Dała jej więc to, co sama miała najlepszego: ludzi, historię, przyrodę, przeżycia i emocje, siłę.

Widać to doskonale w siennickich wierszach Poetki i jej wspomnieniach. Mentalna stolica Mikołajów (Reja i Siennickiego) stała się dla niej jakby drugą pępowiną. W metafizyczny sposób sprzęgła bieg życia z pytaniami o jego sens i naszą rolę na świecie. Umożliwiła przetrwanie najtrudniejszych chwil. Po kilkudziesięciu latach okazała się arkadią, „domem złotym”, do którego wiersze pisze się jak litanie, zdrojem pokuty.

Bronisława Fastowicz wyprawia się więc w swoich wierszach na trakt, na którym spotyka dawno zmarłe osoby, miejsca, których już nie ma, czasy ulatujące z każdym zmruczeniem powiek. Doskonale zdaje sobie sprawę, że nie zmąci już tą samą stopą tego samego nurtu rzecznej Siennicy. Wie, że bagaż własnego życia musi nieść sama, nikt jej w tym nie wyręczy. Ale o to się nie martwi. Jest pełną spokoju

i godności kobietą, dla której „wczoraj” to ojciec „dzisiaj”, a „jutro” jest jego wnukiem. Pamięta Siennicę Różaną, jakiej być może nie jesteśmy sobie w stanie dzisiaj wyobrazić ani zrozumieć.

Po lekturze wierszy zawartych w tym tomiku, ich Autorka jawi mi się jako wiecznie młode źródło wiedzy o życiu, we wszystkich jego przejawach. O tym jak można przez nie iść, nawet boso, ale z dumnie podniesioną głową, skierowaną w stronę siennickiej dziedziny. Bóg i czas wyznaczyli nam już „doczesny termin przydatności do spożycia”, ale patrząc na osobę Bronisławy Fastowicz, chce się zostać tutaj jak najdłużej.

Mariusz Kargul

Tak pisze Mariusz Kargul we wstępie do tomiku poetyckiego „Zapachniało różą” Bronisławy Fastowicz. Książka jest zbiorem wierszy poświęconych Siennicy. Miło nam, ponieważ w przygotowanie tak zacnego wydawnictwa zaangażowany był, obok Ireny Zarazy, zespół redakcyjny „Nestora”.



Bronisława Fastowicz, *Zapachniało różą*,
Oficyna Wydawnicza Elipsa w Krasnymstawie,
Siennica 2011, ss. 44.

Bronisława Fastowiec, z domu Chodun, urodziła się 20 sierpnia 1937 roku w Siennicy Dużej, a dokładnie w Browarówce. Później mieszkała w Krasnymstawie, gdzie w 1955 roku ukończyła Liceum Ogólnokształcące im. Władysława Jagiełły. Obecnie mieszka w Kamieniu koło Chełma. Należy do kilku związków twórczych, m.in. Stowarzyszenia Twórców Ludowych w Lublinie, Bractwa Literackiego Białego Pasterza w Krakowie oraz od 2004 roku do Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Pomimo, że na debiut musiała czekać długo, to i tak stała się laureatką kilkudziesięciu konkursów. W swoim dorobku posiada następujące indywidualne tomiki wierszy:



Moim dzieciom (1991), *Wiersze i wierszyki* (1991), *Ziemio, z Ciebie jest wszystko* (1992), *Pod jarzębiną usiąść* (1992), *Zdążę do Ciebie, Boże* (1992), *Tęcza dzieciństwa* (1993), *Kresy, kresy...* (1994), *Ścieżek złoty piach* (1996), *Wiersze* (2002), *Zostanę w słowach i w tęczy* (2006).

Bronisława Fastowiec

Moja Siennica

Wygasło tyle smutków i tyle nadziei
tylko Ty jedna w pamięci zostałaś
wszystko zanika...
blednie po kolei
a Ty...
wciąż czekasz
Domy budują nowe
nowi ludzie żyją
Ścinają stare drzewa
wschodzą nowe kwiaty...
ale dla mnie zostałaś obrazkiem z dzieciństwa
i taką Cię zabiorę ze sobą w zaświaty

Wiosko mojej młodości...!
bujna i rozległa
szemrzącą cicho wodą mnie tutaj przyzywasz
wabisz trawą zieloną...
niebieskością nieba...
i grobami rodziny mojej nieszczęśliwej

Wymościeś Panie...

Mamie w rocznicę śmierci

Wymościeś Panie cierniami
krótką drogę wybranej dziewczyny
położyłeś na wątłe ramiona Krzyż
by za cudze dźwigała go winy

Pochyliła głowę z pokorą
w ręce wbiła drzazgi płomieniste
i odeszła zabierając z sobą
gorzkie żale i lilie złociste

Pamięci Babci Józefy Frej

Trzeba było godnie przeżyć życie
od dzieciństwa aż do skonania
nieść w ramionach
ciężar cierpienia
a na ustach modlitwy
do Pana
Szczęście złożyć w ofierze
pochowanym najbliższym i drogim
i w pacierzu złączyć się z Bolesną
gdy płakała za Synem
Bogiem
Przebaczyć tym, którzy wypędzili
z ojczystego domu i ziemi
nie przeklinać oddać Bogu syna
by się modlił także i na ziemi
A gdy teraz odmawiasz różaniec
na niebiańskich łąkach u Pana
to swą dłonią spracowaną i miłą
dołącz jeden paciorek i za mnie
bo przez życie sieroce szłam sama

Siennickie sianokosy

Zapach łąk które niosę
za sobą przez lata
zapach kwiatów i trawy koszonej
z moją dolą
dziwnie Cię przeplata
Kruszę w palcach siano
wiecznie młode
szumią trawy wiatrem wysuszone
każda ścieżka wiedzie
w inną stronę
A ja w snach do Siennicy
powracam
i do stogów na łące zielonej

Andrzej David Misiura

Pogrzeb wierszoroba



Nie, nie, to wcale nie jest jakaś sadomasochistyczna opowieść! „Niewczesny pogrzeb wierszoroba” to po prostu debiutancki tomik poetycki Mariusza Kargula. Autor dość długo nosił się z nim po Krasnymstawie, Siennicy Różanej, a nawet Zamościu. Jego próby wierszowania poznawały przeróżne lokale, chociażby nieistniejąca dzisiaj Galeria Retro. Mariusz, gdziekolwiek się znalazł, napędzał wszystkich pomysłami i zaskakiwał chęcią działania nawet etatowych animatorów kultury, chociaż sam zarobkowo najbliżej swoich zainteresowań pracował jedynie z miesiąc w krasnostawskiej księgarni. Od dawna trudni się też dziennikarstwem, pozostając wierny lokalnym tygodnikom, chociaż lubi chodzić własnymi drogami i zbierać plusy na własne konto. Wolny więc od obowiązków, ma za to szansę więcej czasu poświęcać nawiązywaniu kontaktów z podobnymi sobie lub autorami, którzy promowali w okolicy własne książki. Anonsował i starał się być ich opiekunem i gospodarzem. Dał się poznać jako pomysłodawca np. Festiwalu Sztuk Krasnych i Konkursu Poezji Miłosnej. Kontynuuje też - po Grupie Literackiej Słowo (1976-1986) - kult Stanisława Bojarczuka z Krasnegostawu, wybitnego zapomnianego poety, autora tysiąca sonetów.

Znawcy słowa pisanego nie wróżyli mu kariery poety, ponieważ dostrzegali większe zdolności do prozy. A Mariusz zniecierpliwienie zadebiutował akurat poezją w lubelskim „Akcencie”, chociaż nieźle trzeba deptać, aby dostać się na łamy tego pisma. Przed kilku laty opublikował swój artykuł o chmielakach krasnostawskich w polonijnej bostońskiej gazecie „White Eagle” czyli „Biały Orzeł”, a ostatnio nawet w „Słowie Powszechnym”, gdzie podpisany był pod prezentowanym materiałem (wywiadem) wspólnie z hołubionym przez Mariusza laureatem literackiej nagrody NIKE, Andrzejem Stasiukiem. Swoje artykuły i wiersze zamieścił w większości

regionalnych czasopism. Zaznaczywszy w ten sposób swoją obecność uznał, że już najwyższy czas na debiut książkowy.

Prezentowane w omawianym tomiku prace są bardzo zróżnicowane. Można tam spotkać piosenki, satyry, fraszki, prozę poetycką i wiersze. Zapewne cały przekrój artystycznych poszukiwań. Czy Mariusz zapowiadając „...pogrzeb wierszoroba” przekazuje nam wiadomość, że czas niezdecydowania zamknięty zostanie w niniejszym zbiorze, a teraz dopiero zacznie powstawać dojrzała proza? Zobaczmy. W każdym razie dzisiaj warto sprawdzić jak obok szczerych lirycznych wyznań, autor - momentami bezpardonowo - ogłusza granatami szczerych do bólu spostrzeżeń lub krytyki. Niczym prozaik, wykorzystuje codzienne sytuacje i doświadczenia jako materiał swoich rozważań. Niejednokrotnie w wierszach rozprawia się ze swoimi wrogami, dowodzi satyrycznym językiem i uszczypliwie puentuje kiedyś rozpoczęte dysputy.

Mariusz Kargul cały zbiór zadedykował swojej przedwcześnie zmarłej matce Barbarze. Książkę wydano przy wsparciu Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Siennickiej w nowo powstałym wydawnictwie poetki Moniki Włodarczyk z Izbicy.

Andrzej D. Misiura



Mariusz Kargul, *Niewczesny pogrzeb wierszoroba*, wyd. SKRIPTA MANENT, Izbica 2011, ss. 48.

Mariusz Kargul

Stolica Różana

Stolica płatkami różana.
 Rozpięta między jutrenką a zachodem.
 Sen śniony w rytm szumu rzeki.
 Łagodna dolina żłobiona czasem i ręką człowieka
 W udach pagórków.
 Pajęczyna losów i zdarzeń
 Utkana z przypadków fantazji, celowych zamierzeń.
 W tym, co pamiętam, Siennicę spowija
 Coś na kształt złotej poświaty.
 Coś jak łupież czasu spadający na ulice,
 Dachy domów i kościoł.
 Na tych, których dawno już nie ma,
 I tych, którzy jeszcze są.
 Słoneczny blask zatapia miejsca i ludzi.
 Woda w rzece przypomina kolor misy
 Do płukania złotego piasku.
 Sepia leci tynkiem na chodniki i drzewa.
 Przenika pod ubrania i skórę.
 Razem z deszczami nawadnia osadę.
 Bilans w naturze musi zgadzać się co do joty.
 Aktywa nie mogą dominować nad pasywnymi.
 I odwrotnie.
 Wszechświat przypomina gigantyczną prochownię,
 Prowadzoną przez skrupulatnego rachmistrza.
 Pobrałeś na budulec garść prochu?
 To teraz bądź tak grzeczny i oddaj każdy pyłek.

w mieście bez przystanków i bez idei
 żyję udając sztukę telemarku
 ojciec wpada tylko do domu
 tankować spirytus na proste ucieczki
 czerwiec warzy asfalt w chodnikach
 ślepnę razem ze słońcem przez szybę
 czytając po raz kolejny zapiski Babla
 czuję jak w krtani pyłą drogi Podola
 a w oczy tumanią piachy Wołynia
 razem z Żydem z Odessy
 co to szukał starej kultury
 między końskimi zadami
 pod strzechą, w błocie nawaly
 w izbie z ukrytą jałówką
 obok bożnicy trzymanej na wiarę
 zjeżdżam po galicyjskiej glinie
 w obrazek z Dubna rodem
 gdzie złoto faluje w głos kłosach
 a prosta huśtawka wznosi oczy ku niebu



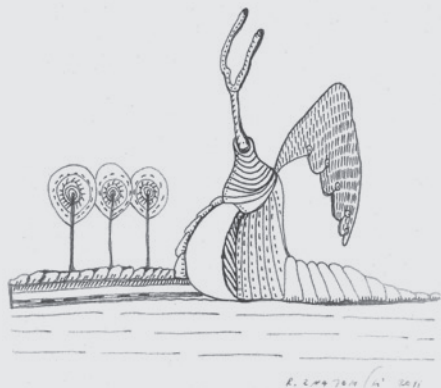
Do Ma***

zawsze lubiłaś anioły,
 ale najbardziej te upadłe
 pałac jednego za drugim
 chowałaś za ścianą dymu
 bolesne, trudne, wymagające
 mówiłaś: jeszcze jeden
 i będzie lepiej!

pijąc kawę o czwartej rano
 patrzyłaś w okna sąsiedniego bloku
 lubiłaś witać dzień przez szybę
 z innymi
 karmiłaś półdzikie gołębie
 na parapecie
 zastanawiając się, kiedy z nimi odleciś?
 dzisiaj zostały już tylko ptaki
 karmię je pijąc drugą kawę po południu

tak ci Matko zimno w grobie
 pójde ja, położę się przy tobie
 tak ci ciemno, tak boleśnie
 przyjdę zaraz, jeszcze wcześniej...

widzę puste miejsce przed sobą
 i staram się zacząć na nowo
 bez pępowiny, dotyku, słowa
 tak jeszcze jeden raz, od nowa



rys. R. Najomski

Zbigniew Waldemar Okoń

Mistrz Albert i „Dwunaste skrzypce”



Dwunaste skrzypce to powieść, która mocnymi akcentami artystycznymi i ideowymi wpisuje się w historię literatury polskiej. Stanowi kontynuację i rozwinięcie, a jednocześnie zwieńczenie dotychczasowych osiągnięć twórczych Stanisława Leona Popka zarówno w wymiarze literackim, plastycznym, jak i naukowym. Mówiąc inaczej: Stanisław Leon Popek - profesor zwyczajny zajmujący się psychologią różnic indywidualnych, psychologią zdolności, twórczości i sztuki, Stanisław Leon Popek - artysta plastyk, oraz Stanisław Leon Popek - prozaik i poeta, w *Dwunastych skrzypcach* wykorzystuje i łączy w „jedną całość” wiedzę psychologa, mistrzostwo artystyczne pisarza i artysty malarza, tworząc dzieło literackie wybitne, odnoszące się do najbardziej żywotnych spraw i problemów współczesnej Polski. Jest to także, trudno mi oprzeć się temu stwierdzeniu, zbeletryzowana, uartystyczniona rozprawa naukowa z psychologii człowieka, doskonale studium psychologiczne wszystkich, nawet epizodycznych postaci występujących w tej książce. Dodajmy, jest to powieść autobiograficzna o kresowych dziejach Rzeczypospolitej i jednocześnie dzieło historiozoficzne ze źródłowymi, IPN-owskimi dokumentami dotyczącymi konkretnych miejsc, zdarzeń i ludzi - bohaterów powieści. Jest to dokument czasu, który tworzyli ludzie, autentyczni mieszkańcy międzywojennej i wojennej Rzeczypospolitej i powojennej Polski Ludowej, których nazwisk nie odnajdziemy w podręcznikach historii, ale niektórych (przede wszystkim Mistrza Alberta - skrzypka i lutnika Alberta Mejera) po ukazaniu się powieści Stanisława Leona Popka powinniśmy spotkać na kartach historii literatury polskiej. I wreszcie *Dwunaste skrzypce* są jak namalowany przez artystę malarza realistyczny, naturalistyczny obraz XX-wiecznej Polski i jej kresowych mieszkańców z terenu zachodniego Wołynia i południowo-wschodniej Lubelszczyzny. To artystycznie bezbłędne połączenie trzech dzieł: literackiego (z elementami historycznego dokumentu), naukowego i malarsko-architektonicznego nadaje *Dwunastym skrzypcom* walory powieści wybitnej.

Recenzując w „Nestorze” (nr 1/15/2011) *Nadwrażliwe ogrody* (2009) - ostatni tom poezji Stanisława Leona Popka oraz jego pracę naukową *Psychologia twórczości plastycznej* (2010) nie wiedziałem, że niespełna parę miesięcy później otrzymam od autora nową książkę, powieść *Dwunaste skrzypce*, która, co podkreśliłem powyżej, nie tylko wieńczy jego dotychczasowy dorobek twórczy, ale dźwiga go na jeszcze wyższe szczyty artyzmu, literackiego piękna i historycznej prawdy. Dlatego odwołuję się i powtarzam dzisiaj niektóre stwierdzenia z przytaczanej recenzji, odnosząc to wszystko, co w niej napisałem o poezji, również do prozy Stanisława Leona Popka.

Albert Mejer - skrzypek, lutnik, w powieści nazywany Mistrzem Albertem, jest jednym z głównych bohaterów *Dwunastych skrzypiec*. Jest jedną z najtragiczniejszych postaci w tym utworze, w ogóle w polskiej literaturze. Jego świat, świat trzech miłości: miłości do skrzypiec, miłości do Lwowa i miłości do Kamili, nie wykraczający z reguły poza jego doświadczenia i przeżycia egzystencjalne i społeczne, burzy wojna, zbrodniczy terror niemieckich i radzieckich okupantów, wysiedlenie ze Lwowa oraz bestialskie prześladowania polskich patriotów przez NKWD, milicję i UB w Polsce Ludowej. W życiu Alberta Mejera, odnajdziemy największą koncentrację tragizmu lat wojny i okupacji, rozpaczy, rozczarowania i wyobcowania ludzi, jak on, wypędzonych ze Lwowa, z Kresów Wschodnich:

Urodziłem się we Lwowie (...) i dlatego moją ojczyzną jest Lwów. Tutaj (w Zamościu - przypis mój) żyję w ojczyźnie zastępczej, jako ktoś wypędzony i dla tego miejsca jestem w jakimś stopniu obcy. (...) Stopniowo traciłem wszystko: najpierw babcię, później mamę, ojca, mój Lwów, a zatem moją ojczyznę i wolność, możliwość dalszej gry na skrzypcach. Straciłem nasze gniazdo rodzinne - dom, obrazy, portrety przodków, a nawet możliwość spacerów po ulicach Lwowa, odwiedzania starego Cmentarza Łyczakowskiego... Straciłem także coś, co jest chyba najważniejsze: wiarę w człowieka, w jego szlachetność i geniusz, straciłem przyjaciół, spokójność przechodniów.

Rzeczywistość, w której przyszło żyć bohaterom powieści, okazała się bardziej tragiczna, niż wynika to z pożegnalnego wyznania, które Mistrz Albert na dwóch poślizniętych kartkach papieru pozo-

stawił Panu Franciszkowi. Prawda o losie generacji bohaterów powieści Stanisława Leona Popka poraża okrucieństwem i powszechnością dokonywanych zbrodni, masowych zbrodni ludobójstwa na narodzie polskim: udokumentowana historycznie i zgłębiona psychologicznie - przeraża ogromem cierpień, tortur i męczarni fizycznych i duchowych zgilotowanych Polakom w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu.

Prawda ta odnosi się do czasów i ludzi, których pamięta żyjące jeszcze pokolenie autora i bohaterów powieści. Jest prawdą ukazaną w szerokim kontekście kulturowym, antropologicznym, politycznym, religijnym, filozoficznym, wielonarodowościowym. Żadna z postaci występujących w powieści nie jest postacią literacką (fikcyjną) - wszystkie są postaciami rzeczywistymi.

W *Dwunastych skrzypcach* Stanisław Leon Popek ukazuje, nie licząc reminiscencji sięgających w przeszłość, cztery pokolenia Polaków żyjących na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej i w Polsce Ludowej. Są to: Stanisław (uczeń zamojskiego liceum pedagogicznego w latach 1950-1954, następnie student w Katowicach - 1956 r., nauczyciel w szkołach w Leśnej Podlaskiej i Zamościu, autor powieści); Pan Franciszek (muzyk, szef zatrudnienia zamojskiej kolei), Mistrz Albert (ur. w 1918 r.), Wujek Stach Jędruszcak (rodzony brat matki, ojciec chrzestny Stanisława, żołnierz AK aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa 16 grudnia 1951 r., torturowany, skazany 15 marca 1952 r. przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Lublinie na 15 lat więzienia). Są oni głównymi bohaterami utworu - filarami konstrukcyjnymi świata rzeczywistego przedstawionego w powieści, wiążą w epicką całość poszczególne wątki, stają się wzorami do naśladowania, wywołują u czytelnika określone reakcje, refleksje i kontrowersje, związane z akcją, ideą i przesłaniem utworu. Autor w stosunku do nich, podobnie jak do każdej innej postaci, stosuje motywację realistyczną, perfekcyjnie psychologiczną, biologiczną, społeczno-polityczną. Obiektywną, bez odautorskich komentarzy, sugestii, ocen i opinii. Uniwersalną i ponadczasową.

Ludzie to bardzo mocna strona powieści: szczególną postacią jest na pewno Albert Mejer, unikatowa postać w polskiej literaturze, z genialnie odtworzoną przez Stanisława Leona Popka chary-

zmą, z jego niepowtarzalnymi, indywidualnymi cechami charakteru, z poglądami na świat i ludzi.

Nie chciałbym, aby zaliczenie przeze mnie wymienionych wyżej osób do grona głównych bohaterów powieści, uznał czytelnik za wyczerpującą hierarchizację postaci w niej występujących. Byłoby to znaczne spłycenie idei *Dwunastych skrzypiec*. Przesłanie tego utworu jednoznacznie związane jest ze światem w nim przedstawionym, tj. z ludźmi, z Kresami przedwojennej Rzeczypospolitej i obecną Lubelszczyzną. Ludzie Kresów są zbiorowym bohaterem tej powieści. Pod tym względem powieść Stanisława Leona Popka, z racji swojej konstrukcji odległa od klasycznego eposu, bardzo bliska jest temu gatunkowi m.in. ze względu na ukazanie losu ludzi na tle przełomowych dla nich - i dla Polski - wydarzeń historycznych, rozpadania się wśród kresowej społeczności dotychczasowych więzi społecznych, moralnych i międzynarodowych, rozbudzania szowinizmów politycznych i narodowościowych oraz antagonizmów i różnic religijnych.

Dwunaste skrzypce są powieścią psychologiczną, do której będą musieli odwoływać się badacze i krytycy literatury, analizując ten gatunek literacki. Co jest bardzo nowatorskie - autor poprzez kreacje psychologiczne postaci przewiduje zachowanie się czytelnika, zmusza go do refleksji i kontrowersji. Jest to świadomy zabieg artystyczny i formalny twórcy *Dwunastych skrzypiec*. Służy temu przede wszystkim dobór narracji. Narrator usytuowany jest w świecie przedstawionym. Każdy z czterech wymienionych bohaterów indywidualnych posługuje się „własną” narracją, która - często - w dalszej wypowiedzi staje się narracją innego narratora. Jest rzeczą charakterystyczną, że Stanisław Leon Popek nie indywidualizuje języka narratorów. Wszyscy oni mówią językiem bardzo podobnym, niemal identycznym, zbliżonym do języka literackiego. Pozwala to autorowi na używanie narracji w sposób bardzo swobodny, ekspresyjny, bez wiązania jej z konkretnym narratorem, na powiększanie głębi psychologicznej postaci. Umożliwia narratorowi, uczestnikowi zdarzeń, nie osłabiając tempa akcji, na wprowadzanie pięknych opisów przyrody, zachwyty nad architekturą Lwowa i Zamościa, wyrażenie miłości do skrzypiec, naturalistycznych zachowań ludzi (np. ranek Alberta z Joanną, seks Kamili i porucznika „Młota” z AK), dramatyzuje ak-

cję powieści. Narratora cechuje zawsze ogromna wiedza o świecie przedstawionym: przeszłym, obecnym i przyszłym, np. o skrzypcach, lutnictwie, sztuce, historii Zamościa i Lwowa, obiektywizm w wartościowaniu ludzi i rzeczywistości. W powieści pojawia się - najczęściej w paru zdaniach, w konkretnych zdarzeniach, w kulminacyjnych punktach narracji - także narrator (tylko w przypadku narracji Stanisława) spoza aktualnie przedstawionego świata rzeczywistego, odwołujący się do znanych mu wydarzeń z przyszłości, obejmujących lata współczesnej Polski. Pozwala to autorowi sięgać np. do aktualnych dokumentów IPN, ustalać i dokumentować obiektywną prawdę historyczną, przedstawiać zależność sprawczą między losem jednostki a życiem narodu, określać - obiektywnie, źródłowo - pozycję wszystkich postaci powieści wobec ludzi, świata przedstawionego i struktury utworu.

Ten sposób narracji nazwałbym narracją Stanisława Leona Popka. Mam świadomość, że udowodnienie mojej opinii o jego narracji wymaga badań porównawczych. To temat na rozważania w innym artykule. Jestem głęboko przekonany, że badania te wypadną bardzo korzystnie dla autora *Dwunastych skrzypiec*.

Dwunaste skrzypce to powieść wielowarstwowa, autobiograficzna. Nie chodzi tu tylko o proste zidentyfikowanie autora książki jako Stanisława. Mnie zaintrygowało w powieści Stanisława Leona Popka podobieństwo losów, charakteru, sposobu przeżywania świata, zbieżność psychologiczna, identyczna fascynacja sztuką, skrzypcami, krzyżowanie się dróg życiowych Stanisława i Alberta. Obaj wychowują się w patriotycznych od wielu pokoleń rodzinach tragicznie doświadczonych przez wypadki dziejowe: dla obu matka i ojciec są najwyższymi autorytetami w każdej dziedzinie życia, stają się wzorami do naśladowania, archetypami prawdy i mądrości, według których obaj - choć w różnych uwarunkowaniach historycznych - niemal identycznie weryfikować będą swoje życie.

To świadomy zabieg artystyczny i ideowy autora, który kształtuje ich osobowości w taki sposób, aby czytelnik na ich losy patrzył poprzez perspektywę skrzypiec, aby w przyszłość spoglądał przez pryzmat wielkiej miłości do tego instrumentu, do ideałów, wartości i miejsc, które stanowiły sens i treść ich życia. Dlatego Mistrz Albert sprzedaje

Stanisławowi dwunaste skrzypce. Parę lat później jedenaste i swoje własne skrzypce, na których uczył się grać i z którymi nie rozstawał się przez całe życie - przekazuje jako dar swojej córeczce Tosi, którą widzi tylko raz w życiu, dziedziczącej po nim talent muzyczny i umiłowanie gry na skrzypcach, będącej „miniaturą jego matki”. W ten sposób zamyka się krąg historii, która stanie się powtarzalna w innym wymiarze dziejowym, w następnym pokoleniu Polaków.

Czytając *Dwunaste skrzypce*, nie sposób nie odnieść się do bogatej literatury kresowej, licznie wydawanej obecnie w Polsce. I tutaj Stanisław Leon Popek wykracza poza ustalone schematy tej literatury. Autor nie mitologizuje i nie gloryfikuje Kresów, jak czyni to większość współczesnych pisarzy. Praktycznie nie używa tej nazwy w swej powieści. Jeżeli miałbym doszukiwać się w tej książce wizji Kresów ukazywanych we współczesnej literaturze, to przede wszystkim w pięknie krajobrazowym i architektonicznym tych ziem oraz w wymiarze tragedii narodowej, którą doświadczali w przeszłości i która obecnie stała się udziałem mieszkańców Lwowa, Poturzyna, Oszczowa i innych miejscowości. Autor wielokrotnie powraca do historii stosunków polsko-ukraińskich, polsko-rosyjskich i polsko-radzieckich na tych ziemiach. Nie komentuje ich, ogranicza się do ich opisanie, do dokumentalnego przedstawienia faktów. Stara się zrozumieć stereotypy, racje ludzi i narodów zamieszkujących ziemię kresowe.

Zbigniew Waldemar Okoń



Stanisław Leon Popek - *Dwunaste skrzypce*
Wydawnictwo ZLP w Lublinie, 2011, ss. 211.

Ewa Magdziarz

Jesienne spotkania MDKF-u



Spotkanie „Filmowe Podlasie Atakuje!”

Spotkanie odbyło się 17 października 2011 roku w II LO im. C. K. Norwida w Krasnymstawie. Prowadził je Marcin Pawlukiewicz z Ośrodka „Pogranicze - sztuk, kultur, narodów” w Sejnach. Akcja, promująca niezależne filmy i twórców z północno-wschodniej Polski, która narodziła się na Podlasiu, współorganizowana jest przez Macieja Ranta z Białostockiego Ośrodka Kultury. Prowadzący pokazał m.in. filmy „Dąb” w reżyserii Marka Włodzimierowa, „Kurianka” w reż. m.in. Krzysztofa Kiziewicza, „Gry wojenne” Rafała Samusika, „Taki los” Andrzeja Sidora, „Portret psychologiczny” Marcina Pawlukiewicza czy „Dziennik autostopowicza. Rumunia”, „One-shot”, a także teledyski: „Happy pla-



ce” w reż. Pawła Łukomskiego i „Pies” grupy BIFF (Fryderyk 2010). Pokaz uzupełniły animacje z Filmowej Kolekcji Bajek - „Opowieści pogranicza”. Inspiracją dla filmów z tej kolekcji stały się legendy, bajki i opowieści z polsko-litewskiego pogranicza. W efekcie pracy powstały bajki litewskie, cygańskie, żydowskie, rosyjskie i polskie. Prezentowane filmy były świetnie zrealizowane, poruszały tematy, które świadczą o wrażliwości autorów i zainteresowaniu otaczającym światem. W czasie dyskusji prowadzący podkreślał, że najważniejsza jest pasja, a nie posiadanie drogiego sprzętu czy nawet profesjonalne przygotowanie. W czasie drugiej części spotkania (21.10.2011 - KDK) zaprezentowany został pierwszy film nowelowy zrealizowa-

ny przez podlaskich filmowców „Goście, czyli na wschodnich bezdrożach”. Marcin Pawlukiewicz obiecał, że w następnym roku niezależni twórcy z Podlasia pokażą w Krasnymstawie nowe filmy.

Spotkania poświęcone wybitnemu reżyserowi Siergiejowi Paradżanowowi (1924-1990)

Projekcja filmu Paradżanowa „Cienie zapomnianych przodków” (1964) odbyła się 27 października 2011 r. w II LO w Krasnymstawie. Historia miłości filmowych bohaterów, podobna do losów Romea i Julii, ukazuje ludową obrzędowość i religijność, a także uniwersalne wartości i związek ludzi z naturą. Film zachwyca pięknem kostiumów, pejzażami i niezwykłą muzyką. Nie bez powodu obraz ten uznawany jest za arcydzieło światowej kinematografii. Seminarium filmowe



„Siergiej Paradżanow - dokument o reżyserze” (7.11.2011 r. - II LO) prowadzone było przez filmoznawcę, wykładowcę i wieloletniego działacza ruchu DKF Grzegorza Pieńkowskiego. Prowadzący ukazał postać reżysera na tle trudnych czasów, w których przyszło mu żyć. Niezlomność, wierność sobie i niezależność sprawiły, że Paradżanow kilkakrotnie przebywał w łagrze jako więzień polityczny skazany za przestępstwa, których nie popełnił. Fragmenty filmów interpretowane i analizowane przez filmoznawcę dopełniły portret wybitnego reżysera, którego nie akceptowały komunistyczne władze. 17 listopada w II LO odbyła się projekcja „Barw granatu”. Film ukazuje historię XVIII-wiecznego ormiańskiego poety Sajat-Nowy. Opowieść o legendarnym poecie przedstawiająca naturalny rytm życia ludzkiego zyskuje w filmie Paradżanowa metaforyczny wymiar. Bogactwo ormiańskiej kultury dopełnia poetyckie obrazy pełne symboli

i alegorii. Filmowe spotkania poświęcone Siergiejowi Paradżanowowi pozwoliły młodzieży poznać sylwetkę reżysera nazywanego wielkim magiem i poetą ekranu, cenionego przez Felliniego czy Antonioniego. Cykl zorganizowany przez MDKF przekonał młodzież o słuszności tych opinii.

Warsztaty filmowe „Amator”

Warsztaty filmowe „Amator” organizowane są od 2006 r. w ramach zadania „Edukacja filmowa” prowadzonego przez MDKF „Iluzjon” finansowanego przez Polski Instytut Sztuki Filmowej i Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie. Szósta edycja warsztatów odbyła się 5 grudnia 2011 roku w II LO. W spotkaniu, które prowadził Sławomir Kozyrski, uczestniczyli uczniowie z II LO w Krasnymstawie, z I LO, z Gimnazjum w Małochwieju



Dużym oraz nauczyciele. Celem spotkania było zapoznanie uczniów z programem do montażu Corel Video Studio zakupionym z funduszy z Nagrody PISF, którą MDKF otrzymał w 2011 r. Uporządkowaniu wiedzy związanej z językiem filmu posłużyły fragmenty z filmu „Imię róży” w reżyserii Jeana-Jacques’a Annauda. Uczestnicy warsztatów rozpoznawali kadry, interpretowali występujące w nich symbole oraz zapoznali się ze sposobami łączenia ujęć. Po przypomnieniu wiadomości z zakresu montażu, przyszedł czas na działania praktyczne. Uczniowie wykonali ćwiczenia montażowe na fragmentach filmu „Monika”, który powstał w czasie letniego projektu „Kręcmy film!”. Sławomir Kozyrski - odpowiedzialny za montaż - obiecał, że ostateczna wersja „Moniki” będzie gotowa pod koniec lutego. Premiera filmu planowana jest na początek marca 2012 r.

*Ewa Magdziarz
opiekun MDKF „Iluzjon”*

Emilia Żuber



„Filmoteka Szkolna” w Janowskim Ośrodku Kultury

11 stycznia 2012 roku w Janowskim Ośrodku Kultury odbyła się konferencja promująca program edukacji filmowej „Filmoteka Szkolna” opracowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej. Konferencja była skierowana do nauczycieli z powiatu janowskiego.

PISF opracował pakiet płyt DVD obejmujący ponad 50 filmów fabularnych, dokumentalnych i animowanych. Filmy dobrane zostały do 26 tematów lekcji i zajęć pozalekcyjnych (język polski, historia, wiedza o sztuce, wiedza o społeczeństwie), które zostały zaproponowane przez specjalistów od danego przedmiotu. Filmy w pakiecie nie są ekranizacjami lektur ani zestawem najważniejszych osiągnięć polskiej kinematografii. Zestawienie obejmuje dzieła, które zdaniem filmoznawców, dobrze ilustrują poszczególne tematy z punktu widzenia wiedzy o filmie. Pakiety trafiły do prawie 14 000 szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych w całej Polsce w 2009 roku.



Celem konferencji było przedstawienie nauczycielom możliwości edukacyjnych pakietu „Filmoteka Szkolna”. Pierwszą część konferencji poprowadziła Emilia Żuber, nauczycielka języka niemieckiego i wiedzy o kulturze w Zespole Szkół Zawodowych w Janowie Lubelskim, która zainicjowała całe wydarzenie. W czasie wystąpienia przedstawiła program „Filmoteka Szkolna” i wszystkie formy działań z nim związane, a także

przykład wykorzystania filmu z pakietu na godzinie wychowawczej.



W drugiej części Ewa Magdziarz, nauczycielka języka polskiego w II LO im. C. K. Norwida w Krasnymstawie i opiekun Młodzieżowego Dyskusyjnego Klubu Filmowego „Iluzjon”, zaprezentowała przykłady dobrej praktyki z zakresu edukacji filmowej. Ewa Magdziarz zajmuje się edukacją filmową od ponad 10 lat, organizując m.in. Powiatowy Konkurs Filmowy „Spotkanie z X Muzą - bliżej marzeń”, spotkania autorskie z twórcami filmowymi, warsztaty i przeglądy filmowe, a także letni projekt „Kręcmy film!”. MDKF otrzymał w 2011 roku prestiżową nagrodę PISF w kategorii „Edukacja młodego widza”.

Materiały zawarte w pakiecie motywują do ciekawych działań filmowych. Potwierdzeniem walorów edukacyjnych projektu „FilMOTEKA Szkolna” były prezentacje multimedialne pokazujące wiele przykładów praktycznego wykorzystania pakietu w edukacji szkolnej. Prowadzące konferencję przedstawiły przedsięwzięcia filmowe inspirowane „FilMOTEką Szkolną”, które od dwóch lat mogły prezentować na Festiwalu FilMOTEKI Szkolnej w Warszawie.

Konferencja była okazją do wymiany doświadczeń i zachęcenia nauczycieli do podejmowania samodzielnych działań związanych ze sztuką filmową. Uczestnicy otrzymali zaświadczenia o udziale w spotkaniu i materiały szkoleniowe przekazane przez „FilMOTEkę Szkolną”, a także egzemplarze Czasopisma Artystycznego „Nestor” zawierające artykuły promujące edukację filmową prowadzoną przez MDKF „Iluzjon”.

Emilia Żuber

Ewa Błaszczak

(Debiut)

Książka kucharska

garstkę mlecznej dobroci
szczyptę ранnego uczucia
i łyżeczkę łez
dodaj

zamieszaj zmysłami
nad rozpalonym sercem
zadaj miłości
i dopraw szaleństwem

wylej
na zapomnienie

Głuchy telefon

ciągle zajęte
nic mnie nie łączy
jestem bez szans

milczy centrala
zamknięta furtka
daremne wyciska pacierze

to była chwilowa awaria
bo mój anioł
złożył skrzydła

ale teraz
znowu ciebie słyszę

panie

Okruch

fragment życia
moje imię
twoje słowo

unisono

nie zavrcaj
jeszcze chwilę

Krasnystaw 2011

Wiersze ze zbioru „Niebieski słoń”.



Zbigniew Masternak

„Księżstwo” w Bollywood



Jeżeli sędzić po obecności na ważnych festiwalach filmowych, to „Księżstwo” Andrzeja Barańskiego najbardziej podoba się w Indiach. Najpierw zostało zaproszone na 17 MFF w Kalkucie (10-17 listopada 2011), niedługo potem reprezentowało Polskę na 42 MFF w Goa (23 listopada-3 grudnia). Żeby lecieć do Kalkuty, musiałem załatwić wiele formalności - przede wszystkim wizę do Indii oraz obowiązkowe szczepienia. W Kalkucie pokaz odbył się w sekcji Cinema International. Na konferencji prasowej Hindusi wypytywali mnie o realizm tej historii, jakby zadowoleni, że nie tylko u nich są takie dysproporcje pomiędzy biednymi i bogatymi. Z ich perspektywy to film o młodym chłopaku, który próbuje przebić się z jednej kasty społecznej do drugiej i ponosi klęskę. Znają to z własnego podwórka - weźmy głośny przez trzema lata „Slumdog. Milioner z ulicy”. Czyż tamta opowieść jest mniej dramatyczna? Nasuwa się wiele podobieństw - przede wszystkim jedno: nawet dzięki talentowi niełatwo zerwać z przypisaniem do danej grupy społecznej.

Kino cieszy się tutaj niesamowitym uznaniem, zwłaszcza bollywoodzkie produkcje, od niedawna popularne także w Europie. Paradoksalnie, hinduskiego respektu dla kina doświadczyłem nie tyle w Kalkucie, co w Krakowie. W 2009 roku mieszkalem tam w trzykondygnacyjnej willi na Woli Justowskiej. Pierwsze piętro wynajmowali Hindusi. Byli inżynierami, budowali jedno z centrów handlowych w Krakowie. Gdy się dowiedzieli, że piszę książki i kręcę filmy, zaczęli mi się kłaniać w pas, mimo że stali wysoko w swojej hierarchii „plemiennej”. Zapraszali mnie na swoje kolacje, których zapach rozchodził się po całym domu. Jeden obiecał polecić moje książki hinduskiemu wydawcy, ale jakoś ten dotąd się nie odezwał. Może jak usłyszy o „Księżstwie”, to sobie o mnie przypomni?

Kalkuta to ogromna aglomeracja - liczy 16 milionów ludzi, może nawet kilka milionów więcej, bo kto policzy wszystkich biedaków w slumsach? Codziennie z prowincji przybywają ich tutaj tysiące. Jeździłem riksą po brudnych ulicach i oglądałem

wspaniałe pałace, posągi i świątynie. I żałowałem, że tutaj nie mieszkam - dopiero miałbym co opisywać. Chociaż - pisarzy tutaj dostatek, miasto ma największą na świecie liczbę noblistów, nie będę ich wyręczał w zadaniach. Zostawię sobie Góry Świętokrzyskie, Polskę, to i tak dużo do opisywania.

Ostatnio polskie kino ma problem z własną tożsamością. Albo powielamy amerykańskie schematy, albo na siłę chcemy być oryginalni. Dlaczego tak wstydzimy się prawdy o własnym kraju, boimy filmów realistycznych? Świadczy o tym dobitnie kariera „Księżstwa”. W Gdyni nie znaleźliśmy się nawet w finałowej dwunastce. Co prawda, niewiele brakowało, żeby „Księżstwo” wygrało festiwal Nowe Horyzonty - do końca rywalizowało z filmem Sasnałów, ostatecznie poległo. I na tym koniec. Za to byliśmy w konkursie głównym w Karlowych Warach. Ci, którzy utracili nas w Gdyni, nie mogli się z tym pogodzić. Jakoś inne nacje nie mają kłopotów, by mówić o swoich problemach. Na przykład Martin Sulik pokazał biedę oraz kłopoty z asymilacją czeskich Cyganów w filmie „Cyganie”. I Czesi jakoś nie wstydzili się, że w Karlowych Warach obejrzy to cały świat. To z Czech wyruszyliśmy do Mill Valley, Montrealu, Tampere, Cottbus, Goa. Gdybym mógł, przedłużyłbym pobyt w Indiach, bo niespełna 2 tygodnie później mieliśmy premierę w Goa. Ale w Polsce czekało mnie wiele spotkań autorskich oraz pokaz „Księżstwa” 28 listopada w Kielcach, na którym szczególnie mi zależało. Przyjechał Andrzej Barański i przyszło mnóstwo ludzi. Trochę się tego obawiałem, ale film spotkał się z żywym przyjęciem, nie pozostawił nikogo obojętnym, a chyba o to między innymi chodzi.

Zawsze się zastanawiałem, czy moja twórczość wykroczy kiedyś poza polskie opłotki. Zaczęło się w 2010 roku, kiedy to w Ho Chi Minh ukazał się przekład mojej powieści „Niech żyje wolność” na wietnamski. Teraz przygotowany jest jej przekład na mongolski (pierwsza polska książka w tym języku). Książką zainteresowani są też Chińczycy po tym, jak w „Księżstwie” wystąpił zespół discopolowy „Bayer Full”, który robi w Chinach zawrotną karierę. Cieszy mnie, że coś, co zostało napisane jako aktualne rozliczenie z „panem, wójtem i plebanem”, traktowane jest jako dzieło uniwersalne. Mimo, że opowiada polską gorzką prawdę.

Zbigniew Masternak

Jakub Koisz

Pisarz i piłkarz znowu w Krasnobrodzie



Czarno-białe kadry bledną, napisy końcowe znikają, ktoś włącza światło, a na scenę wychodzi młody jeszcze, bo lekko po trzydziestce, mężczyzna o niepewnym uśmiechu, którego powieść „Księżstwo” posłużyła za materiał wyjściowy dla filmowej adaptacji. Pierwszy lutego, pora wieczorna. Mężczyzna pyta zgromadzonych w sali kinowej Krasnobrodzkiego Domu Kultury, czy film się podobał. Skromnie, bez poprzedzającej autoanalizy, rzucania filmoznawczym żargonem. To Zbigniew Masternak, mieszkający w Puławach prozaik, dramaturg, scenarzysta i piłkarz. Do Krasnobrodu pierwszy raz trafił w czerwcu ubiegłego roku, dzięki inicjatywie lokalnego aktywisty, Tomasza Pakuły, osoby, która literaturą interesuje się średnio, ale na pewno wie, co w sporcie piszczy. Pakuła wygooglował, napisał, zadzwonił i zaczęło się. Pisarz i piłkarz? Połączenie wydało się Pakule na tyle dziwne, że postanowił zaprosić go na spotkanie autorskie. Tak to się zaczęło i tak to trwa nadal - dziwacznie i coraz dziwaczniej.

Pomysł na klub BKS Roztocze zaintrygował Zbyszka. Był dla niego wystarczająco odważny i wystarczająco dziwny, aby wspomóc chłopaków (głównie z Krasnobrodu) swoimi nogami oraz pomocną dłońią. Całkiem silnymi nogami, należy dodać, Masternak przyjeżdżał więc latem do Krasnobrodu i pomógł wywalczyć tytuł Mistrza Polski w Piłce Błotnej. Dzisiejsza kariera piłkarska (Masternak trenował w OKS Opatów, Koronie Kielce, Motorze Lublin, Puławianku Puławy) jest może tylko echem młodzieńczych obsesji, lecz pisarz wraca do nożnej regularnie. Dzisiaj Masternak biega z krasnobrodzką młodzieżą po halach podczas rozgrywek lokalnych LZS-ów, wyczekuje kolejnego sezonu błotnej piłki nożnej, wspiera drużynę dobrą radą, a co najważniejsze - przyznaje się, że roztoczańskie okolice pokochał. Chętnie więc przyjeżdża do Krasnobrodu wraz z piękną żoną, Renią, nie trzeba go szczególnie prosić, a spotkanie w KDK traktuje jako obowiązek. Tyle niektórzy słyszeli o jego barwnym życiu i tych brudnych, peł-

nych literackiego „mięsa” powieściach, w znacznej części autobiograficznych, że w końcu należało pochwalić się ekranizacją najbardziej osobistego doświadczenia twórczego. Andrzej Barański, znany głównie z tworzenia filmów dokumentalnych, zmierzył się z książką i wyszło całkiem nieźle. Ci, którzy czytali powieść, mogli zobaczyć, jak sprawdza się ona na ekranie, a ci, którzy z „Księżstwem” mierzyli się pierwszy raz - mogli poznać Zbigniewa Masternaka lepiej. Ponadto film niedługo przeskoczy z dystrybucji festiwalowej do szerokiego, kinowego obiegu. Fabuła łączy epickość i prostotę. Droga, jaką przejść musi niespełniony sportowiec, nie jest spektakularną historią o przemianach i wielkich wyborach. Główny bohater „Księżstwa” nie traci nic ze swej ironicznej postawy, zarówno wtedy, gdy coś mu się udaje (rzadko), jak i wtedy, gdy zostaje zatrzymany za kradzież zupki chińskiej w czasie biednych lat studenckich. To wyrazność miejsc i grubą kreską zarysowane postacie sprawiają, że widz nie może oprzeć się wrażeniu, iż „Księżstwo” jest w dużej mierze autobiografią, a ta elegia o chłopaku w dresach, który rozerwany jest między chęcią ucieczki z zabitej dechami dziury a egzystencją wśród lokalnego, brutalnego kolorytu, brzmi autentycznie. Prawdziwie, z przekonaniem Masternak o tym filmie więc opowiada, wszak spędził z ekipą filmową nieco czasu (w filmie Barańskiego wpleciono nawet zgrabne *cameo*, pisarz pojawia się na chwilę jako piłkarz, który trenuje wraz z filmową wersją Zbyszka, graną przez młodego aktora Rafała Zawieruchę). Niejeden krasnobrodzianin może dostrzec w filmie kilka lusterek, które odbijają jakby znajome skądś charaktery i ludzkie postawy. Tak, to dobry i prawdziwy film, choć otwierający niejedną ranę, warto więc było posłuchać komentarza autorskiego i pogadać z Masternakiem na temat procesu twórczego. Rozmowa widowni z pisarzem nie mogła jednak trwać długo - już za chwilę, mimo późnej pory, Masternak kopnął piłkę nożną w hali krasnobrodzkiej szkoły. Zaproszono go na lokalne zawody, nie można było nie skorzystać...

Co będzie dalej? Masternak pisze kolejne książki, chce się skoncentrować na kolejnych etapach swojego życia, o których mało mówi, nawet przyjaciółom od błotnej piłki nożnej. I dobrze. Może za jakiś czas wróci na Roztocze, już z nową

ekranizacją swojej twórczości. A co, jeśli uważni widzowie z Krasnobrodu zobaczą w niej miejsca im znane i sytuacje, które pamiętają? Możliwe. Masternak to w końcu prawie krasnobrodzianin.

Jakub Koisz

Jakub Koisz, urodzony w 1986 roku. Ukończył polonistykę i kulturoznawstwo na UMCS w Lublinie. Od 2010 roku pracuje jako nauczyciel w gimnazjum. Publikował dotychczas w uczelnianych „Tekstach (Nie)kulturalnych”, „Nowej Fantastyce” i magazynach o sztuce komiksu. Gdy nie próbuje pisać, próbuje uczyć.

Artur Borzęcki

I książka, i film



Słuchacze krasnostawskiej filii Lubelskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku spotkali się 10 stycznia w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie ze Zbigniewem Masternakiem, prozaikiem, autorem scenariuszy filmowych oraz dramaturgiem. Przypomnieć należy, że była to już druga wizyta Masternaka w MBP, który gościł tutaj w kwietniu 2009 r. z okazji obchodów Światowego Dnia Książki i Praw Autorskich. Obecne spotkanie przebiegło pod hasłem „Książka czy film”, nawiasem mówiąc, taką frazę a dokładnie „... i proza, i film” wypowiada główny bohater w rozdziale „Remizowicz” powieści „Scyzoryk”. Zgodnie z hasłem spotkania, Masternak nie tylko opowiadał o początkach swojego pisarstwa, inspiracjach, podróżach, przerwanej przez kontuzję przygodzie z piłką nożną, tłumaczeniach powieści na języki obce (m.in. wietnamski i mongolski), ale też o adaptacji filmowej własnej prozy. Głównym punktem wizyty pisarza była prezentacja obszernego fragmentu filmu pt. „Księstwo”, którego scenariusz oparty został na autobiograficznych powieściach: „Chmurolap” (2006), „Niech żyje wolność” (2006) i „Scyzoryk” (2008). Reżyserem i autorem scenariusza „Księstwa” (2011) jest Andrzej Barański, główną

rolę zagrał kielczanin Rafał Zawierucha, również sam Masternak pojawił się na ekranie, wcielając się w rolę piłkarza na boisku. Film opowiada o losach Zbyszka Pasternaka pochodzącego ze wsi świętokrzyskiej, młodego człowieka, trapionego niepowodzeniami życiowymi, zawieszonego mentalnie między wsią a miastem. Ojciec, opowiadając małemu jeszcze chłopcu fantastyczne historie o pochodzeniu rodziny w prostej linii od potężnego księcia Wiślan, wpajał mu, że musi w przyszłości odbudować ich dawne księstwo. Mówił mu, że musi uczyć go latać jak najwyżej, bo jest orłem pośród kur, a chłopiec potem stwierdzi „... słuchałem go uważnie, nie zdając sobie sprawy, jakim piętnem mnie naznacza. Odtąd zawsze będę czuł się inny od swoich krajan. Lepszy?” Bohater ma zdolności



*Zbigniew Masternak w MBP w Krasnymstawie.
fot. MBP/Artur Borzęcki*

pisarskie, chciałby realizować swoją pasję w życiu, ale głównie ze względu na trudną sytuację rodzinną jest to dla niego bardzo ciężkie zadanie. Barański, czerpiąc z Masternaka, pokazał specyficzne życie polskiej głębokiej prowincji, nie stroniąc przy tym od groteski, ale i pewnej brutalności. Film nie bez powodu utrzymany w czarno-białej konwencji, jak przyznał sam Masternak, budzi kontrowersje. Zaprezentowany obszerny fragment, również sprowokował do dyskusji słuchaczy LUTW, którzy niemal jednomyślnie uznali, że obraz przedstawiony na ekranie nie jest rzeczywisty. Masternak, odwołując się do własnej biografii, ripostował, że to właśnie „Księstwo” pokazuje prawdę współczesnej polskiej wsi, a nie filmy z cyklu „U Pana Boga ...” czy oparty na włoskim formacie i zniekształcający obraz Sandomierza „Ojciec Mateusz”.

W połowie ubiegłego roku ukazało się nowe wydanie książek Masternaka wzbogacone o zdjęcia z planu filmowego - pt. „Księstwo. Trylogia młodzieńcza”. Aktualnie pisarz przygotowuje kolejne powieści z cyklu „Księstwo”, a pierwsza ma być opowieścią o współczesnej emigracji zarobkowej. Powstaje też kolejny film wg scenariusza Masternaka pt. „Transfer” reżyserowany przez Jacka Raginisa, opowiadający o korupcji w polskiej piłce nożnej.

W kontekście tegorocznego „Euro 2012” dodam jako ciekawostkę, że Zbigniew Masternak jest też kapitanem reprezentacji Polski pisarzy w piłce nożnej. Wiosną tego roku odbędą się w Krakowie i Charkowie Mistrzostwa Europy Pisarzy. Drużyna Masternaka, tuż po jego krasnostawskiej wizycie, zainaugurowała 14 stycznia przygotowania do tego czempionatu, meczem w Warszawie z dziennikarzami. Wynik znamy ...ale dla dobra literatury przemilczymy, dość powiedzieć, że gdyby zapytać pisarzy-piłkarzy o pechową liczbę, to pytani o to, mając mecz w pamięci, zapewne powiedzą, że „13”.

Artur Borzęcki

Leonard Górski

Południe

Na lewo
ponad dachami Città
biało-szara kopuła San Pietro

Na prawo pomnik Vittorio Emanuele II -
widoczni stąd jeźdźcy skrzydlaci w rydwanach
w białym marmurze z Botticino

Niżej
przysyłając pnie nadtybrzańskich platanów
już całkiem blisko
dom osieroconych
dzieci - po zamachu w asyryjsko-babilońskiej
synagodze



Pod stopami gorący taras w pelargoniach
jaszczurka na ścianie w winie
a na dole „cykające” taksówki
przywożące turystów do
Santa Maria in Trastevere

Od wzgórz Giannicolo oderwał się
obłok dymu i huk
armaty oznajmujący Urbi et Orbi:
południe!

Nad głową buczenie samolotu lecącego
na Północ

Puntino i Buncika - dwa psy
wygrzewają w słońcu sierść

Niech trwa
co jest
w żółtoniebieskim powietrzu
w zapachu bazaltowych uliczek zaułków
które się później
śnieją

Cmentarz w Pollone

Wybacz Pier Giorgio!
ale drucziana szczotka nie nadaje się
do czyszczenia wklęsłych liter w granicie
twojej nagrobnej płyty

Żal mi tej palmy którą
trzeba było ściąć w lewym rogu
(dla mnie to nie tylko egzotyczne drzewo)
ale jej korzenie przebijały się do
twojej urny
i jeszcze to że przesłaniała zbocze kwitnących
rododendronów. to moje pocieszenie drwała

Białe kamyczki pod stopami w alejkach
cmentarza w Pollone
a dalej w stronę Piemontskich Alp
zakryty mgłą Monte Mucrone
mówią że jeszcze nie pora abym pojął
twoje i jego milczenie

I opierając wzrok na wysmukłych tujach
i różach wspiętych na murze
w ogrodzie Willi Ametis,

czekałem na
twój znak jak
jaśniejący w słońcu Mucrone,
którego kochałeś

On
wskazywał Drogę
samotną
ku górze...

Miłosz

Niepojęta zgoda na wszystko
każda chwila szczęśliwa

Noc przejrzysta. przenika światłem
oczy ręce i nogi
i wzbiera w piersi okrzyk
dziękczynienia

Oto czas trwania
nic nie przemija
najmniejsze ziarno piasku
żdzębło przydeptanej trawy

Kropla która rozprysła się
w powietrzu wisi jak wisiąca
choć przeminięła - jest

Słowa na wiatr
rzucone raz - są
a nie bołą

Niepojęta zgoda
na wszystko
ból i radość utraciły granice -
są
i są



rys. R. Znajomski

Inka: „Ja jedna zginę”

Opowieść o niespełna osiemnastoletniej dziewczynie, która mimo brutalnych przesłuchań i poniżana przez oprawców z UB „zachowała się jak trzeba”.



Danuta Siedzikówna, młoda dziewczyna, której los nigdy nie rozpieszczał. Jej ojciec zmarł, gdy miała 14 lat, podczas służby w armii gen. Andersa. Niedługo po tym gestapo zamordowało jej matkę. Wstąpiła do AK. W 1945 roku została aresztowana przez NKWD-UB za współpracę z antykomunistycznym podziemiem. Na szczęście, podczas transportu została uwolniona przez wileński patrol AK, podkomendnych majora „Łupaszki”. Tym samym została zmuszona do ukrywania się z tymże oddziałem w lesie. Z racji, iż miała za sobą przeszkolenie medyczne, została sanitariuszką o konspiracyjnym pseudonimie „Inka”.

Podczas misji, w której pojechała do Gdańska po zaopatrzenie medyczne, została aresztowana przez Urząd Bezpieczeństwa. W bestialski sposób bita i poniżana, często nazywana „k... Łupaszki”, Inka nie dała się złamać. Wielokrotnie miała szansę uratować swoje życie i ograniczyć cierpienie. Wystarczyło wskazać miejsce stacjonowania oddziałów majora Łupaszki. Nie zrobiła tego. Mówiła: „Ja jedna zginę”.

Podczas procesu zarzucano młodej sanitariuszce strzelanie i wydawanie rozkazów egzekucji, co było zarzutem absurdalnym ze względu na pozycję i rolę, jaką odgrywała w AK. Zeznania świadków również były rozbieżne. Jedni twierdzili, że strzelała i rozkazywała, inni temu przeczyli. Pewien funkcjonariusz UB, ranny podczas jednego ze starć zeznał, że Inka udzieliła mu pierwszej pomocy.

Niestety, sąd skazał Danutę Siedzikówną na śmierć. Ostatnią deską ratunku była dla niej prośba o ulaskawienie. Inka jednak nie podpisała tego listu, gdyż żołnierze majora Łupaszki i on sam zostali w nim nazwani „bydłem”. Zamiast niej list podpisał jej obrońca. Niestety, prezydent nie skorzystał z prawa łaski. Tuż przed śmiercią udało się Ince przekazać gryps do innej więźniarki, w którym napisała: „Powiedzcie mojej babci, że zachowałam się jak trzeba”.



Według niektórych doniesień, mężczyźni z plutonu egzekucyjnego, dysponujący karabinami maszynowymi po 10 nabojów w każdym, nie trafili podczas egzekucji ani razu w Inkę. Prawdopodobnie żaden z nich nie miał serca uśmiercić tak młodej dziewczyny, licząc, że trafi któryś z jego kolegów. Ten przykry obowiązek musiał wypełnić dowódca plutonu.

Ks. Marian Prusak, przymusowy świadek egzekucji, opowiadał, że w ostatnich sekundach życia Inka wykrzyknęła: „Niech żyje Polska! Niech żyje Łupaszko!”. Egzekucja odbyła się 28 sierpnia 1946 roku.

Barbara Postawa

Inka

Danuta Siedzik (1928-1946)

To przecież nastolatka tylko.
Śmieszny kołnierzyk przy sukience.
Jeszcze bawiła się przed chwilą,
Włosy spinała tak naprędce.

A tu przysięga - słowa wielkie!
I ona przy nich całkiem tycia:
„W obliczu Boga walczyć będzie
Aż do ofiary swego życia”.

Już tatuś z mamą dali przykład
I czy jest wierna - patrzą z nieba.
Śmierć czasem to powinność zwykła,
Więc się zachowa, tak jak trzeba...

Jak to jest - zabić nastolatkę?
Blask zgasić w oczach, zamknąć usta?
Przerwać marzenia, co ukradkiem
Snuły się nawet w celi pustej?

Ktoś wydał wyrok i żył dalej.
Ktoś milczał - nie wydobył głosu.
Ktoś prawdy nie chce słuchać wcale.
Ktoś ma awersję do patosu...

Lecz to zdarzyło się pod słońcem!
Umarła pięknie jak natchniona!
Na krzyżu Chrystus konający
Otworzył Ince swe ramiona.

pisane nocą, 1 marca 2012 r.

Od 2011 roku, 1 marca został ustanowiony Narodowym Dniem Pamięci Żołnierzy Wyklętych.

Henryk Radej



Minuta ciszy po Wisławie Szymborskiej (1923 – 2012)

*Przechodniu, wyjmij z teczki mózg elektronowy
i nad losem Szymborskiej podumaj przez chwilę.*

(W. Szymborska, „Nagrobek”)

Kiedy umiera poeta, żałobę można wyrazić m.in. czytając jego wiersze. Mój jedyny zbiorek poezji Wisławy Szymborskiej stoi na półce od lat mocno przykurzony. Jest to „Wybór wierszy” wydany przez PIW w 1973 r. w ramach Biblioteki Literatury XXX-lecia, PRL-u oczywiście. Był moją chlubą w czasach licealnych. Jest w nim słynny wiersz „Minuta ciszy po Ludwice Wawrzyńskiej”, który wtedy znał każdy uczeń. Kończy się puentą: *Tyle wiemy o sobie,/ ile nas sprawdzono./ Mówię to wam/ ze swego nieznanego serca*. Zafascynował mnie do tego stopnia, że fragment ten stał się mottem jednego z moich wierszy w debiutanckim tomiku z 1983 roku. Niestety, inny wiersz poetki – „Gawęda o miłości ziemi ojczystej” ze słowami: *Bez tej miłości można żyć/ mieć serce puste jak orzeszek/ malutki los naparstkiem pić/ z dala od zgryzoł i pocieszeń*, powtarzany do upadłego na szkolnych akademiach i patriotycznych konkursach recytatorskich spowodował z czasem moją awersję do twórczości W. Szymborskiej, osłabioną nieco jej literackim Noblem w 1996 roku. Wtedy zauważyłem, że poetka ma wiele dobrych wierszy, które nadal na mnie nie działały. Ich wymowa i mądrości trąciły staroświeckością, czasem banałem i nie były odkrywcze, choć warsztatowo świetnie napisane. Natomiast, podobały mi się ironia oraz humor, za pomocą których poetka skutecznie dystansowała się od patosu i szarości życia.

Po II wojnie światowej Szymborska (co wiele osób ma jej za złe) była związana z krakowskim środowiskiem twórców akceptujących narzucony Polsce ustrój socjalistyczny. Różne opracowania twórczości Wisławy Szymborskiej zgodnie głoszą, że jej prasowym debiutem poetyckim jest wiersz

„Szukam słowa” opublikowany w 1945 r. w „Walcie” – dodatku literackim do „Dziennika Polskiego”. Do 1966 roku należała do PZPR, a do końca życia – do Związku Literatów Polskich. Jej debiut książkowy to zbiorek „Dlatego żyjemy” (1952), który spełniał ówczesne kryteria sztuki socrealistycznej i zawierał m.in. takie wiersze: „Na powitanie budowy socjalistycznego miasta”, „Lenin”, „Robotnik nasz mówi o imperialistach”. Podobne wiersze, m.in. „Ten dzień” (na śmierć Stalina) i „Wstępującemu do partii” zamieści autorka jeszcze w drugim tomiku pt. „Pytania zadawane sobie” z 1954 roku. Ale na takie tematy i w jednym duchu pisali wtedy wszyscy. No, prawie wszyscy – z chlubnymi wyjątkami za cenę wykluczenia z obiegu literackiego.

Szymborska nie miała też szczęścia do podpisywania swoim nazwiskiem publicznych petycji i listów o zabarwieniu politycznym. W 1953 roku literaci ogłosili „Rezolucję Związku Literatów Polskich w Krakowie w sprawie procesu krakowskiego” kilkunastu księży katolickich. Trzeba było wykazać się nie lada naiwnością, by uwierzyć, że w kurii krakowskiej działa amerykański wywiad. Moralnej postawy sygnatariuszy rezolucji nie osłabia fakt, że Stalin umarł miesiąc później i wyroków śmierci nie zdążono wykonać. W 1966 roku Szymborska podpisała jeszcze apel potępiający szkodliwą działalność Radia Wolna Europa. Na szczęście, w 1975 roku jej podpis znalazł się także pod protestacyjnym listem 59., w którym czołowi polscy intelektualiści protestowali przeciwko zmianom w konstytucji PRL, wprowadzającym zapis o kierowniczej roli PZPR i wiecznym sojuszu z ZSRR.

Do tych faktów Szymborska odniosła się dopiero w 1991 roku, gdy przyznano jej prestiżową niemiecką nagrodę im. Goethego. Mówiła: (...) *często między świat i postęp wciska się jakaś teoria, jakaś ideologia, obiecująca wszystko posegregować i objaśnić. Są u nas pisarze, którzy oparli się tej pokusie i woleli zawierzyć własnemu instynktowi i sumieniu niż wszelkim pośrednikom. Ja tej pokusie, niestety uległam, o czym świadczą dwa pierwsze zbiorki*. Niebawem w „Tygodniku Literackim” dodała: *Wypełniałam swoje wierszowane zadania z przekonaniem, że robię dobrze. Było to najgorsze doświadczenie w moim życiu*.

Prawie w tym samym czasie, kiedy niektórzy czytelnicy zachwycali się jeszcze jej wzruszają-

cym, okrutnym i smutnym „Kotem w pustym mieszkaniu” z tomu „Koniec i początek” (1993) wydarzyła się „tragedia sztokholmska”, jak o literackiej Nagrodzie Nobla (1996) mówiła sama Szymborska. W uzasadnieniu werdyktu członkowie Szwedzkiej Akademii napisali, że nagrodę przyznano za *poezję, która z ironiczną precyzją odślania prawa biologii i działania historii we fragmentach ludzkiej rzeczywistości*. Poetka, osoba słynąca ze skromności i niechęci do udzielania wywiadów, zaskoczona i oszołomiona wiadomością o takim wyróżnieniu podobno powiedziała dziennikarzom, że najbardziej obawia się tego, że teraz będzie musiała być osobą... publiczną. I tak też się stało, choć noblistka skutecznie wymykała się wszelkim wścibskim pismakom, łasym na jej szczegóły z bogatego życiorysu - nie tylko literackiego. W porządkowaniu spraw literackich do ostatnich dni (a także po jej śmierci) służył jej pomocą osobisty sekretarz, poeta Michał Rusinek.

Wisława Szymborska była aktywna poetycko prawie do końca życia. Dość długo udawało się jej nawet potencjalnie banalne tezy podawać w sposób zaskakujący i świeży poetycko. Niestety, po którymś kolejnym takim samym wierszu, umiejętność tę utraciła. W tomikach „Chwila” (2002) i „Dwukropek” (2005) zaczęło się robić nieciekawie, jakby z Szymborskiej uszło poetyckie natchnienie i zostały tylko wypracowane przez nią same szablony. Ostatni tomik „Tutaj” (2009) jest potwierdzeniem tej schyłkowej tendencji. Świetna kiedyś poetka powtarzała już swoje stare koncepty, tylko - jak to z powtórkami bywa - gorzej i banalnie.

Była przede wszystkim poetyckim badaczem chwili, która ocala ze szczegółami teraźniejszości. Być może właśnie dlatego odrzucała dziedzictwo dawnej poezji, rezygnowała z apeli i powinowactwa poetów z pieśniarzami. Prywatnie Szymborska lubiła przebywać z ludźmi, którzy - tak jak ona - potrafili oddać się literackiej zabawie. Znakomicie uchwycili to autorzy dokumentalnego filmu z jej udziałem „Chwilami życie bywa znośne” (2010), w którym bohaterka, podróżując po Europie, układa pikantne limeriki, spija kufle piwa, paląc przy tym namiętne papierosy. Potrafiła żartować także z własnej osoby, czego ewidentnym przykładem jest wiersz „Nagrobek”, napisany w formie przewrotnego epitafium dla samej siebie.

Zawsze odrzucała próby czynienia ze swej biografii klucza do swojej poezji. Jednak z ową dyskrecją w obchodzeniu się z „okolicznościami zewnętrznymi”, kłóciła się jej równie zdecydowana chęć, by jako autorka być wyraźnie obecną w swoich wierszach - nie tylko jako „liryczne ja”, lecz również ta, która pisze. Ach, te kobiety!

Wisława Szymborska zmarła 1 lutego 2012 roku. Urna z jej prochami została złożona w grobowcu rodzinnym na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie, z zachowaniem świeckiej celebry, tak jak sobie tego życzyła. Zgodnie z jej ostatnią wolą, na bazie dóbr materialnych jakie zostawiła, zostanie powołana fundacja, która zajmie się m.in. przyznawaniem nagród literackich - w tym nagrody jej imienia. Niejako spełnią się słowa z wiersza o Ludwice Wawrzyńskiej przywołanego na początku tego szkicu: *Minuta ciszy po umarłych/ czasem do późnej nocy trwa*. Czas pokaże, w jaki sposób i jak długo wspominać będziemy Szymborską i jej wiersze.

Henryk Radej

Henryk Radej

na śmierć poety

kiedy poeta umiera
czyni to zawsze w nieestosownej porze
w pół wiersza w pół słowa
w półśnie odchodzi
niepogodzony

wtedy biegnie przez świat
elektryczna iskra
każe odmieniać przebudzonym
przez wszystkie przypadki życiowe
jego nazwisko powtarzać strofy
dawno zapomniane

kiedy umiera poeta
w to miejsce rodzi się nowy
zarodki metafor drżą o poranek
jak krople rosy na pajęczynie
z nich kiedyś uzbiera się rzeka

Wisława Szymborska

Portret kobiety

Musi być do wyboru,
Zmieniać się, żeby tylko nic się nie zmieniło.
To łatwe, niemożliwe, trudne, warte próby.
Oczy ma, jeśli trzeba, raz modre, raz szare,
Czarne, wesołe, bez powodu pełne łez.
Śpi z nim jak pierwsza z brzegu, jedyna na świecie.
Urodzi mu czworo dzieci, żadnych dzieci, jedno.
Naiwna, ale najlepiej doradzi.
Słaba, ale udźwignie.
Nie ma głowy na karku, to będzie ją miała.
Czyta Jaspiera i pisma kobiece.
Nie wie po co ta śrubka i zbuduje most.
Młoda, jak zwykle młoda, ciągle jeszcze młoda.
Trzyma w rękach wróbelka ze złamanym skrzydłem,
własne pieniądze na podróż daleką i długą,
tasak do mięsa, kompres i kieliszek czystej.
Dokąd tak biegnie, czy nie jest zmęczona.
Ależ nie, tylko trochę, bardzo, nic nie szkodzi.
Albo go kocha albo się uparła.
Na dobre, na niedobre i na litość boską.

(Z tomu „Wielka liczba”, 1976)

Zdumienie

Czemu w znaną jedną osobie?
Tej a nie innej? I co tu robię?
W dzień co jest wtorkiem? W domu nie gnieździe?
W skórze nie łusce? Z twarzą nie liściem?
Dlaczego tylko raz osobiście?
Właśnie na ziemi? Przy małej gwieździe?
Po tylu erach nieobecności?
Za wszystkie czasy i wszystkie glony?
Za jamochłony i nieboskłony?
Akurat teraz? Do krwi i kości?
Sama u siebie z sobą? Czemu
nie obok ani sto mil stąd,
nie wczoraj, ani sto lat temu
siedzę i patrzę w ciemny kąt
- tak jak z wzniesionym nagle łbem
patrzy warczące zwane psem?

(Z tomu „Wszelki wypadek”, 1972)



nys. Tadeusz Kiciński

Niektórzy lubią poezję

Niektórzy -
czyli nie wszyscy.
Nawet nie większość wszystkich ale mniejszość.
Nie licząc szkół, gdzie się musi,
i samych poetów,
będzie tych osób chyba dwie na tysiąc.

Lubią -
ale lubi się także rosół z makaronem,
lubi się komplementy i kolor niebieski,
lubi się stary szalik,
lubi się stawiać na swoim
lubi się głaskać psa.

Poezję -
tylko co to takiego poezja.
Niejedna chwiejna odpowiedź
na to pytanie już padła.
A ja nie wiem i nie wiem i trzymam się tego
jak zbawiennej poręczy.

(Z tomu „Koniec i początek”, 1993)

Nagrobek

Tu leży staroświecka jak przecinek
autorka paru wierszy. Wieczny odpoczynek
raczyła dać jej ziemia, pomimo że trup
nie należał do żadnej z literackich grup.
Ale też nic lepszego nie ma na mogile
oprócz tej rymowanki, łopianu i sowy.
Przechodniu, wyjmij z teczki mózg elektronowy
i nad losem Szymborskiej podumaj przez chwilę.

(Z tomu „Sól”, 1962)

Zbigniew Masternak



mojej maszynie do pisania

ternation



Maszynę do pisania kupiła mi matka, gdy miałem 14 lat - wzięła wypłatę za mleko i przytargała na plecach z Ostrowca Świętokrzyskiego ciężkiego „Łuczniaka”. Zamierzałem na niej przepisywać napisane w opasłych brulionach dwie książki: „Indiańską” powieść „Złamana Strzała” (o wojowniku z plemienia Sauków) oraz przewodnik encyklopedyczny „Historia i kultura ludów Ameryki Północnej”. Ostatecznie, mimo sympatii dla Indian, uznałem oba dzieła za słabe i ich grube bruliony przez długi czas służyły mojej matce za podpałkę pod piecem. Przez jakieś dwa lata maszyna stała bezużytecznie. Niespodziewanie w drugiej klasie ogólniaka zacząłem na niej pisać wiersze. To trwało do matury. Dzięki pomocy finansowej dyrektora mojego liceum, wydałem nawet dwa tomiki poezji pod tym samym tytułem „Mroczny krajobraz”, do których się obecnie nie przyznaję. Pierwsza edycja (1996) tak mi się nie spodobała, że zakopałem kilkaset egzemplarzy w ogrodzie (pociąwszy je wcześniej łopatą) i zasiałem na tym kwiatki. Polecam taki krok wszystkim początkującym poetom, po czymś takim można poważnie przemyśleć swoją przyszłą drogę twórczą. Drugie wydanie (1997) zostało kompletnie zmienione, ale także mnie nie usatysfakcjonowało, więc mimo kilku niezłych recenzji, oddałem zbiorki dyrektorowi szkoły; sprzedawał je potem jako cegielki na rozbudowę naszej placówki. Podobno całkiem dobrze się rozchodziły, ale ten poetycki etap w swoim życiu oceniłem bardzo krytycznie w powieści „Niech żyje wolność”.

Wydawało się, że pieniądze za mleko matka wyrzuciła w świętokrzyskie błoto. Jednak do pisania na maszynie wróciłem na pierwszym roku studiów prawnych, właśnie podczas pracy nad powieścią „Niech żyje wolność”. Zanim została wydana, przepisałem ją w całości sześciokrotnie, a niektóre rozdziały-opowiadania nawet dwudziestokrotnie! To trzaskanie w klawisze tak mnie wciągnęło, że przez cały drugi semestr nie zająrzałem na wydział. Profesor od prawa rzymskiego zadał mi na egzaminie komisyjnym jakieś proste pytanie, a ja powiedziałem „Pisz pan tę dwójkę szybciej do indeksu, bo mam świetny pomysł

na opowiadanie”. Popatrzył na mnie jak na idiotę i wpisał dwójkę, a ja pobiegłem na stację, siadłem do maszyny i napisałem tytułowe opowiadanie z mojej debiutanckiej książki. Wyrzucili mnie z prawa z hukiem. Z „Chmurolapem” i „Scyzorykiem” było podobnie; książki zostały przepisane 5-krotnie. Zawałem z tego powodu studia polonistyczne we Wrocławiu. W dodatku usłyszałem od pani dziekan, że filologia polska to nie jest szkoła dla początkujących pisarzy, co mnie przybiło do tego stopnia, że rozważyłem studia na wrocławskiej AWF. Zamiast tego wyjechałem do Francji. Na maszynie sporządziłem w 2005 roku trzy pierwsze redakcje księgi czwartej i piątej cyklu „Księstwo”, o Polakach we Francji, które chcę wydać w 2012 roku. Pisząc je, niczego nie zawałem, bo już nic do zawalenia nie było. Niestety, od końca 2005 roku maszyna zaczęła się systematycznie psuć. Najpierw zrobiło się coś z „kołowrotkiem”, który przewija taśmę, potem urwała się literka „B”, wreszcie zaciął się wałek przewijający kartki. Raz specja do jej naprawy znalazłem w Lublinie, raz w Kielcach, raz w Krakowie. Wszyscy już się tym nie zajmują; wymarli jak przedstawiciele jakiegoś rzadkiego gatunku. Gdy pod koniec 2006 roku maszyna zepsuła się ponownie, już nie miał jej kto naprawić. Odstawiłem ją do kąta jako relikw z innej epoki i zdecydowałem się na kupno laptopa. Zwłaszcza, że urodził mi się syn i nie mogłem w domu hałasować. Na początku 2007 roku napisałem na laptopie pierwszą wersję scenariusza filmowego „Jezus na prezydentali”. I co? Niestety, chyba nie jest to mój najlepszy tekst. Kiedy w połowie 2010 roku przerobiłem scenariusz na nowelę filmową i wydałem w „Ha!arcie”, recenzje były druzgocące, jedyna dobra ukazała się w „NIE”. Powód? Pierwsza wersja tekstu wyszła zbyt pięknie. Gdy pisałem na maszynie, nieraz musiałem przepisać całą książkę, żeby poprawić jeden akapit. Przepisanie 10 stron zajmowało mi zwykle cały dzień, może dlatego, że potrafię pisać tylko dwoma palcami, po jednym u każdej ręki. To była ciężka fizycznie robota. Aż zaczęły mi się robić zwyrodnienia nadgarstków od trzaskania w klawisze. Niekiedy w ogóle nie mogłem z tego powodu pisać. Ten morderczy wysiłek był jednak konieczny. Dokonując kolejnej redakcji, przerabiałem gruntownie całe partie książek.

Bardzo lubiłem pisać na odwrócie zapisanych wcześniej kartek. Zwłaszcza, jeżeli były to wezwania sądowe, listy komornicze, niezapłacone rachunki.

O tak, do pisania na nich miałem szczególną motywację. Znajdowałem też potem chęć, żeby to jeszcze raz przepisać i zniszczyć wreszcie nieudolną pierwszą wersję wraz z wypocinami wszelkiej maści urzędasów. Miałem wrażenie, że dzięki temu dokonuję podwójnej korekty; i tej stricte pisarskiej, i tej życiowej. A co się stało z moją maszyną do pisania? Zbyt wiele ważnych wspomnień się z nią wiązało, żeby ją bezceremonialnie wyrzucić na śmietnik. Pamiętam, jak woziłem ją autostopem na plecach z Wrocławia do Kielc i z powrotem i nie miałem już siły jej nieść. Siedziałem czasem razem z nią w przydrożnym rowie i była moją jedyną towarzyszką podróży. Była także jednym z nielicznych mebli w ponurej suterenie, którą wynajmowałem przy ulicy Zana w Lublinie. Jej stukot wypełniał całą kamienicę, aż w końcu jej właściciele kazali mi się stamtąd wynieść. We Lwowie, w wakacje 2001 roku użyłem jej jako narzędzia walki - rzuciłem nią w pewnego Ukraińca, zazdrosnego o swoją dziewczynę. No i jest jedyną pamiątką po mojej zmarłej w 2005 roku matce. Gdyby nie kupiła mi tej maszyny za krowie mleko, nie byłoby mnie jako pisarza. Maszynę trzymam pod moim biurkiem, na którym zwykle stawiam laptop. Kiedy mój syn miał siedem-osiem miesięcy, i już próbował chodzić, zaczął się nią bawić, uderzając rączkami w klawisze. Teraz Wiktor ma cztery latka i, jak wstanie rano, idzie na niej trochę „popisować”. Przestraszyłem się nawet, że zostanie pisarzem! Zacząłem go wypędzać na boisko, na bieżnię. Na boisku radzi sobie bardzo przyzwoicie; już teraz zna tricki, które ja opanowałem, będąc dużo starszym. Na bieżni też jest niezły; podczas czerwcowego XIX Biegu Solidarności w Lublinie zajął drugie miejsce w biegu na 150 metrów, kategoria „Bobasy”. Pogratulowałem mu sukcesu, gdy stał na pudle, a on na to: „Tato, przecież to była dla mnie bułka z szynką”. Pewność siebie, którą ja osiągnąłem koło trzydziestki. Ale czy pewność siebie w przypadku pisarzy w ogóle jest możliwa?

Niedawno Wiktor przeprowadził na mojej starej maszynie do pisania eksperyment. Postawił ją na środku mojego gabinetu i nasikał do środka. Chciał sprawdzić, czy to nocnik. Wystraszyłem się, że to symboliczny kres mojego pisania. Może jednak ktoś będzie potrafił ją naprawić?

Zbigniew Masternak

Ada Kulig

Camino Soria - na krańcu Europy (fragmenty dziennika)



Teraz wydaje mi się to zupełnie niemożliwe, mimo że migoce we mnie jeszcze mała isierka tego, co się wydarzyło. Jeszcze gdzieś tam w głowie płacze się piosenka „Camino Soria”, której fałszowane dźwięki czasem wymykają się między strunami głosowymi. Może i śpiewanie nie wychodzi mi dobrze, ale stwarza obraz ostatniej nocy w kastyljskim miasteczku, Sorii. Tamtej nocy pewna dziewczyna śpiewała pieśń o pamięci, która mówiła o tym, że pamięć jest najważniejsza. Nigdy was nie zapomnę - bo pamięć jest najważniejsza.

Tego wszystkiego nie byłoby, gdyby nie ministerstwo edukacji Hiszpanii. Jak co roku, zebrało najlepszych uczniów sekcji hiszpańskich i zorganizowało dla nich podróż do swojego kraju. Zakupiło bilety, zapłaciło za noclegi i wyżywienie, zapewniło atrakcje. Mieliśmy spędzić czas z Bułgarami i Czechami uczącymi się języka hiszpańskiego.

6 lipca

Moja opowieść rozpoczyna się o piątej rano. Pewnie gdyby to był normalny poranek, obudziłabym się o dziesiątej, przysiadła przy komputerze i tak spędziła cały dzień, podobnie jak resztę wakacji. Jednak historia ta zaczyna się od przerażającego, o tak nielitościwej godzinie, dźwięku budzika wzywającego do wczesnej pobudki. Odgarnęłam rudą grzywkę i zrezygnowana, ale szczęśliwa na myśl o zbliżającej się podróży, ziewnęłam rozciągając kark. Czekala mnie długa podróż. Najpierw około trzech godzin do Londynu, później sześć godzin na lotnisku i kolejne dwie godziny do Madrytu, po czym droga do Sorii.

Dotarliśmy na miejsce o trzeciej nad ranem. Było zupełnie ciemno. Dawno ucihły gwary rozmów mieszkańców i głośna muzyka w niedalekich barach na Plaza Mayor. Wokół unosił się zapach nocy - wilgotny, przyjemny i tajemniczy, mieszał się z atramentowym niebem, złotą powłoką światła latarni. Ciepło bocznej uliczki przyciemniało nas

w opiekuńcze skrzydła, gdy przemierzaliśmy kostki chodnikowe z turkotem walizek.

Przywitało nas dwóch mężczyzn. Na ich twarzach, mimo późnej pory, widniał uśmiech. Zapraszając nas gościnnie, przedstawili się. Pierwszy - typowy Hiszpan o ciemnej karnacji, kruczoczarnych włosach i baczkach przypominał postać z serialu „Zorro”, dlatego zdziwiliśmy się, że nazywa się Vladimir - to imię kojarzyło nam się z rosyjskim premierem, a Vladi nie wyglądał, jak by pochodził ze Wschodu. Wyższy nosił imię całkowicie hiszpańskie. Miguel jaśniał przyjaznym uśmiechem, zachęcając do podążania za nim. Dotarliśmy do holu Residencia Juvenil. Podali nam spóźnioną kolację, rozdali klucze i obwieścili porę pobudki. Pierwszą noc miałam spędzić w pokoju z Anią, z którą rozprawialiśmy nad poszczególnymi etapami podróży aż do piątej.

7 lipca

Obudziliśmy się przed ósmą, ciekawe pierwszego dnia. Po posiłku, przemierzając uliczki, dotarliśmy do Plaza Mayor, gdzie w pobliskim ratuszu mieliśmy zostać przywitani przez najważniejsze osoby w mieście. Weszliśmy do dużej sali. Panowała w niej wzniosła atmosfera, potęgowana przez ściany w kolorze czerwonego wina i wielki portret króla oświetlony gronami świateł. Z portretu bił blask dostojności i wielkości władcy. Przez okna dochodził gwar przechodniów, plusk wody w fontannie z kamiennymi lwami, śpiew ptaków, muzyka ze sklepu - słodki aromat poranka. Z kościoła Virgen del Espino - patronki miasta - zabrzmiały dzwony. Romańska świątynia przycupnęła na jednym z placów pokrytych kępkami lawendy, gdzieś dalej wznosił się gmach szkoły Antonio Machado. Plac błyszczał w pełnym świetle, oprószony skąpym cieniem nielicznych drzew. Duero wmieściło w swój nurt promienie lipcowego słońca.

Na przedmieściach Sorii, wśród tych malowniczych pagórków, którymi usiana jest cała Iberia, kryją się tajemnicze ruiny. Jasne, kamienne bloki łączą się w łuki, tworząc kontrast z ciemnozieloną trawą. Z nich wyrasta romańska świątynia spowita atmosferą tajemniczości.

- Był tu kiedyś klasztor, widzicie te rzeźby? - spytał przyciszonym głosem Vladi - one objaśniały historie z Biblii, kiedy jeszcze prości ludzie nie

potrafiли czytać - tu wskazał na smoka i rzędy aniołów z mieczami. - Kiedy pewnego razu król chciał przejąć jego ziemie, waleczni zakonnicy nie chcieli się poddać. Na pobliskim stoku rozegrała się bitwa. Ofiar było tak dużo, że postanowiono pogrzebać je wszystkie na tej górze - pokazał dłonią na wzniesienie Monte de las Ánimas - do tej pory miejscowi opowiadają o dziwnej aurze tego miejsca. Podobno w nocy widać tajemnicze światła, słysząc jęki i brzęk oręża. Mówią, że duchy krążą tu po nocach w poszukiwaniu swoich ciał.

W tym momencie zerwał się niespodziewany wiatr. Monte de las Ánimas zajaśniała złowrogim blaskiem na tle klarownego, błękitnego nieba.

- Chodźmy już - powiedział Noel, kolejny opiekun, przyglądając dłonią swoje brązowe loki - mówią, że to miejsce jest pod wpływem paranormalnych mocy.

8 lipca

Kolejny dzień nie zaczął się już tak leniwie jak poprzedni.

Po skończonym posiłku wyruszyliśmy do Czarnej Laguny. Szliśmy asfaltową drogą podobną do tej w polskich Tatrach, która prowadzi do Morskiego Oka, by po kilku minutach trafić na miejsce. Przed nami rozciągała się srebrzysta tafla jeziora otoczonego tępych szczytami gór. Rudobrzęde wierzchołki stykały się z błękitem bezchmurnego nieba. Lekki wiatr muskał jezioro, tworząc pobłyskujące fale. Cień drzew zapraszał nas do skorzystania z jego chłodu po wędrowce. Usiedliśmy na skałach porośniętych rzadko trawami i krzaczkami jagód. Jeden z opiekunów wyciągnął wysłużoną gitarę, pobrzękując uparcie kilka taktów. Wtórował mu na flecie wysoki i chudy nauczyciel Bułgarów - Krasimir, przenosząc nas w ten sposób w atmosferę sielanki i spokoju. Tak minęły nam dwie godziny czasu wolnego. W przerwach od rozmów i pstrykania zdjęć, opiekunowie zachęcali nas do zabawy, a Vladimir wraz z Irene kibicowali naszym poczynaniom. W końcu jednak musieliśmy opuścić to miejsce.

Po kolacji ruszyliśmy w miasto. Wokół krążyły samochody, świeciły uliczne latarnie, roznosił się gwar, pokrzykiwanie, muzyka i szum. Migoczące światła wystaw wprowadzały nas w nastrój nocnego życia. Powoli wkraczaliśmy w magiczny

świat Hiszpanii takiej, jaką pokazują w programach podróżniczych - rozśpiewanej, rozrywkowej, krążącej w rytmie głośniejszej muzyki. Szliśmy wspólnie na Plaza Mayor - tu biło serce miasta. Melodie wydychane przez otwarte drzwi knajpek, zapach frytek i tapas, tace kelnerów tańczących między klientami, bruk jaśniejący blaskiem latarni, rozmowy, szepty i pobrzękiwanie szklanek, to wszystko tworzyło swoisty nastrój.



Wraz z Weroniką i Angeliką, koleżankami z grupy, krążyliśmy między uliczkami Starego Miasta w poszukiwaniu jakiejś kafejki, w której mogłybyśmy spędzić wieczór. W końcu trafiłyśmy na cukiernię na rogu ulicy. Nieśmiało weszliśmy do środka. Podłoga pokryta była serwetkami, okruchami i klejącą warstwą resztek jedzenia. W tym śródziemnomorskim kraju, im lepsze jedzenie w restauracji, tym więcej w niej klientów, a tym samym - śmieci. Wiedziałam na co mam ochotę - flan, to było to. Z niecierpliwością czekałam, aż dostanę ten tradycyjny deser. Dokładnie pamiętam specyficzny smak: jajka, karmelu i bitej śmietany. Wróciwszy do akademika, jeszcze długo rozmawialiśmy z Weroniką o wydarzeniach tego dnia.

9 lipca

Noc była krótka. Obudziliśmy się nieco wcześniej niż wczoraj. Po posiłku wyruszyliśmy na szlak. Trafiłszy najpierw na polanę u podnóża góry.

- Dzisiaj zobaczycie miejsce, w którym hoduje się byki na corridę - poinformował Vladi. - Są tu też jaskinie z malowidłami, może nie takimi jak w Altamirze, ale warto zobaczenia.

Wędrowaliśmy przez szlaki ciągnące się między trawami. Ogrzana ziemia dudniła pod krokami

grupy, a wypłoszone motyle krążyły nad naszymi głowami. Wiatr plątał złote kłosa i mieszał je z zielonymi źdźbłami. Gdzieś w dali zaświergotał skowronek, czasem wzbijał się w niebo większy drapieżnik - myśzołów lub jastrząb. W końcu dotarliśmy do zagród.

- Widzicie ten plac? Stąd pędzi się byki, przez łąki aż do Sorii, na wielką corridę. Po niej trwa wielka uczta i fiesta. Wpływowe rody przeznaczają mięso jednego byka na ucztę dla najuboższych. Ten rytuał wywodzi się jeszcze ze starożytności.

Na zboczach zamglonych gór pasły się stada rogatych byków, takich jakie widnieją na wielu pocztówkach z hiszpańskich miasteczek. Gdy przechodziliśmy obok, któryś z nich leniwie przerwał posiłek, przyglądając się nam badawczo.

Doszliśmy do budynku, z którego unosił się wyraźny zapach ryżu i owoców morza. Ciekawi weszliśmy do środka. Była to dość duża, pusta sala, a obok niej znajdowała się kuchnia. To właśnie ona była źródłem zapachów. Na środku stało wielkie naczynie podobne do patelni, a w nim błyszczał jaskrawożółty ryż, między którym co chwila pobłyskiwały muszle małży, różowe krewetki i kawałki warzyw. Wiedziałam, że to musi być aromat paelli - typowego hiszpańskiego dania.

Po posiłku mogliśmy zrelaksować się na zewnątrz. Leżąc na trawie, beztrudnie wygrzewaliśmy się w słońcu, słuchając muzyki, śmiejąc się, odsypiając nocne rozmowy. W oddali majaczyły wierzchołki gór, których kontury ledwo rysowały się w chmurach. Lekkie fale ciemnozielonej trawy kroili horyzont w różnorodne kształty. Nieco bliżej tłoczyły się ciemne punkty pasącego się bydła. Białe chmury sunęły nad naszymi głowami, tworząc cienie na stokach. Wiatr cicho pieścił połacie traw i ziół.

Nagle pojawił się Noel i Vladi trzymający w ręku wysłużoną gitarę. Na jej matowym lakierze widniały ślady długowieczności. Gdzieś tam przetarta, zarysowana, pęknięta, sprawiała wrażenie świadka wielu wspaniałych chwil spędzonych na górskich polanach przy ciepłym ognisku. W ciszy zabręczała pierwsza struna. Wydobył się ciepły dźwięk, który rozniósł się niesiony z wiatrem po polanie. Rytmiczne uderzanie przeniosło nas do świata dźwięków i znów powstała ta niezwykła siła muzyki spajająca wszystkich w jedną rodzinę. Vladi zaczął układać palce w płataninie akordów, brać dźwięki garściami. W pewnym momencie zaczął delikatnie

potrącać każdą strunę z osobna, dając każdemu brzmieniu łagodność i gładkość. „Caminante, son tus huellas...” - Noel zaczął donośnym głosem recytację wiersza o drodze, którą tworzy każdy człowiek, wędrując przez życie własną ścieżką, której nigdy więcej się już nie pokona.

10 lipca

Spotkałyśmy się z Angeliką przed drzwiami pokoju. Ja, jak zwykle, w pośpiechu domykałam torbę, zastanawiając się czy wzięłam wszystko. Dzisiaj zwiedzamy Sorię!

Mijaliśmy kolejne uliczki z przewodnikiem, który opowiadał o portalu romańskiego kościoła Santo Domingo, przedstawiającym sceny z Biblii. W środku świątyni panował mrok i cisza. Przez kolorowe witraże z figurami świętych, przedostawały się promienie słońca Kastylii. Kamienne, masywne kolumny emanowały przyjemnym chłodem.

Gdy wyszliśmy, objął nas na nowo słoneczny blask dnia. Zapach lawendy opływał rozgrzane powietrze. Miałam nadzieję, że hiszpańskie słońce chociaż trochę przypiecze mi skórę, która dalej pozostawała w swoim naturalnym, bladym odcieniu.

11 lipca

Po śniadaniu i podróży autokarem, dotarliśmy do celu, malowniczego miasteczka Calatañazor, rozciągającego się na wzgórzu. Brukowane uliczki spalone słońcem pokryte były kurzem. Jasne, średniowieczne kamienice oblepiały ściśle zbocza. Główna ulica biegła w górę, a po obu jej stronach wznosiły się budynki z kamienia i drewna. W ich podcieniach kryły się sklepiki z pamiątkami, kramy z tradycyjną żywnością i ławki tłumnie oblegane przez miejscowych staruszków, którzy energicznie gestykulując, dyskutowali zawzięcie o polityce. Przy nich wylegiwały się psy, nerwowo potrząsające głowami w obronie przed natrętnymi muchami, a opodal łąsiły się na słonecznych murkach koty, mrużące leniwie oczy. Kierując się główną drogą, minęliśmy dwa place - pierwszy, sławiący poetę, który opisał miasteczko w swym poemacie, drugi - pełniący funkcję forum, centralny punkt miasta. Miejsce to porośnięte było kępkami wydeptanej trawy, a opodal słychać było szum wody spływającej z pysków lwów

przy fontannie. Na placu stał też wysoki pręgierz, który w złocistym słońcu nie przerażał swoją mroczną historią. Nieco dalej, na szczycie wzgórza, widniały ruiny zamku na tle gór Kastylii.

- Podejdźcie tu wszyscy - krzyknął Vladi - podzielcie się na grupy. Pamiętajcie grę w Valonsadero? Tym razem musicie odpowiadać na pytania i zagadki, które rozdram każdej grupie. Wskażę wam miejsce, w którym znajduje się kolejny opiekun, on poda wskazówkę do kolejnego punktu. Będziecie musieli wykonać też pewne próby, aby przejść dalej. W razie problemów, pytajcie miejscowych, ale bądźcie uprzejmi, bo to w większości starzy ludzie - dorzucił na koniec.

Błądząc po średniowiecznym miasteczku, mimo jego ospałości i leniwie rozciągających się wokół soczystozielonych kastylijskich pól, towarzyszył nam nastrój rywalizacji. Pod naszymi stopami dudniły kamienie, którymi wybrukowane były uliczki. Rozwiązując coraz to nowe zagadki, przemierzaliśmy kilkakrotnie wszelkie możliwe szlaki w mieście.

Umęczeni bieganiem w prażącym słońcu, ześleliśmy główną ulicą do jednego ze sklepików. Ulgą była butelka lodowatej wody.

12 lipca

W tym dniu zaplanowano zwiedzanie Burgos. Z rana odbył się jak zwykle rytuał śniadania i podzieleni na grupy wsiedliśmy do autokaru, by dojechać do Muzeum Ewolucji Człowieka. Od parkingu do muzeum dzieliła nas chwila drogi. Weszliśmy do nowoczesnego budynku, którego surowa architektura, oparta na stalowej konstrukcji, dawała wrażenie sterylnej i pełnej światła. Mieliśmy godzinę, aby zwiedzić cały obiekt i odkryć tajniki ewolucji. Cóż znaczy godzina w całej historii ludzkości?

Gdy wyszliśmy, zachmurzyło się. Przeszliśmy kilka uliczek, aby dotrzeć na wielki plac. Otoczony był kamienicami rzucającymi cień na bruk. Jak zwykle napotkał nas przyjemny gwar, który cichł z powodu zbliżającej się sjeisty. Niektóre sklepy powoli zamykano, jednak większość barów i restauracji nadal czekała na klientów. Wśród turystów i pielgrzymów dążących do Santiago de Compostela wyczuwało się zachwyt nad tym urokliwym miastem. Gdzieś tam pobłykiwały flesze aparatów, a nad placem unosiły się dialogi w wielu językach. Przez

Burgos przebiega najslawniejsza trasa pielgrzymek Camino de Santiago, dlatego też każdego roku miało gości masę ludzi.

Po chwili, ku zdziwieniu wszystkich, zerwał się potężny deszcz. Zapelniony wcześniej plac, opustoszał, a ci, którzy nie zdążyli się skryć, uciekali, zakrywając głowy gazetami lub pozwalali, by rzęsy deszcz smagał ich po twarzy. Na szczęście, znaleźliśmy schronienie w sklepie z pamiątkami. Angelika chciała kupić wachlarz z hiszpańskim wzorem, a ja magnesy, które zbieram z każdego miejsca na świecie. Mam ich już całą kolekcję.

Gdy wyszliśmy, plac połyskiwał kałużami, odbijającymi przyprószone chmurami niebo.

13 lipca

Ostatniego dnia pobytu w Sorii wyruszyliśmy do Numacii. Była to celtycka osada podbita przez Rzymian. Na wzgórzu przywitał nas silny wiatr. Można by myśleć, że to tylko oznaka zbliżającej się burzy, ale starożytne mury zdawały się ziać nieprzyjemnym chłodem w obronie miasta przed przybyszami, jakby nadal miały nadzieję na wygranie walki sprzed wieków. Na szczęście znaleźliśmy schronienie w sali, w której został wyświetlony film przedstawiający historię tego miejsca. Po projekcji, przewodnik zaczął oprowadzać nas po ruinach.

Gdzieśgdzie wśród fundamentów, które pozostały z niegdyś opływających bogactwem domów, pojawiały się rekonstrukcje chatki Celtów. Można było wejść do nich i poczuć zapach gliny i drewna mieszanego się z kurzem, którym prześięknięte było powietrze. W domach panowała ciemność, a nagrzane ściany były ciepłe, mimo że na zewnątrz szalał wiatr. Pod koniec zwiedzania przewodnik poprosił, aby z tłumu zgłosiła się dwójka ochotników. Jeden z rośliwych chłopaków nałożył na siebie białą tunikę, kolczugę i rzymską zbroję, po czym złapał w dłoń karmazynową tarczę oraz pobłyskujący miecz. Aby założyć celtyckie uzbrojenie, zgłosiła się Angelika. Nie było ono już tak solidne jak zbroja Rzymianina - drewniana tarcza i krótki miecz, a zamiast kolczugi - wełniana koszula i spodnie. Przewodnik poprosił, aby stoczyli ze sobą pojedynek, po czym ze zdziwieniem stwierdził, że gdyby Celtowie mieli takich wojowników, a raczej wojowniczeki, to wygryliby bez problemu.

Czas nagiął. Musieliśmy opuścić osadę, mimo że waleczny wiatr oswoił się z naszą obecnością. Pałogi otaczające wioskę przybierały pastelowe seledynowe barwy, a resztki mgły opadały na pastwiska i łąki.

Tego wieczoru zaplanowano imprezę pożegnalną. Wszyscy chcieli się dobrze bawić, mimo to wyczuwało się smutek rozstania. Ten smutek pogłębiała jeszcze bardziej pieśń o pamięci, śpiewana przez czarnowłosą dziewczynę. Muzyka roznosiła się wolno po Alameda de Cervantes, nazywanej La Dehesa. Wiatr nioś ją do Plaza Mayor, gdzie kamienne lwy strzegły, jak zwykle rytmicznego pulsowania wody w fontannie. Nieruchome od lat, nie zwracały najmniejszej uwagi na słowa piosenki. Ich kamienne serca nie poczułyby i tak tęsknoty za tym miastem. Melodia płynęła między kamienicami, przelatowała przez bramy, ocierała się o ściany Instituto de Antonio Machado, by później otulić się w lawendy na placu przy kościele Santo Domingo. Musnęła lekko nachylony nad spokojnym nurtem Duero, San Saturio. Gdzieś dalej, w blasku Księżyca, zaśnieł klasztor u podnóża Monte de las Ánimas.



Słowa piosenki krążyły między nami, zaściągając jeszcze mocniej łańcuch rąk, niektórym wyciskając łzy, jeszcze innym wykuwając w sercu wspomnienia, które mimo upływu czasu, nadal będą żywe, bo przecież dziewczyna śpiewała właśnie o tym, aby pamiętać. Pamiętać ludzi, z którymi spędziliśmy te chwile. Tych, którzy zostali naszymi przyjaciółmi i tych ledwo poznanych. Pamiętać brukowane uliczki Sorii, wzgórza Valonsadero, ciemnoniebieską taflę Laguna Negra, leniwe kastyljskie miasteczko - Calatañazor, nawet tę ulewę w Burgos i złowrogi wiatr w Numacii.

Muzyka ucichła. Czas było zbierać się do akademika. Jutro czekała nas podróż do Madrytu

przez Segovię. Idąc grupą pustymi ulicami w blasku Księżycy, śpiewaliśmy aż do chwili, gdy ostanía osoba zniknęła w drzwiach swojego pokoju.

14 lipca

Następnego dnia przemierzaliśmy krajobrazy Kastylii, oddalając się od znajomych wzgórz Sorii. Obserwując cicho przycupnięte w oddali wioski i ledwo zarysowane stoki wzgórz z łańcuchami wiatraków na grzbietach, sunęliśmy trasą na Madryt. Żłotozielone żdźbła traw miotane były wiatrem muskanym przez skrzydła zrywających się co chwila do lotu ptaków. W końcu na horyzoncie wyrosły wieże budynków. Po chwili można było dostrzec sylwetki mieszkańców, którzy powoli rozpoczynali przygotowywanie do sjeisty. Przy wyjściu z autokaru ujrzelśmy niespotykany widok - w centrum miasta wyrastał potężny akwedukt. Jego ogromne kamienne bloki zakreślały łuki na jasnym błękitie nieba.

Słońce zaczynało rozgrzewać powietrze, roznosząc powoli złoty pył osiadający na ścianach kamienic. Odpoczywając w cieniu akweduktu, zastanawialiśmy się jak przebiegać będzie nasz pobyt w hiszpańskiej stolicy.

Po chwili wyruszyliśmy na szczyt wzgórza, na którym brało swój początek miasto. Maszerując między kamienicami, mijaliśmy wystawy sklepów z pamiątkami. Wielobarwne stoiska cieszyły się popularnością wśród turystów dumnie prezentujących swoje atrybuty: aparaty, kapelusze zakrywające przed słońcem czupryny, małe plecakzki przewieszone przez jedno ramię. Gdzieś w tłumie ktoś zakrzyknął po angielsku, z drugiej strony placu padło kilka słów po włosku, obok jednego ze sklepów z pamiątkami grupa turystów z Niemiec starała się porozumieć ze sprzedawczynią, która nerwowo miotając się, próbowała tłumaczyć swoje słowa na migi. Na wzgórzu wznosił się dumnie zamek - kilka drobnych wieżyczek i baszt wydawało się kłuć siwobłękitne niebo.

Gdy słońce chyliło się już ku zachodowi, dotarliśmy do Madrytu.

15 lipca

Pokój oświetlony był porannymi promieniami słońca, które rozlewało się na białe płytki podłogi.

- Ostatni dzień - westchnęłam ciężko.

- Ja nie chcę odjeżdżać! - Weronika wypowiedziała te słowa z wyraźną chęcią ukrycia się w miejscu, gdzie nikt jej nie znajdzie, kiedy przyjdzie czas odjazdu.

Wstaliśmy nieco wcześniej niż w Sorii. Przecież ostatniego dnia nie mogliśmy sobie pozwolić na leniuchowanie, zwłaszcza, że śniadanie w Madrycie rozpoczynało się wcześniej. Stolica rządzi się swoimi prawami - wszyscy gdzieś pędzą, czas mija szybciej, więc i my musieliśmy nabrać tempa.

Na korytarzu panowała jeszcze cisza. Przed wyjściem ogarnęliśmy pokój po wczorajszych rozmowach przy puszkach z coca-colą i muzyce El Pescazo płynącej ze słuchawek. Gdy po chwili przeszliśmy piętro niżej, aby zahaczyć o pokój Angeliki i razem udać się do stołówki, spotkaliśmy kilku zaspanych znajomych.

Przemierzałyśmy ulice Madrytu, obserwując zabieganych ludzi, rozkrzyczane billboardy, setki samochodów wzbijających w powietrze chmury spalin. To już nie było to samo miejsce, co Soria, w której jeszcze czuło się małomiasteczkowy spokój czy Calatañazor, gdzie czas płynął wolniej niż na niejednej lekcji w szkole. To był Madryt - stolica pełna dźwięków, zapachów, kolorów, emocji... Energiczna i majestatyczna z Palacio Real dumnie rozłożonym wśród ogrodów. W końcu dotarliśmy do Parque Retiro. Długie aleje wypełnione były przechodniakami. Na trawnikach, w cieniu drzew, wylegiwali się Madryleños, korzystając z wymarzonej pogody. Poprzez głośnie okrzyki, typowe dla Hiszpanów, których żywiołowy temperament obdarzył donośnym głosem, rozchodziły się rozmaite dźwięki. Przy głównej alei rozłożył małe wędkarskie krzeselko gitarzysta, który strojąc kolejne struny, próbował wydobyć z instrumentu pożądany ton. Grupa czarnoskórych przechodniów do zakupu zegarków i okularów przeciwsłonecznych. Tafla z pobliskiego jeziora zabrzmiała głośnie chłupotem, gdy uderzyło w nią drewniane wiosło. Tuż obok, Palacio de Cristal - wielka szklana budowla - wygrzewał w słońcu swój szklany pancerz.

Następnym punktem było muzeum Prado. Przechodziliśmy poprzez wypełnione turystami sale, by z bliska obserwować dzieła hiszpańskich mistrzów - Goi, El Greca i Velázqueza. Ze zdziwieniem słuchaliśmy opowieści o słynnym obrazie „Las Meninas”,

który został zreinterpretowany przez Pabla Picassa aż 58 razy. Wiele dzieł było nam znanych z lekcji plastyki, dlatego dużym wrażeniem było zobaczyć je na własne oczy, w oryginale.

Madryckie ulice pokrywała warstwa złocistego słonecznego pyłu. W tym słońcu Pałac Królewski prezentował się jeszcze okazalej. Przemierzaliśmy sale, oglądając przeróżne pomieszczenia królewskiego dworu. Centralnym miejscem była sala tronowa. Ciemnojaspisowe ściany podzielone były olbrzymimi lustrami w złotych ramach, które odbijając światło, dodawały pomieszczeniu dostojnego blasku. Naprzeciwko wejścia usytuowane były trony. Oparcia pokryte szlachetnym kruszczem lśniły tuż pod godłem królewskiego rodu. Nie zabrakło oczywiście kryształowego żyrandola, który opuszczał delikatne szklane lzy nad głowami władców. Tuż przy tronach stały dumne cztery lwy, wsparte na marmurowych kulach. Ich prężne grzbiety wyciągały się groźnie do zwiedzających. Niestety, musieliśmy opuścić pałac, by skierować się do centrum miasta. Puerta del Sol to ruchliwy plac, wokół panuje szum i gwar, radosne pokrzykiwania, głośny śmiech. Wraz z Angeliką odnalazłyśmy cukiernię, której główną specjalnością była czekolada. Oczywiście nie mogło obyć się bez churros. Ciastka podano wraz z półmiskiem wypełnionym po brzegi czekoladą. Nic dodać, nic ująć - chciałoby się przychodzić tam codziennie.

Wieczorem nadszedł czas rozdania pamiątkowych dyplomów z podziękowaniami. To był wieczór pożegnań, ale przede wszystkim nadziei na ponowne spotkanie. Zaczęło się zbieranie pamiątkowych podpisów, kontaktów, robienie zdjęć. Ciężko było zasnąć ze świadomością, że to ostatnia noc w Hiszpanii, ostatnie momenty w tej niezwykłej atmosferze.

Nie wyobrażałam sobie życia bez tego wszystkiego, bez tej mieszanki języków, bez tych miejsc, ludzi... Nie chciałam myśleć, że to już koniec. Mamy się rozstać na zawsze? Te myśli rozchodziły się po czeluściach umysłu, zapadając głęboko do serca, budząc bunt, roznosząc do szarych komórek przekonanie, że należy zatrzymać chociaż kilka wspomnień. Dlatego musiałam to napisać.

Ada Kulig

Andrzej David Misiura

Medialne gminy



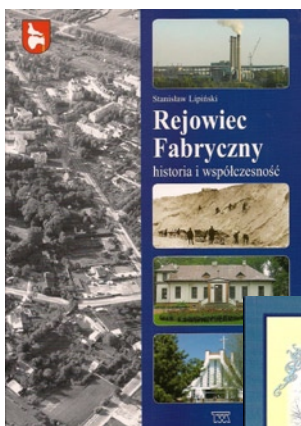
Pawłów mówi swoim głosem

Nie jest rzadkością, aby centrum kultury tworzyło się poza centrum administracyjnym gminy. Napotykamy takie przykłady na terenie całej Lubelszczyzny m.in. w gminie Rejowiec Fabryczny, gdzie Gminny Ośrodek Kultury ma swoją siedzibę w Pawłowie. Miejscowość ta słynie nie tylko z ginących zawodów i dorocznych jarmarków garncarstwa i bednarstwa. W 2008 roku zapoczątkowano tam doroczny Złot Miłośników Twórczości Ryszarda Kapuścińskiego tzw. Kapumaniaków. Natomiast 6 marca 2004 roku, z pomysłu Stefana Leonhardta powołano tam Stowarzyszenie Przyjaciół Pawłowa. Entuzjazmu było mnóstwo, więc stowarzyszenie zapragnęło wydawać własne pismo „Głos Pawłowa” i kto wie, czy nie stało się ono

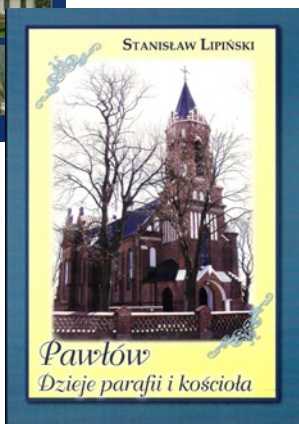


sztandarowym produktem tej patriotycznej inicjatywy. Początkowo zamierzano opublikować tylko specjalne wydanie poświęcone 60. rocznicy pacyfikacji Pawłowa, jaka miała miejsce w 1944 roku, ale z czasem pismo przyjęło formę kwartalnika i ukazuje się do dzisiaj. Na czele zespołu redakcyjnego stanął wówczas Stanisław Lipiński, a skład uzupełnili: Celina Hopaluk, Andrzej Kosz, Stefan Kurczewicz, Lucyna Lipińska, a później Danuta Kurczewicz i Adam Kędzierawski.

Na uwagę zasługuje, że wśród autorów artykułów pojawia się wiele nazwisk m.in. dr Marian Janusz Kawałko - poeta osiadły w rodzinnej miejscowości Rybie położonej w bliźniaczej gminie - Rejowcu Osadzie. Pismo, oprócz aktualności, zamieszcza artykuły historyczne, przedstawia także sylwetki wybitnych pawłowian. Na okładkach prezentuje też ciekawe fotografie odchodzącej przeszłości. Nie stroni od drukowania wierszy i czasem recenzji, a wszystko to na 20 stronach A4 w nakładzie 300 bezpłatnych egzemplarzy. Do tej pory jestem w posiadaniu ostatniego wydania sygnowanego 18 numerem, z grudnia 2011 roku. Działalność wydawnicza nie kończy się jednak na tym, niedawno dotarły do mnie jeszcze dwa opracowa-



(2011) oraz kolejny tomik poezji „Okolona wolność” (2011) Lucyny Lipińskiej, jednej z poetek związanych z „Głosem Pawłowa”.



nia historyczne autorstwa redaktora i regionalisty S. Lipińskiego pt. „Rejowiec Fabryczny. Historia i współczesność” (2010) oraz „Pawłów. Dzieje parafii i kościoła”

dakcja od początku pracuje pod kierownictwem redaktora Barbary Niedźwiedź. W składzie redakcji są Anna Podgórska i Bohdan Kielbasa. Korektą zajmują się Alina Chromczak i Renata Drozd. Wydawcą jest Ośrodek Kultury Samorządowej w Żółkiewce. „Panorama Żółkiewska” spełnia rolę, jaka



przypada wydawnictwom w podobnych miejscowościach, a więc zawiera podstawowe informacje, jakie nie znalazły się w gazetach lub ogłoszeniach, pełni rolę kroniki wydarzeń, pojawiają się omówienia książek oferowanych przez miejscową bibliotekę, a ponadto jest miejscem spotkań z regionalną przeszłością. Aktywność stolicy gminy przenosi się również na inne miejscowości. Oto 3 lutego 2011 powstało znane nam ze stron „Nestora” (1(15)2011) Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Olchowieckiej, a działa w nim m.in. nasza koleżanka, poetka Marzena Podkościelna. Warto wspomnieć, że skład redakcyjny „Panoramy Żółkiewskiej” wzmacnia regionalista i autor licznych opracowań historycznych dotyczących Żółkiewki - Bohdan Kielbasa.

W Żółkiewce panoramicznie

Z końcem 2008 roku ukazał się pierwszy numer kwartalnika „Panorama Żółkiewska”. Środkami pozyskano na roczny cykl wydawniczy, czyli cztery wydania. Później pismo ukazywało się z mniejszą częstotliwością, aczkolwiek jego objętość wzrosła z 32 stron do 48, np. w numerze 1(8)2011. Re-

Kwartalnik parafii św. Dominika w Turobinie

Nigdy nie miałem okazji, aby przejrzeć papierową wersję kwartalnika „Dominik Turobiński”, ale za to słyszałem wiele pozytywnych opinii o nim. To znaczne wydawnictwo istnieje już od 2000 roku. Minionego grudnia ukazał się numer 45 (ss. 44)! I wcale nie dowiedziałem się o tym od mojego redakcyjnego kolegi, który pochodzi z parafii zaj-

mującej się wydawaniem „Dominika...”, a zwyczajnie z Internetu, gdzie na stronie wydawcy można zapoznać się z każdym numerem. Henryk Radej, bo o nim wspominałem, systematycznie używa pisma swojego profesjonalnego pióra. W składzie redakcji znajdują się: Adam Romański - red. naczelny, Dorota Skiba, Michał Romański, Anna Góra, Agnieszka Buszowska, Urszula Sawa, Anna Gajak-Mróż, ks. Władysław Trubicki i Marek Banaszak - fotograf. „Dominik Turobiński” dokumentuje



życie gminy, a w tym Kościoła i chrześcijańskiej społeczności. Nie narzeka na brak materiałów - zamieszcza artykuły historyczne, odległe wspomnienia i korespondencje rodaków rozrzuconych w różne strony świata. W ostatnim numerze, w słowie od redakcji pisze m.in.: *Pragniemy raz jeszcze podziękować Państwu, naszym czytelnikom za zainteresowanie „Dominikiem Turobińskim”, okazującą życzliwość i wszelkie dowody sympatii. Zdajemy sobie sprawę, że nie uda nam się dotrzeć do wielu czy też wszystkich zadowolonych. Chcemy jednak być pismem otwartym, tak by każdy, kto tylko zechce, mógł dzielić się swoimi spostrzeżeniami na jego łamach. Czekamy także na krytyczne, merytoryczne uwagi...*

Na przebudzenie Włodawy

Przedemną „Wschód. Kwartalnik Społeczno-Kulturalny” nr 3. Trafił do redakcji chyba przypadkowo. Czterdzieści cztery strony formatu A4

zajmuje podróż po dziejach, kulturze i sztuce Włodawy i okolic. W składzie redakcji: redaktor naczelny Aldon Dzieciół, sekretarz Renata Włostowska, Monika Durska, Joanna Szubstarska, Mieczysław Tokarski, Włodzimierz Czyżyk i Marta Grzeszczuk. Z założenia pismo ma mieć zasięg wojewódzki, więc na ostatniej stronie widnieją nazwiska osób współpracujących, takich jak: prezes Lubelskiego Klubu Biznesu, przewodniczący Lubelskiej Rady Towarzystw Regionalnych oraz redaktorzy lubelskich periodyków literackich. Moją uwagę zwraca



jednak notatka w Internecie, która opisuje moment powstania pisma: *Podczas spotkania nie zabrakło żywej dyskusji na temat rozwoju czasopisma, czy toastu za pomyślność przedsięwzięcia. Głos zabrali także zaproszeni goście. Zarówno starosta Wiesław Holaczuk, jak i radni (M. Józefczuk i Ł. Pamulska) wyrazili aprobatę dla przedsięwzięcia wydawcy - Poleskiego Towarzystwa Medialnego. Słów uznania i chęci współpracy nie krył także J. Niemierko-Masiukiewicz - prezes STKN. Tak niebywalej determinacji władz, zaangażowania i zachęty do działań kulturalnych należałoby życzyć także innym miejscowościom. W chwili, gdy „Nestor” będzie opuszczał drukarnię, zapewne ukaże się już 5. numer „Wschodu”. Życzymy wytrwałości i powodzenia.*

Andrzej David Misiura

Tadeusz Andrzej Kiciński

Wiersze z V Konkursu
Twórczości Miłosnej
„Ja Cię kocham, a Ty pisz!”



W walentynkowe popołudnie, w sali konferencyjnej ratusza miejskiego Paweł Laufer upublicznił następujący komunikat: *Dnia 9 lutego 2012 roku, w Dębczynie nieopodal Samokłęsk, w domu Kazimierza Malinowskiego odbyły się obrady jury, nad których prawidłowością czuwał mąż zaufania i protokolant Mariusz Kargul oraz jego asystenci - pies Leon i suka Sazuja. Patrycja Janowska - poetka, filozofka, arteterapeutka, Paweł Laufer przewodniczący jury - filozof, pisarz i publicysta, doktorant na Wydziale Filozofii Teoretycznej KUL oraz Kazimierz Malinowski - poeta, współpracownik miesięcznika „Lampa”, sformułowali werdykt w V Edycji Konkursu Twórczości Miłosnej „Ja Cię kocham, a Ty pisz” Krasnystaw 2012.*

W konkursie wzięło udział 230 autorów, a łączna waga nadesłanych tekstów przekroczyła podobno 6 kilogramów. W pierwszej części obrad wysunięto nawet kilka postulatów, z których najdziwniejszy domagał się regulaminu pracy i głosowania dla jury, inny oczekiwał wydawnictwa pokonkursowego, a kolejny głosił, aby w przyszłości jurorzy mogli prowadzić indywidualne konsultacje warsztatowe, tak jak to się dzieje w niektórych poważnych konkursach. Ze swojej strony stwierdzam, że najlepszym pomysłem jest ten ostatni, bo idzie za nim nauka, a i pozbylibyśmy się laików za sędziowskim stołem.

W drugiej części posiedzenia jurorzy zabrali się za ocenę prac konkursowych. Ostatecznie, jak sobie poradzili z sygnalizowanym wcześniej problemem głosowania nie wiadomo, ale po przedłużających się i zacieklých, jak określa protokół, obradach wyłonili troje finalistów, wśród których znalazły się: Weronika Granosik ze Zgierza (16 lat), Marzena Mariola Podkościelna z Olchowca i Dorota Czerniakiewicz z Chełma. W takim też porządku ułożyła się kolejność nagród.

Na rozstrzygnięciu pojawiła się Weronika Granosik, pokonując ponad 300 kilometrów. Wyraziła radość z otrzymanej nagrody, gratulowała

pozostałym laureatom oraz dziękowała członkom jury, że *dostrzegli jej dość kontrowersyjny i bezpośredni wiersz.*

Kolejnym punktem walentynkowej gali był performance teatralny „Ślub Stanisława”, autorstwa Stanisława Kliszczu, w wykonaniu aktorów Teatru Prowizorycznego KDK. Spektakl angażował publiczność i został przyjaźnie przyjęty. Inscenizacja ślubu w niedawnym Urzędzie Stanu Cywilnego wzbudziła wiele emocji i humoru.

Następnie Mariusz Kargul promował swój debiutancki tomik „Niewczesny pogrzeb wierszoroba”. Prowadzący spotkanie Kazimierz Malinowski docenił dużą społeczną aktywność autora w zakresie działalności kulturalnej na terenie Krasnegostawu i okolic. Autor czytał swoje wiersze i wspominał początki pracy twórczej.

Na zakończenie uroczystości, wokaliści ze Strefy Wokalnej KDK śpiewali najpiękniejsze piosenki o miłości.

Przypomnijmy, że patronem medialnym V Konkursu Twórczości Miłosnej było Czasopismo Artystyczne „Nestor”. Krasnostawski Dom Kultury, za naszym pośrednictwem serdecznie dziękuje Bankowi Spółdzielczemu w Krasnymstawie, spółce Kartonex oraz Galerii Handlowej Perła - mecenasom konkursu, za wsparcie finansowe, Zbigniewowi Chmielewskiemu za projekt logotypu konkursu, radnemu Marcinowi Wilkołazkiemu i Ministerstwu Rozwoju Regionalnego za wsparcie rzeczowe oraz Agencji Rozwoju Lokalnego za udostępnienie pomieszczeń.

Tadeusz Andrzej Kiciński



*Kto ma serce niechaj wzdycha!
Kto ma nogi niechaj bieży!*

Powodowani odwiecznym nakazem natury
i poezji, mówiącym: kochajmy się!,

**Krasnostawski Dom Kultury
i Grupa Literacka A4**

mają zaszczyt zaprosić na finał

V Konkursu Twórczości Miłosnej

„Ja Cię kocham, a Ty pisz!”



Patron medialny



I nagroda

Weronika Granosik

Idźcie i rozmnażajcie się

mam zbyt wąską talię
wiem o tym
patrzysz na mnie
za bardzo
widzisz siebie
nie możesz tak żyć

jednak nawet razem wzięte
nie pozbawimy mnie piersi
za dużo w tym okresu

ale zrobię wszystko
założę zbyt duże buty
kupię cygaro

II nagroda

Marzena Mariola Podkościelna

Nie wszystkim przytrafia się sen (...)

śpij słodko. może tędy poprowadzi droga powrotna
nim na dobre oswoję przewiązane oczy. to była niedziela,
topola. i siedem lat po niej
w głodzie - szemrzą pacierze

za wsią. karuzela

rozpuszcza dziewczęce warkocze. kobietom
nie pasują twoje imiona ani popołudnia
pod lasem. znów usprawiedliwiam zaschnięty
dom i zbieram okrucy:

ręce wtulone, zatopione w jaskrach, świerszcze w słoju
- twój śmiech w oczach córki.

III nagroda

Dorota Czerniakiewicz

Dopiero teraz

Dopiero, kiedy sama mam dzieci
rozumiem twoje uczucia, mamo.
Twą troskę, nerwy, łzy, no i uśmiech,
który raduje mnie wciąż tak samo.
Teraz dopiero w pełni pojmuję
ciągły niepokój oczekiwania
i rzeczywiście mogę ocenić,
co tak naprawdę znaczy „zabraniam”.

Tysiące nieprzesypianych nocy,
łzy wylewane i przełykane,
wagony pieluch, piękące oczy -
dopiero teraz jest mi to znane.

Tak wiele znamy odmian miłości,
jedna od wieków jest wciąż tą samą.
Najcudowniejsze słowo na świecie:
powtarzać „mamo” i... słyszeć „mamo”.

Marzę, aby napisać dramat

Z Edą Ostrowską rozmawia
Andrzej D. Misiura

Jak to się stało, że dziewczyna z Włodawy, gdzie nigdy nie mówiło się o środowisku literackim, wyrosła na dobrą poetkę?

Zawsze obracałam się w środowisku literackim, co prawda dookoła własnej osoby i ciesząc się własnym towarzystwem nade wszystko. Trzymałam się na dystans od grup literackich. Chodząc łakami nad Bugiem i lubelskimi wąwozami byłam jak aparat władzy, samowystarczalna. Czerpałam z przyrody i z klasyków, a głód narastał. Mogłabym tak długo opowiadać, ale stop!

15 tytułów to imponujący dorobek wydawniczy, a mimo tego nie należysz do żadnych związków twórczych. Czy to jakiś protest?

Wkrótce będę członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Zostałam zakwalifikowana.

Czy książki, jakie masz za sobą, są wynikiem wypisania, poszukiwań, czy nadążasz za spisywaniem pomysłów i wizji?

Zawsze pisałam falami, jak tsunami. Całe dnie i noce, tygodnie, a nawet miesiące bez opamiętania zachłystywałam się wierszami, dając ciało i krew, nie dbając o siebie. Coś w rodzaju opętania. Tak więc nadążałam za własnymi wizjami, byłam w nich zanurzona jakby padł jakiś czar... Aby potem całymi latami smażyć placki i żyć codziennością również zaczarowaną.

W jakich tekstach czujesz się najlepiej?

Czuję się wyśmienicie w tekstach krótkich, filozoficznych w stylu:

*zabiegaj
o to co liche
przebudzisz się
z pełnym
kielichem*

Czy czujesz, że jest przed Tobą arcydzieło, a może dzieło Twojego życia? Czy masz już jego koncepcję?

Całe życie zmierzam do takiej poezji - uniwersalnej, zrozumiałej dla każdego, a jednocześnie mistycznej i symbolicznej, gęstej a jednak przejrzystej. Marzeniem moim jest napisać dramat. Niestety mam czarne myśli, że nie uda mi się ta sztuka. Chociaż wszystkie moje wiersze układają się w energetyczne cykle i można je z łatwością inscenizować albo wyśpiewać.

Marzysz, aby napisać coś prozą?

Fabularna proza jest dla mnie nieosiągalna jedynie proza poetycka.

Zdobyłeś sporo nagród literackich, jak to się robi?

W istocie dostałam niewiele nagród. Ostatnio przez dwadzieścia lat nie zauważano mnie.

A życie zawodowe - przeszkadza czy pomaga tworzyć?

Ja mam jedno życie zanurzone w poezji. Wszystko podporządkowane poezji, nawet cała osoba fizyczna.

A dom Twój wymarzony jest miejscem, gdzie powstało większość tekstów?

W moim ukochanym mieszkanku, przy wybitnie inteligentnym komputerze, w ostatnim roku powstała cała armia wierszy gotowa pobić każde wojsko. Wcześniej jak kura z jajkiem wędrowałam z wierszami łąkami i lasami.

Kiedy powstają najlepsze wiersze?

Moje wiersze są terapeutyczne w cierpieniu, przynoszą ocalenie i oczyszczenie. Rodzą się w bólu, aby załśnić jak diament albo mleczna perła.

Rozmawiamy, a nie przestajesz być poetką...

*może jaki dobry duch cię prowadzi
Święty na wskroś*

*dokąd zmierzasz
do świętego świętych*

*w czym rzeźbisz
w kruchej glinie*

*co jest dla ciebie najważniejsze
kochać się z powietrzem...*

Eda Ostrowska

Bazylemu

Zimą w lesie jeleń
niesie czaszkę śniegu
i dwa węże na gałęziach
strzegą wejścia
dalej w głębi białe brzuchy
ptaków klangor mojego synka
twój Tatuś ma zygakowatą zmię
dnia oraz gołębia

Boże mój Boże
kiedy gwiazdy wieszaleś
pod maciorą nieba
i przytwierdzałeś planety
do żerdzi
czy już wtedy zapragnąłeś mnie
dla bolesnej męki

Leży jagnię śniegu
obok drogi
las samotny stoi
na drewnianej nodze
placze rudy kot
weź mnie stad nie mogę
bo w kopalni mieszkam
i mam węgiel zamiast serca
trwogę

Zaprosiłam na świat
jednego człowieka
wolnego jak kra w rzece
i sokół w beczce
wszechświata Ugodziłam męża
w szpulę intelektu
napisałam wiersz piękniejszy
niż życie

Joszkowi B.

Ty dostałeś na drogę
lniany worek z chlebem
a ja grzebień żelazny



szedłeś po matczynej dłoni
ja zboczem grani
Ty jesteś śmiech i łaska
a ja z nieba jastrząb
powiedz Ojcu że gasnę

Obudziły się ptaki
w wierszu
jeden rzadki drugi zwyczajny
zaterkotał młynek wiatru
suche strąki poszły w ruch
i obłoczek śniegu spadł
Mów co chcesz nie przelałeś
krwi dla wiersza

Ty który nie masz
żadnych potrzeb
doskonały jak samochód
albo śniegu opad
zobacz
wróciły szpaki
zginą jeśli nie nakarmisz
jako i mnie Panie
ziarnem miłości

Mirkowi P.

Piękny człowiek
nie rani
sikorki poetki
raczej sam
rzuca się na miecz
i z bukietem krwi
żyje najzwyczajniej
pięknie

weź mnie do nieba
jak się wprowadza
do serca
gałązkę powietrza
śpiewającą

Eda Ostrowska, wiersze z tomu
„Śmiech i łaska”.

Andrzej David Misiura

Eda wierszem gada.
Nagrodzony „Śmiech i łaska”

„Wpisała się dziewczyna, co ma włosy jak pierzyna” - dyskretnie zerkam przez ramię Edy Ostrowskiej. Poetka, z uśmiechem, za każdym razem innym dwuwierszem podpisuje swoją nagrodzoną książkę. Sypie jak z rękawa. Dzisiaj, (przed kilkudziesięcioma minutami), 5 stycznia 2012 roku została laureatką XVII Konkursu Poetyckiego im. Anny Kamieńskiej, tym razem zorganizowanego wspólnie przez Krasnostawski Dom Kultury i Miejską Bibliotekę Publiczną w Krasnymstawie. Na widowni, jak zwykle miłośnicy poezji, przedstawiciele najwyższych władz miasta i powiatu oraz organizatorzy.



Rozstrzygnięcie konkursu poprzedza prezentacja multimedialna Stanisława Kliszczu, w której, z archiwalnych nagrań, swoją poezję czyta sama Anna Kamieńska. Towarzyszą jej fragmenty filmu Godfrey'a Reggio „Koyaanisqatsi” z muzyką Philipa Glassa, oraz recytowane przez Joannę Młynek wiersze ubiegłorocznej laureatki konkursu, Marii Przybylskiej. Jan Henryk Cichosz uzupełnia prezentację, przytaczając anegdoty dotyczące patronki konkursu. Nadmienia też o swoich bezowocnych poszukiwaniach konkretnego dokumentu narodził Kamieńskiej w Krasnymstawie.

Niebawem następuje najbardziej oczekiwana chwila: oto Urszula Gierszon, przewodnicząca jury, w skład którego wchodził też Jan Henryk Cichosz i Piotr Linek, przedstawia ocenę merytoryczną nadesłanych zbiorów wierszy:

1. Stanisława Burda, *Ciszą i słowem*, Wydawnictwo „Werset”, Lublin;
2. Iwona Chudoba, *Oczy czasu*, Wyd. TAWA, Chełm;
3. Joanna Cichocka, *Z szuflady serca* [b.w.] „A3 Drukarnia” Przemysław Litwiniuk, Chełm;
4. Katarzyna Czubała, *Akwarelą wyobraźni*, Wyd. TAWA, Chełm;
5. Henryka Dederko, *Zaszeptane meandry*, Wydawca Mirosław Marek Dederko, Czulczyce;
6. Halina Graboś, *Myśli niedyskretnie*, Wyd. TAWA, Chełm;
7. Ewa Klajman-Gomolińska, *Milczenia z Bogiem*, Wyd. „Werset”, Lublin,
8. Piotr Krzysztof, *Zakamarki duszy*, Wyd. Norbertinum, Lublin;
9. Danuta, Agnieszka Kurczewicz, *Kręgi zwielokrotnione*, Wyd. TAWA, Chełm;
10. Aldona Miłkowska, *Magiczne chwile*, Wyd. Norbertinum, Lublin;
11. Zofia Nowacka-Wilczek, *Śladem niedomilczeń*, Wyd. TAWA, Chełm;
12. Eda Ostrowska, *Śmiech i łaska*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa;
13. Józef Pless, *Madonny cudami słynące*, Wyd. Norbertinum, Lublin;
14. Teresa Pyc, *Skąd ta łza*, Wyd. TAWA, Chełm;
15. Edmund Skiba, *Moje życiowe przemyślenia* [b.w.] Drukarnia POLIANNIA, Krasnystaw;
16. Ryszard Smolak, *Zastępczy życiorys i inne wiersze*, Wyd. Norbertinum, Lublin;
17. Maria Tokarz, *Na wyciągnięcie dłoni*, Wyd. TAWA, Chełm.

Jury nominuje książki następujących autorów: Katarzyny Czubały, Ewy Klajman-Gomolińskiej, Danuty Kurczewicz, Zofii Nowackiej-Wilczek, Edy Ostrowskiej i Ryszarda Smolaka. Ostatecznie nagrodę główną jednogłośnie przyznano Edzie Ostrowskiej z Lublina za tom „Śmiech i łaska”.

W uzasadnieniu werdyktu usłyszymy: *Utwory Edy Ostrowskiej zawarte w tym zbiorze, na tle współczesnego polskiego wierszopisarstwa stanowią niecodzienny przykład poezji żywej. Słowo nabiera tutaj barw, zmysłowości, ruchu, powietrza, zapachu, duchowości, istnieje samo w sobie, a jednocześnie - zestawione w wiersz - stanowi*

intrygującą konstrukcję. Te niepozorne teksty wypełnione są żarliwością istnienia.

Ostrowska zbiera doświadczenia i doświadcza wszystkiego, czego zwykle doświadcza niemal każdy człowiek podczas swojego życia. Jednak większość ludzi, jeżeli nawet zbiera obrazy i doświadczenia głęboko odczuwając, posiada granice tej wrażliwości. Eda Ostrowska nie posiada takich granic, jej wrażliwość przypomina delikatną gąbkę, która potrafi wchłonąć w siebie wszystkie oceany świata, jest pełna. Ta obudzona zachłanność życia i odczuwania aż do bólu rozrywającego psychiczną konstrukcję jest porażająca zarówno dla poetki, jak i dla jej czytelników.

To właśnie owa zachłanność sprawia, że trwa w niej nieustająca burza z piorunami, a forma wierszy jest urywana, przypominająca zachłyśnięcia się dziecka o bujnej wyobraźni, które pragnie prędko wypowiedzieć piękno, które widzi, i zachwyt, którego właśnie doświadcza. Bez granic, bez ram i rygorów narzucanych z zewnątrz. Widać to także w oryginalnych metaforach, które nierzadko są mocne, wręcz nachalne i brutalne, zestawiane często z dwóch przeciwstawnych krańców semantycznych słownika, a łączą się w wierszach w interesującą całość.

Nie oznacza to, że Ostrowska nie wie, co pisze, wręcz przeciwnie. Bardzo bogatym, soczystym, barwnym, nierzadko dosadnym językiem, naszpikowanym gwarą i archaizmami lokalnymi daje czytelnikom wyraźne, mądre i przemyślane przesłania. Treść tych przekazów daleko wykracza poza nadaną wypowiedzi formę i ilość słów zawartych w wierszu. Jak i czy je odczytamy zależy tylko od nas. Najważniejszym przesłaniem tego tomu jest mistyczna wdzięczność za wszystko. Radość istnienia, mimo różnorakich przeszkód, wartość życia. „Wszystko, czego w życiu doświadczamy jest ważne, jest potrzebne, ma swój, może nawet niepojęty, nieuświadomiony, cel” - mówi nam poetka. A jeśli do tego dodamy delikatną melodię, ów lekko wpleciony w słowa wschodni, ludowy zaśpiew, otrzymujemy dzieło intrygujące, artystycznie dojrzałe i pełne.

Nagrody wręczają: Małgorzata Antoniak, Damian Kozyrski i Andrzej Jakubiec - Burmistrz Krasnegostawu. Laureatka natomiast prezentuje kilka wierszy z nagrodzonego tomiku, czym na-

tychmiast zyskuje sympatię publiczności, podobnie zresztą, gdy odpowiada na enigmatyczne pytanie prowadzącego spotkanie Stanisława Kliszczka - „Jak żyć?”. Znacznie ciekawsza jest jednak opowieść



Joanna Młynek, Eda Ostrowska i Andrzej D. Misiura przedstawiciel Czasopisma Artystycznego „Nestor” - patrona medialnego konkursu. fot. Artur Borzęcki

o spotkaniu z komputerem w pewne okrągłe urodziny, co przynosi późniejsze całodobowe twórcze związki z wirtualnym światem. W wolnej chwili Urszula Gierszon zdradza nam, że w międzyczasie Eda wydała już następny jeszcze lepszy zbiór wierszy. Zatem życzymy sukcesu w przyszłorocznej edycji konkursu.

Rozmowom o poezji, towarzyszyli wokaliści ze „Strefy Wokalnej” Krasnostawskiego Domu Kultury.

Andrzej D. Misiura

Patron medialny



Eda Ostrowska, *Śmiech i łaska*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2010, ss. 55

Henryk Radej

Perfekcyjny „Hugo”



Stało się. Na naszych oczach rodzi się nowa jakość kina, powstaje inny wymiar sztuki filmowej - jej trzeci wymiar z zastosowaniem techniki 3D. Oczywiście, przodują Amerykanie. Pierwszy był „Avatar” w reżyserii J. Camerona (2009). Ogląda się to jak sen, jak bajkę z najbardziej wyszukanych snów, bo niektóre pomysły techniczne i obrazy daleko wykraczają poza zwykłą wyobraźnię. Powróciła stara prawda, że w kinie najważniejszy jest obraz opowiadający atrakcyjną opowieść (story). Potem pojawiło się kilka efekciarskich filmów i filmików, zwykle bazujących na efektach specjalnych - włącznie z polskim „1920 Bitwa Warszawska” J. Hoffmana (2011). Teraz doczekaliśmy się arcydzieła perfek-



cyjnego, które pod każdym względem chce być filmem idealnym, w którym obraz i opowieść oraz inne elementy budujące ten świat stapiają się w idealną całość. Wszystko jest w nim przemyślane - od najdrobniejszych szczegółów scenograficznych, pomysłowych ujęć detali kadrowych, do każdego ruchu i gestu aktora, a nawet choreografii tłumy. Twórcy nie ukrywają, że produkcję filmu podporządkowali technice 3D, która wyzwoliła w nich niespotykane pokłady kreatywności, połączonej z inteligentnym wykorzystaniem bogactwa epoki pierwszych filmów sprzed stu lat.

„Hugo i jego wynalazek” (bo taki tytuł nosi ten film w Polsce) - to przede wszystkim zrealizowana wielkim nakładem kosztów niezwykła baśń filmowa w starym stylu, opowiadająca piękną i wzruszającą historię o początkach kina we Francji. Oglądamy Paryż z początku lat 30. ubiegłego wieku, a dokładniej tajemniczy dworzec Montparnasse i jego bliskie okolice. Poznajemy trudne dzieciństwo 12-letniego chłopca, który mieszka w labiryncie dworcowych zaułków, spowitych kłębami pary z potężnych urządzeń. Ten sympatyczny i rezolutny bohater zajmuje się konserwacją dworcowych zegarów i podziwianiem panoramy miasta w wysokiej wieży. Próbuje też naprawić tajemniczego robota, który został mu na pamiątkę po nagle zmarłym ojcu. Brak pieniędzy zmusza go do podkradania części do maszyny z dworcowego sklepiku, w którym naprawia się zabawki. Jak się okazało, prowadzącym sklep, starszym, zgorzkniałym panem (w tej roli Ben Kingsley) jest sam Georges Méliès.

Był on jednym z pionierów światowej kinematografii. Do historii sztuki przeszedł jako reżyser i producent filmowy, wynalazca montażu filmowego, który nakręcił ponad 500 filmów krótkometrażowych, w wielu z nich grając „główne” role. W 1907 roku zbudował pierwsze na świecie studio filmowe. Kiedy w wyniku I wojny światowej popularność jego ruchomych obrazów spadła, wpadł w długi. W akcie desperacji zniszczył wtedy swoje filmy - na szczęście nie wszystkie, około 70 ocalało, w tym słynna „Podróż na Księżyc” - i rozpoczął pracę w należącym do żony sklepie z zabawkami. Tam, po kilku latach rozpoznał go jeden z dziennikarzy i pomógł w ponownym odkryciu jego dorobku.

Tę autentyczną historię oglądamy w przestronnym złudzeniu filmu Martina Scorsese, doprawioną pastiszami lub cytatami z klasyki kina niemego. Twórcy dzieła nawiązują w nich do największych postaci tego okresu, takich jak: Max Linder, bracia Lumière i Charlie Chaplin, głównie eksponując dorobek Mélièsa. „Hugo” jest filmem o tyle ciekawym, że łączy dwa porządki - z jednej strony nostalgię za początkami XX wieku z czasem zachłyśnięcia się nowymi możliwościami kina, z osiągnięciami techniki 3D w XXI wieku. Scorsese ze swoją finezją zbudował pomost

pomiędzy tymi dwoma światami, które - wbrew pozorom - tak wiele łączy. W rezultacie, otrzymaliśmy wysokiego lotu artystyczny hołd, jaki reżyser „Taksówkarza”, „Ulic nędzy” i „Wściekłego Byka” składa kinu, na którym się wychował - pełnego magii i niezwykłych przygód. Śmiem twierdzić, że jest to jeden z najlepszych filmów ostatnich lat, który zapewne stanie się obrazem kultowym. To piękne, mądre, zabawne i ekscytujące kino.

Nominowany do Oscara aż w 11 kategoriach „Hugo i jego wynalazek” otrzymał złote statuetki za: **najlepsze zdjęcia, najlepszą scenografię, najlepszy montaż dźwięku, najlepszy dźwięk i najlepsze efekty wizualne**. Jest to film dla wszystkich, w każdym wieku. Młodszych zachwycą przygody nastoletnich bohaterów, a starsi odnajdą w nim wspomnienia z czasów młodości spędzonej przy terkoczącym projektorze, rzucającym ruchome obrazki z pędzącymi pociągami i niekończącymi się pościgami pośród karkołomnych zdarzeń. Ech, łza się w oku kręci.

Henryk Radej



„Hugo i jego wynalazek” (ang. „Hugo”): prod. USA, 2011; reżyseria: Martin Scorsese; scenariusz: John Logan na podstawie książki Brian Selznick „Wynalazek Hugona Cabreta”. Występują: Ben Kingsley, Sacha Baron Cohen, Asa Butterfield, Chloë Grace Moretz.

Wiesław Krajewski



Zielony promień zachodzącego słońca

- odrobina romantyzmu w astronomii

Jednym z ciekawszych, a zarazem rzadkich i zagadkowych, owianych otoczką romantycznego mistycyzmu zjawisk związanych z zachodem słońca jest tzw. „zielony promień”. Opisanych obserwacji zielonego promienia jest bardzo mało, stąd atmosfera tajemniczości i różne próby wyjaśnienia tego niezwykłego zjawiska. Zielony promień słońca? W pierwszej chwili jest to dla nas zaskakujące, wręcz niemożliwe, nierealne. Tarcza zachodzącego słońca bywa żółta, pomarańczowa, nawet czerwona, ale skąd w tym zestawie wziął się kolor zielony? Ktoś się chyba pomylił, to nie pasuje, jest nielogiczne. A jednak...

Większe zainteresowanie tym zjawiskiem rozpoczęło się właściwie w roku 1882, ale nie jest to data wykonania pierwszej obserwacji. Ukazała się wtedy książka - romantyczna powieść Juliusza Verne'a, której akcja dzieje się w Szkocji. Powieść nosi tytuł „Zielony promień” („Le Rayon vert”). Jej wydanie polskie trafiło do księgarń w 1988 roku. Prawdopodobnie właśnie tej książce należy zawdzięczać stałe zainteresowanie tym tematem i swoistą aurę związaną z tym zjawiskiem.

W „Zielonym promieniu” panna Campbell czyta w „Morning Post” następujący artykuł:

Czy zdarzyło się Wam obserwować, jak słońce zachodzi za widnokręgiem morza? Tak, niewątpliwie. Czy śledziliście je wzrokiem aż do chwili, kiedy górna część tarczy dotyka linii wodnej i ma niebawem zniknąć? Najprawdopodobniej tak. Ale czy zauważyliście zjawisko, które występuje dokładnie w chwili, gdy to olśniewające ciało niebieskie rzuca swój ostatni promień, jeżeli wolne od zamglenia niebo ma w tym czasie idealną przejrzystość? Nie! A może... A więc przy pierwszej okazji - a zdarzają się one bardzo rzadko - dokonując tej obserwacji, zauważcie, że to nie czerwony promień trafia w siatkówkę oka, jak należałoby przypuszczać, lecz promień „zielony”, a jego zieleń będzie cudowna, w odcieniu, jakiego malarz nie uzyska na swojej

palecie, gdyż natura nigdy nie zdoła go odtworzyć ani w różnorodnych barwach roślin, ani w najczystszych barwach mórz. Jeżeli istnieje zieleń w raju, może nią być jedynie właśnie ta, będąca zapewne prawdziwą zielenią Nadziei.

W artykule nie wspomniano o tym, o czym wiedziała panna Campbell, a mianowicie, że:

[...] ów Zielony Promień wiąże się ze starą legendą, której ukryty sens dotychczas jej umykał; była to legenda, jak wiele innych, dotąd niewyjaśniona, zrodzona w górach i mówiąca o tym, że promień ten obdarzony jest następującą właściwością: człowiek, który go zobaczy, nie może się już mylić w sprawach uczuć, Zielony Promień niweczy złudzenia i kłamstwa, a ten, kto miał szczęście go ujrzeć bodaj raz, widzi odtąd jasno zarówno w swoim sercu, jak i w sercach innych ludzi. Tyle książka.

Równie symboliczne i mistyczne znaczenie tego zjawiska odkrył przed widzami słynny francuski reżyser Eric Rohmer. W jednym z arcydzieł filmowych Rohmera - *Zielonym promieniu* (1984) - Delphine, zagubiona w sobie paryska sekretarka, spędza samotne wakacje w Biarritz. Film ma konstrukcję intymnego dziennika. Oto jego kluczowa sekwencja. Jest koniec sierpnia. Ostatni dzień urlopu. Podczas spaceru nad morzem, Delphine przypadkowo jest świadkiem rozmowy starszych osób. Słyszy jak mówią o powieści Verne'a „Zielony promień”. Starszy pan tłumaczy: *zielony promień powstaje w wyniku dyfrakcji, ale u Verne'a zjawisko ma sens symboliczny. Kto dostrzeże zielony promień, ten będzie mógł czytać we własnych uczuciach.* To właśnie jest problem Delphine: nieumiejętność czytania we własnej duszy. Właściwie to były nieudane, nudne wakacje. Stracony czas. A ona szukała czegoś innego. Szukała kogoś. Tego jednego, jedyne. Wydaje się jednak, że to jeszcze nie pora na wielką miłość. Ale wkrótce stanie na jej drodze chłopiec. Delphine potrzebuje teraz jakiegos zewnętrznego punktu odniesienia, dodatkowego promienia, który przeświecili jej duszę, rozjaśni umysł, pozwoli spojrzeć w głąb siebie, rozwieje niepokój, wyrwie ze stanu wiecznego czekania, powie: to jest to! Końcowa scena filmu: Delphine i chłopiec, poznany ostatniego dnia wakacji. Oboje siedzą na ławce nad morzem, objęci wpatrują się milcząco w horyzont. Krótkie ujęcia ich twarzy następują na przemian z obrazami kolejnych faz zachodzącego

słońca. Czas upływa tak szybko. Słońce się chowa. Morze szarzeje. I nagle, przez ułamek sekundy błyska na horyzoncie zielony promień, który okazał się realnością, a nie tylko legendą, fikcją literacką. Jest! - woła Delphine. Ta kilkunastosekundowa scena jest jedną z najpiękniejszych i najbardziej niezwykłych w historii kina. Tyle film.

Zjawisko to zainspirowało również rosyjskiego prozaika i publicystę Leonida Sobolewa, który w 1954 roku wydał zbiór opowiadań marynistycznych „Zielony promień” (wyd. pol. 1956). Wątek zielonego promienia zachodzącego słońca pojawia się też w filmie „Piraci z Karaibów”. Był on środkiem koniecznym, by dusza zmarłego powróciła ze świata umarłych do świata żywych.

Naukowy opis obserwacji zielonego promienia podał w polskiej literaturze astronom Jan Mergentaler. Pisze on następująco: *Było to 2 grudnia 1927 roku na Łysinie. Panowała piękna wieczorna pogoda, po zachodzie Słońca. Lekko tylko zabarwiony na rdzawożółty odcień Księżyc zachodził za ostro widoczne zbocze górskie, pokryte miejscami gęstym lasem (o ile pamiętam, było to zachodnie zbocze Babiej Góry). W chwili, gdy ostatni jasny punkt ostrego rogu Księżyca zniknął za grzbieciem góry, wystąpiło wyraźne rubinowoczerwone zabarwienie, które w przeciągu 2-3 sekund przeszło całą skalę widma i ostatni promień zabłysnął silnie niebieskozielonym światłem.* Tak została zanotowana ta obserwacja w sprawozdaniach Polskiej Akademii Umiejętności z 1928 roku. Jest to bardzo ciekawa obserwacja, gdyż w przypadku Księżyca raczej nie opisywano tego zjawiska.

Jak tłumaczy się powstawanie zielonego promienia? Było przynajmniej kilka prób wyjaśnienia tego fenomenu. Początkowo myślano, że jest to złudzenie wynikające z właściwości oka. Po intensywnym naświetlaniu czerwonym promieniowaniem zachodzącego słońca, z chwilą zgaśnięcia tego światła, występuje tzw. powidok. Polega on na tym, że przez chwilę wydaje nam się, że widzimy uzupełniający do czerwonego zielony kolor. Takie tłumaczenie jest jednak wykluczone. Obserwowano bowiem zielony promień również o wschodzie Słońca. Przeczą temu również zdjęcia, jakie udało się wykonać, a które świadczą o tym, że jest to realne zjawisko.

Sądzone również, że poziome promienie zachodzącego nad morzem słońca zielenieją, przechodząc przez fale morskie. Hipotezę tę również możemy wykluczyć, gdyż zjawisko to było obserwowane także na pustyni. Inna, medyczna interpretacja przypisywała ten fenomen wątrobowym kłopotom obserwatora. To wszystko nie jest prawdą. Zjawisko zielonego promienia jest w rzeczywistości dość łatwe do wyjaśnienia.

Gdy spojrzymy na bliską żarówkę przez szklany pryzmat trzymany wierzchołkiem do góry, zobaczymy przesunięty obraz białej żarówki zabarwiony wskutek rozszczepienia światła - na górze na niebiesko, a na dole na czerwono. Możemy rozważyć cały ciąg nakładających się obrazów; każdy kolor tworzy obraz troszkę przesunięty w pionie w stosunku do poprzedniego. W środku, gdzie wszystkie kolory nakładają się na siebie, obraz pozostaje biały. Część niebieskiego obrazu jest widoczna ponad resztą, część czerwonego - poniżej. Gdy ustawimy przed pryzmatem kawałek tektury, musimy zasłonić obraz całej żarówki, zostawiając tylko niebieską krawędź, teraz znacznie wyraźniejszą.

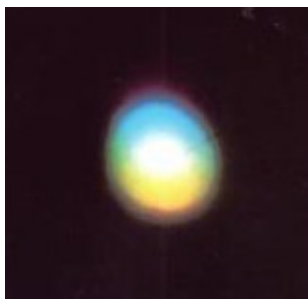
Analogia między tą sytuacją a warunkami powstawania zielonego promienia jest prawie całkowita. Żarówka zastępuje oczywiście słońce, pryzmat - zakrzywiającą promienie ziemską atmosferę, kawałek tektury jest naszym horyzontem. Atmosfera ma różną gęstość. Dolne warstwy mają większą gęstość niż górne. Dlatego promienie świetlne zakrzywiają się w różnym stopniu - czerwone mniej, niebieskie - bardziej. Bez horyzontu, to co widzimy byłoby tylko powtórzeniem zjawiska pokazanego na przykładzie Wenus sfotografowanej ok. 10 stopni nad horyzontem (ryc. 1.).

Lecz spodziewamy się tu raczej niebieskiego, a nie zielonego promienia. Działa tu jednak jeszcze inny mechanizm. Atmosfera wybiórczo rozprasza i na skutek tego, przechodzące światło traci niebieski kraniec widma. Gdy słońce zachodzi, z powodu refrakcji atmosferycznej (ugięcia promieni światła przechodzącego przez grubą i niejednorodną warstwę powietrza), niebieski obraz powinien pozostać najdłużej nad horyzontem, ale rozproszenie w atmosferze najefektywniej usuwa właśnie niebieski koniec widma przepuszczanego światła. W wyniku tego, niekiedy ostatni widoczny promień jest zielony. Na fotografii Wenus znajdującej się 2-3

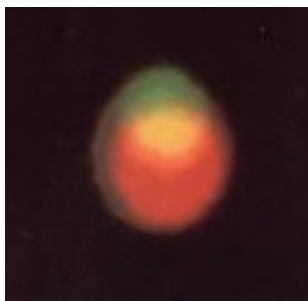
stopnie nad horyzontem (ryc. 2.), niebieskie światło uległo rozproszeniu i górny brzeg planety jest właśnie zielony.

Jakie są szanse zobaczenia zielonego promienia? Musimy znaleźć się w miejscu, gdzie jest niski horyzont. Pozwoli to nam oglądać światło słoneczne najbardziej rozszczepione. Niski horyzont mamy na przykład ponad dużym jeziorem, morzem czy oceanem. Można jednak zobaczyć zielony promień również znad ziemi, jeśli ma się przed sobą daleki horyzont. Czasami widać go w chwili, gdy słońce chowa się za górami lub za wyraźnie zarysowaną chmurą. W atmosferze musi być również niewiele rozpraszających cząsteczek, tak by nawet po najdłuższej drodze doszła do nas wystarczająca ilość zielonego światła. Wszyscy, którym udało się zaobserwować zielony promień uważają, że najczęściej zjawia się on wtedy, gdy słońce świeci jasno aż do samego momentu zachodu. Jeśli słońce blisko horyzontu jest bardzo czerwone, zielony promień prawdopodobnie nie będzie widoczny. Jeśli jednak zachodzące za niskim horyzontem słońce jest żółte, choćby była to przyćmiona barwa, zielony promień może dać się zauważyć.

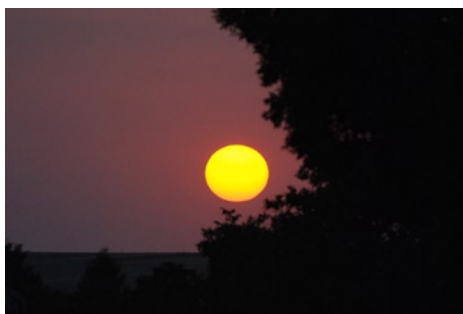
Kształt zachodzącego Słońca bywa znacznie zdeformowany przez refrakcję atmosferyczną. Atmosfera jest tak uwarstwiona, że zachodzą w niej zniekształcenia w pionie. Słońce ulega spłaszczeniu, powstają w nim segmenty i ząbienia (ryc. 3, 4.). Zielony promień pojawia się najczęściej jednocześnie z tymi ząbieniami. Segment, pochodzący z górnej części tarczy, w miarę kurczenia się, na chwilę przed zniknięciem, może stać się zielony. Bywa tak, że zielony promień przypomina płomień wytryskujący spod horyzontu w chwili, gdy Słońce tam znika. Bardzo rzadko udawało się zauważyć zielony promień Księżyca lub Wenus, a nawet Jowisza. Zjawisko zielonego promienia jest krótkie, nie trwa dłużej niż kilka sekund. Przeważnie jednak zielony kolor utrzymuje się tylko przez sekundę. Na biegunie południowym, ekspedycja Byrda obserwowała zielony promień w ciągu 35 minut, kiedy to słońce po raz pierwszy po nocy polarnej wychodziło spoza horyzontu, poruszając się wzdłuż jego linii. Uwarstwienie atmosfery, które zniekształca pozorny kształt słońca, może również powiększać, zmniejszać lub zniekształcać na wiele sposobów górny, zielony skraj. Efektem



Ryc. 1. Powiększona fotografia Wenus ok. 10° nad horyzontem



Ryc. 2. Powiększona fotografia Wenus ok. 2-3° nad horyzontem



Ryc. 3. Spłaszczenie obrazu słońca tuż przed zachodem



Ryc. 4. Segmenty i zazębenia zachodzącego słońca

tych zniekształceń mogą być, oprócz zielonego promienia, zielony błysk, zielony rąbek lub zielony segment. Zdjęcia, a nawet filmy przedstawiające efekt zielonego promienia zachodzącego Słońca można znaleźć w Internecie.

Gdy istnieją warunki powstania zielonego promienia, zasłonięcie całej tarczy słońca, z wyjątkiem dolnego skraju, powinno umożliwić zobaczenie czerwonego promienia. Może się to zdarzyć, kiedy zachodzące słońce wyłoni się spod przysłaniającej je chmury. Nie jest to jednak zjawisko tak spektakularne, bo przywykliśmy widywać słońce częściowo czerwone z powodu rozpraszania światła.

Bądźmy romantykami. Zapragniemy poznać tajemnicę ludzkiej duszy, zakamarki umysłu, głos naszego serca, rozwikłać dylematy niepewności uczuć. Polujmy na zielony promień zachodzącego słońca! On może odmienić nasze życie.

Wróćmy do książki Juliusza Verne'a. Bohaterowie bardzo starają się zobaczyć zielony promień zachodzącego słońca. Polują na to zjawisko przez wiele dni. Nie mają szczęścia. Obserwacje przeważnie utrudnia im pogoda - zanieczyszczone niebo, zachmurzenie, mgła. Trudno im też znaleźć właściwe miejsce, skąd mogliby dobrze widzieć zachód słońca. Raz zobaczenie zielonego promienia uniemożliwia pojawiająca się niespodziewanie chmurka nad horyzontem, innym razem tarczę słońca przysłania przepływający żaglowiec, kiedy indziej znów uwagę ich odwraca akcja ratownicza na morzu. W końcu... no nie, nie opowiem co było dalej. Mogę wyjawiać tylko tyle, że zakończenie nie jest aż tak banalne, jak można by się tego naiwnie spodziewać.

Wiesław Krajewski

Literatura:

1. R. Greenler - *Tęcze, glorie i halo czyli niezwykłe zjawiska w atmosferze*. Prószyński i S-ka, Warszawa 1998.
2. J. Mergentaler - *Zielony promień zachodzącego Słońca*. „Urania” 1984, 3, 82.
3. M. Minnaert - *Światło i barwa w przyrodzie*. PWN Warszawa 1961.
4. T. Sobolewski - *Zielony promień. Ukryta religijność kina*. „Znak” 2000, 10.
5. J. Verne - *Zielony promień*. Zrzeszenie Księgarstwa, Warszawa 1988.

Elżbieta Szadura-Urbańska

Wystawa stulecia



Moim zdaniem nie trzeba wstydzić się egzaltacji, ale jednak należy ją okazywać tylko podczas specjalnych okazji. Takiej okazji nie straciłam całkiem niedawno, odwiedzając National Gallery w Londynie. Wystawa „Leonardo da Vinci. Malarz dworu w Mediolanie” prezentowana tam od 9.11.2011 do 05.02.2012 roku była wyjątkowa, a krytycy sztuki zgodnie okrzyknęli ją „wystawą stulecia”. Być może już nigdy nikomu nie uda się bezcennych obrazów Leonarda wypożyczyć, narażając na ryzyko uszkodzenia podczas podróży, i przedstawić na jednej wystawie. Pewnie organizatorzy musieli wykazać się nie lada umiejętnościami negocjacyjnymi, aby dotarli do Londynu z całego niemal świata. Nie starczyło jednak tych umiejętności na przekonanie dyrektora Luwru do wypożyczenia „Mony Lisy”. Jak wiadomo nie udało się to jeszcze nikomu. „Mona Lisa” nigdy na żadną wystawę nie została wypożyczona i aby ją obejrzeć należy jednak udać się do Paryża.

Prace genialnego renesansowego mistrza mają już ponad 500 lat i jeżeli mieliśmy okazję je oglądać, to tylko pielgrzymując po wielu galeriach. Nawet niestudzony admirator malarstwa Leonarda da Vinci, który udał się do tych wszystkich miejsc, nie przeżył tego, co było udziałem zwiedzających londyńską wystawę. Efekt synergii, oddziaływania genialnych prac zgromadzonych w jednym miejscu potęguje niezwykle wrażenie. Przy tym widz nie wychodzi z wystawy zmęczony, przytłoczony - co przecież, nie ukrywamy, zdarza się obcując ze sztuką zbyt intensywnie. ale przeciwnie - wyjątkowo uskrzydłony. Trudno znaleźć słowa opisujące te doznania. Patrząc jednak nie tylko na twarze spoglądające na nas z portretów, ale i na twarze zwiedzających, można było zauważyć oddziaływania prawdziwego geniusza. To, że Leonardo da Vinci był geniuszem wie dziś chyba każde dziecko z pierwszych klas szkoły podstawowej. Jego niesamowity umysł obejmował niemal wszystkie dziedziny sztuki i nauki. Kilka lat temu, wystawa prezentowana w wielu miastach Polski „Leonardo

da Vinci. Geniusz i jego maszyny” dała nam szansę poznać nieskrępowaną wyobraźnię i wiedzę artysty. Londyńska wystawa malarstwa jest tym znamenitsza, że sam mistrz traktował malarstwo jako ukoronowanie wszystkich sztuk. Każdy zaś rodzaj sztuki uważał za „krewniaczkę Boga”, „wnuczkę natury”.

W porównaniu z innymi płodnymi malarzami swojej epoki, da Vinci był - można powiedzieć - dosyć powściągliwy w swojej malarskiej aktywności. Przypuszcza się, że namalował tylko około dwudziestu obrazów, z czego do dzisiaj zachowało się nie więcej niż piętnaście. Aż dziewięć z nich prezentowano na londyńskiej wystawie. Oprócz prac mistrza, można było obejrzeć również malarstwo jego uczniów z mediolańskiego okresu twórczości: Marco d'Oggiono, Giovanniego Antonio Boltraffio i Ambrogio de Predisa.



„Dama z łasiczką”, 1483-1490
Muzeum Książąt Czartoryskich w Krakowie

Zdobycie biletu na wystawę było wysiłkiem heroicznym. Wielogodzinne nocne stanie na mrozie w kolejce umilało spoglądanie na ogromny baner reklamujący to wydarzenie. Widniała na nim „Dama z łasiczką” (zwana też „Dumą z gro-nostajem”) z Muzeum Narodowego w Krakowie - sztandarowy obraz tej wystawy. Dodajmy, że wypożyczeniu obrazu towarzyszyła krytyka Fundacji Czartoryskich - właściciela obrazu. Zarzucano, że narażano dzieło na zbyt duże ryzyko uszkodzenia. Fundacja w ubiegłym roku wypożyczyła „Dumą z łasiczką” do Budapesztu, jednak pod warunkiem konserwatora, że obraz przez następne dziesięć

lat nie opuści swojego miejsca. Trudno odnieść się do racji wszystkich stron. Każdy jednak kto był na londyńskiej wystawie z pewnością wyrazi zadowolenie z takiego obrotu spraw.

W salach wystawienniczych obraz zawieszono tak, że na Cecylię Gallerani, utrzymaną jako słynna „Dama z łąsiczką”, spogląda z obrazu „La Belle Ferronnière” jej konkurentka, kolejna wybranka magnata - Lukrecja Crivelli, chociaż niektórzy sądzą, że jest to podobizna żony księcia, Beatrice d'Este. Leonardo musiałby ją wówczas nieco upiększyć, gdyż - jak podają źródła - nie była to niewiasta zbyt urodziwa. Jak by nie było, spoglądanie na siebie wszystkich tych branych pod uwagę kobiet jest w pełni uzasadnione. Z drugiej strony ukłon mistrza w stronę swego mecenasa i zastosowanie renesansowego „fotoszopa” wobec jego żony też wydaje się krokiem zrozumiałym. W końcu to dopiero na dworze mediolańskiego księcia Leonardo da Vinci znalazł przystań dla swego niespokojnego ducha. Sforzy nie przeszkadzało - tak jak wcześniejszym sponsorom Leonarda - nieprzestrzeganie terminów czy zaniechania ledwie co rozpoczętych szkiców. On w pełni doceniał wielkość i wszechstronność artysty, który dla niego pracuje.

Wracając do rozmieszczenia portretów dwóch piętnastowiecznych dam - to nie przypadek, a celowy zabieg organizatorów. Sposób prezentacji prac układa się jak wielka lekcja historii sztuki i epoki, w której tworzył Leonardo. Dzięki tej lekcji dowiedziałam się między innymi, że łąsiczka (czy też, jak kto woli gronostaj) powstawała dzięki szkicom anatomicznym głowy niedźwiedzia i łap psa. W kolejnej sali mogłam ze zdziwieniem ignoranta odkryć istnienie dwóch obrazów „Madonna wśród skał”. Wcześniejszy, datowany na 1483-1490 rok i drugi - z lat 1495-1508 różnią się nie tylko szczegółami, ale i kolorystyką. Ten pierwszy, jak wiele prac Leonarda, został zaniechany, a ten kolejny pokazuje, że nad światłocienie zaczął z czasem mistrz przedkładać realistyczne oddanie przyrody i grę kolorów. W sali z kopią „Ostatniej wieczerzy” (fresk z kościoła Santa Maria delle Grazie rzecz jasna nie mógł tu trafić) zgromadzono też szereg szkiców, które sporządził Leonardo, przygotowując się do wykonania dzieła swego życia. Nie

tylko twarze apostołów, ale nawet takie detale jak ułożenie palców u nóg czy załamania tkaniny były przedmiotem skrupulatnych studiów mistrza. To również lekcja pokory dla tych wszystkich, którym nawet znikomy promyk talentu odbiera potrzebę stałego doskonalenia się. (Mam nadzieję, że moja trzynastoletnia córka, która zwiedzała wystawę razem ze mną przestanie poczytywać sobie za sukces komponowanie - jej zdaniem cudownego wiersza - w dwadzieścia minut).

Niemniej nie aspekt poznawczy i uzupełnianie luk w wykształceniu jest w tym wszystkim najbardziej istotne. To, co najważniejsze, jest trudne do opisanego, zbyt intymne i ulotne. Każdy z nas na swój sposób rejestruje te przeżycia. Na tej wystawie zachwycić się można było każdym obrazem. Na mnie największe wrażenie zrobił - powstały w latach 1506-1513 na zamówienie króla Francji



„Salvator Mundi” („Zbawiciel świata”) 1512
kolekcja prywatna

Ludwika XII - „Zbawiciel świata”. Obraz, po wielokrotnej zmianie właścicieli i wątpliwościach co do jego autorstwa, obecnie cieszy prywatnego kolekcjonera z Nowego Jorku. Ten jednak postanowił swoim szczęściem podzielić się z innymi i udostępnił go zwiedzającym wystawę. Jeżeli nawet znamy podobiznę Chrystusa z wielu mniej lub bardziej udanych kopii obrazu, to z pewnością z żadnej z nich oczy Chrystusa nie wpatrują się w nas tak przenikliwie. Jeżeli napiszę: „żałujcie, jeżeli tego nie widzieliście”, zabrzmi pewnie pyszałkowato. Napiszę więc, że nie zapomnę tamtego mistycznego wręcz przeżycia, kiedy stałam w National

Gallery przed Chrystusem Zbawicielem. I wcale nie przeszkadzały mi dwie japońskie emerytki pokazujące sobie (fotografować przecież nie mogły) detale obrazu. Zresztą, docermy organizatorów, którzy zadbali, aby w salach wystawienniczych nie spowodować tłoku (szkoda, że nasi organizatorzy wystaw na to jeszcze nie wpadli). Nie dość, że wpuszczali dziennie tylko 500 osób to jeszcze bilety opatrywali godziną, o której należało rozpocząć zwiedzanie. Mimo wszystko nie uniknięto zgro-



„Madonna karmiąca Dzieciątko” („Madonna Litta”)
ok. 1490, Ermitaż, Sankt Petersburg

madzeń przy niektórych obrazach. Oprócz naszej „Damy z łąsyczką”, trudno było też w samotności podziwiać przybyłą z Sankt Petersburga „Madonnę karmiącą Dzieciątka” zwaną też „Madonną Litta”. Ten drugi tytuł pochodzi od nazwiska lombardzkiej rodziny, która w 1865 roku sprzedała obraz carowi Aleksandrowi II. Tu znów przenikliwie spogląda na nas Chrystus. Nic to, że jeszcze mały i z pozoru zajęty zaspokajaniem głodu. Zupełnie dorosłym wzrokiem patrzy na nas, nie mniej przenikliwie niż z obrazu „Zbawiciel świata”.

I wiele innych spojrzeń kobiet, mężczyzn i dzieci uchwyconych przez uczniów Leonarda. I tak samo jak mistrzowi, ich pracy towarzyszy trud skrupulatnych studiów. Drobne szkice, zapiski. Wrażenie jakby właśnie przed chwilą opuścili swoje pracownie i za chwilę mieli wrócić do szkicu dłoni, tkaniny, sukni. Trudno uwierzyć, że od daty ich powstania dzieli nas pół tysiąca lat.

Elżbieta Szadura-Urbańska

LUBLIN,
ul. Radziwiłłowska 5
tel. 81 536 09 16,

81 743 61 94 **www.lider24.com.pl**



SZKOŁY MŁODZIEŻOWE – bezpłatnie

LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE

Każdy uczeń może dodatkowo bezpłatnie zdobyć nowy zawód, nową umiejętność:

- specjalista ds. urody
- grafik komputerowy

TECHNIKUM

fryzjerstwo, gastronomia,
informatyka, hotelarstwo.

Każdemu uczniowi zapewniamy bezpłatnie podręczniki oraz kursy przygotowujące do matury.

SZKOŁY ZAOCZNE

LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE

3 - letnie po gimnazjum lub szkole podstawowej (ośmioletniej),

2 - letnie po ZSZ

POLICEALNE STUDIUM ZAWODOWE

administracja * BHP * geodezja * budownictwo * ekonomia * fryzjerstwo * gastronomia * hotelarstwo * informatyka * kosmetyka * masaż * rolnictwo * opiekun w DPS * turystyka *inne

NOWOŚĆ! **SZKOŁY DLA DOROSŁYCH** **Opole Lubelskie**

LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE (3-letnie)

LICEUM UZUPEŁNIAJĄCE (po ZSZ, 2-letnie)

SZKOŁA POLICEALNA – technik rolnik

ZAJĘCIA W SOBOTY I NIEDZIELE

ODDZIAŁY SZKOŁY:

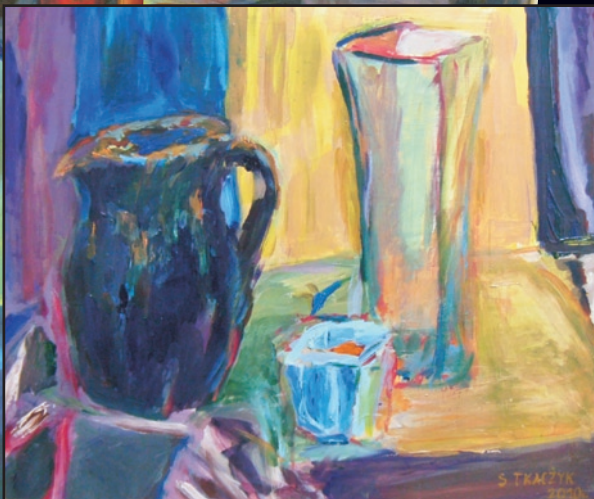
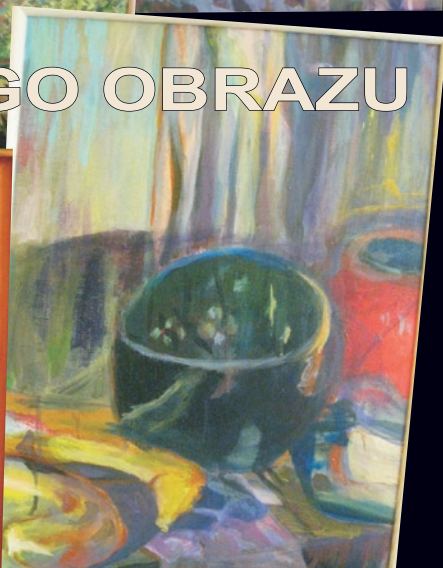
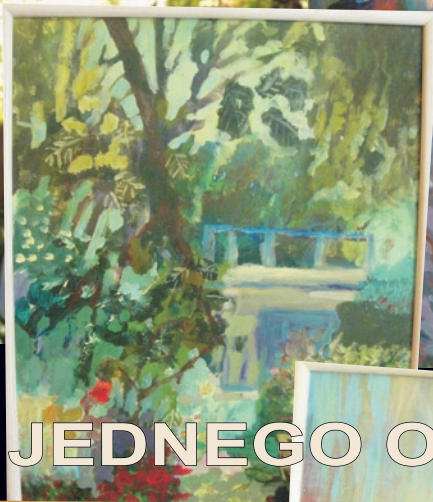
CHEŁM, ul. Reformacka 13, 82 565 27 06

BIAŁA PODLASKA, ul. Prusa 8, 83 342 24 43

ZAMOŚĆ, ul. Partyzantów 21, 84 639 11 63

ZWOLEŃ, ul. Woj. Polskiego 78, 48 676 20 34

OPOLE LUB., ul. Fabryczna 28, 81 827 20 48



Sławomir Tkaczyk

GALERIA JEDNEGO OBRAZU

Sławomir Tkaczyk



Sławomir Tkaczyk ur. w 1972 r. w Krasnymstawie. Mieszka w Krasnymstawie. Maluje od 15 lat, głównie techniką akrylową. Tematami jego prac są martwe natury. W obrazach interesuje go kolor i światło. Inspirującą dla niego jest twórczość kolorystów: Eibischa, Cybisa, Kononowicza, Nacht-Samborskiego, Pagowskiego oraz Matisse'a. Należy do Krasnostawskiego Stowarzyszenia Twórców PALETA i bierze udział w plenerach i wystawach grupy. Zdobywał I nagrody w przeglądzie plastycznym WOK w Lublinie w latach 2007, 2009, 2010 oraz wyróżnienie w międzynarodowym konkursie malarskim organizowanym przez Warszawską Galerię ZADRA w 2010 roku.

GALERIA JEDNEGO OBRAZU

